









BIBLIOTEKA  
NARODOWA.



Księgozbiór

№ C-5-53



64-23

# DZIEŁA

FRANCISZKA

ZABŁOCKIEGO

WYDANE

PRZEZ

F. S. Duobrowskiego.

TOM VI.



W. A. R. S. L. W. A.

NAKŁADEM I DRUKIEM WYDAWCY.

1830.

ANULOWANO  
BIBLIOTEKA

ARCHIWUM  
BIBLIOTEKI  
REDUTY  
N. 357 k

*Za pozwoleniem Cenzury.*

UJK  
Biblioteka  
Uniwersytecka  
Kielce

474300





## LISTA PRENUMERATORÓW.

NAYIAŚNIEYSZY CESARZ i KRÓL, dla Szkół  
Królestwa Polskiego exemplarzy 50.

---

Antoszewski.  
Bułhak Tomasz.  
Borman Liberat.  
Banzemer.  
Borowski.  
Biénkowski Kasztelan.  
Bieniecki Ludwik Poseł.  
Bońkowski Hieronim.  
Brzostowski.  
Białobrzeski.  
Braun Kap.  
Baranowski.  
Bielecki.  
Berowski.  
Bieczyński.  
Banzemer.  
Bukowski.  
Bietrzeniewski.  
Brzezińska.  
Bartold.  
Baliński Asses. Bud.  
Bronic Marsz. Dworu.

Brzeziński.  
Chlebowski.  
Ciekawy Michał.  
Cissowski.  
Chopin.  
Ciołowski Józef.  
Chłodnicki.  
Czaki.  
Chociszewski Ob. W. S.  
Dietrich. ▽  
Dombrowski.  
Dębiński.  
Dobek Intend.  
Dziekoński Józef.  
Dziewanowski Dominik.  
Drozdowski Floryan.  
X. Dzieszkowski.  
Deboli Prezes K. W. S.  
Domański Leop. Kom. Ob. Op.  
Dziedzicki Oby.  
Fredro Hr. Jen.  
Frank.  
Flatt.  
Filipecki.  
Gorecki Albin.  
Grodzicki.  
Górski.  
Grochowski.  
Gumiński.  
Gościmski.  
Grzybowski.  
Gawroński.  
Garlicki Kom. Woiew.

Grothus Krysztof.  
Halicki.  
Hassman Rej. K. Z. W. S.  
Hahn.  
Hernisz.  
Jahn Franciszek.  
Jahołkowski.  
Jeziorański Mecenaz.  
Jlustrowski.  
Jakubowski.  
Jakubowski X.  
Jachowicz Stanisław.  
Jankiewicz Jan.  
Jerowski Nadz. Owczarń.  
Jelski Leon Kom. Ob.  
Jabłonowski Rejent K. Z. W. S.  
Jelski Radca Stanu.  
Koncewicz.  
Kostecki Szt.  
Karnkowski Konstanty.  
Klott Leopold.  
Karwicki Teodor.  
Kobrzyński Tadeusz.  
Kozmian Radca Stanu.  
Kossakowski Walery U. U. Wil.  
Kupiszewski.  
Kozmian Biskup.  
Kléniewski Maurycy.  
Kaczkowski.  
Kawecki.  
Kotowski Kan.  
Kaczor.  
Kłaczyński X. Rekt. Szk. Woiew.

Kociubski Jak. P. Tr. W. S.  
Kowalski Felicyan Rachmistrz.  
Koszkowski Budowniczy.  
Kwaśniewski Obyw.  
Korytko Rewizor Woiew.  
Kraśński Winc. Jenerał.  
Kanigowski.  
Kręski Floryan.  
Karski.  
Kaliński Audytor.  
Krzymiski.  
Koppensztaedter,  
Kossowski.  
Kamiński.  
Komierowski.  
Klimkiewicz.  
Kossakowski.  
Kranass.  
Kiwerski.  
Krzyski Kaźm. N. K. W. K.  
Lubecki Włodz. Xiążę.  
Lasocka.  
Lichtensztein.  
Lam Izydor.  
Leski.  
Ledochowski Julian.  
Lewandowska.  
Łukaszewicz Michał.  
Łapiński Xawery.  
Łempicki Ludwik.  
Łubiński Henryk Hr.  
Łubiński.  
Łanowski.

Łęski Edward.  
Łuniewski.  
Malawski K. W.  
Mazurkiewicz Szt. Lekarz.  
Moldenhauer.  
Małachowski.  
Maiewski Rektor Szk. Kalis.  
Mikulicz Jakób.  
Marszałowski Nacz. Wyd. Sol.  
Modzelewski.  
Mieszkowski Antoni.  
Miller.  
Meleniewski Łukasz.  
Mokronowski Starościc.  
Miączyński.  
Malczewski Walery Ob.  
Miklaszewski Józef.  
Mroziński Jenerał.  
Morzycki.  
Majerski Karol  
Mikucka.  
Moszyński.  
Morawski.  
Michałowski Ref. K. W. S.  
Nowicki.  
Nowicki Antoni.  
Nowicki Doktor Med.  
Niemierycz Józef Ob.  
Nosewicz X. Bonawentura.  
Nutowć Wawr. Adw. Sąd. Głów.  
Nowolecki.  
Narbutt.  
Orłowski Joachim.

Olszewski Ass. Ek.  
Orłowski.  
Ostrowski Wład. Hr.  
Olszewski.  
Ostrowska Hrabina.  
Orkisz.  
Pietkiewicz Walery.  
Piotrowski Teofil.  
Pyrke.  
Pawłowski Sekretarz W. Pod.  
Puchalski Edmund.  
Paszkowski.  
Paszye.  
Pawłowski X. Biskup.  
Poklenkowski Józef.  
Pełczyński Pułkownik  
Pułaski.  
Popławski Felix.  
Puchalski Naczeln. Ekon.  
Płużański.  
Podowski Kawaler Malt.  
Piętkowski.  
Pomianowski.  
Paprocki Antoni Kom. Wdzki.  
Pejson.  
Pietruska.  
Pawlikowski.  
Podbielski.  
Potulicki Hrabia.  
Pióro Łukasz.  
Piasecki Patron Tryb.  
Ryx Alexander.  
Roszkowski Mikołaj Kand. Fil.

Rudzki.  
Rusiecki Ignacy.  
Rulikowski Kasztelan.  
Rzempołuwski.  
Rycerski Kom. Skar.  
Rybicki Ob.  
Roliński Dziekan Uniw.  
Rzeszotarski.  
Radwan.  
Rościszewski.  
Rogalska Józefa.  
Strebeiko Michał U. U. Wil.  
Sierawski Jenerał Br.  
Swolkień Aug. U. U. Wileńs.  
Szokalski.  
Szemiot Józef.  
Szaniawski Józef.  
Szkoła Powiatowa Mołodeczkańska.  
Szymanowski Woyciech.  
Skomorowski.  
Straszak Stanisław.  
Skibeński.  
Szaniawska Rad. St.  
Siekaczyński Stanisław.  
Stolzman.  
Stokowski Winc. Kom. Wdzki.  
Stypułkowski.  
Szczepanowski Józef. Rad. Ek.  
Stawiarski.  
Skibniewski Piotr Ass. Ekon.  
Smoliński.  
Skwarski Paweł.  
Słubowski.

Sumiński Wincenty.  
Stawiarski Ignacy.  
Skorupski.  
Stryeński.  
Szazutkowski.  
Szczawiński.  
Szymański Sekretarz.  
Sobieszczański.  
Skrzynecki.  
Sztokmen.  
Straszak Rad. Pr.  
Skotnicki Maxymilian.  
Sawicki Assesor.  
Stokowska.  
Szaniecki Jan Olrych.  
Toeplitz.  
Tyc.  
Trzetrzewiński Woy. Kom. Wdz.  
Trziński Nadrachmistrz.  
Turkuł Radca Stanu.  
Twardowski.  
Woycicki.  
Wodzyński Leon Ob:  
Wąsowicz Alexander Ob:  
Wolff.  
Wołowski Franciszek.  
Woyciechowski Daniel.  
Wołowski.  
Wąsowicz Xawery.  
Węgierski X.  
Wolska Jenerałowa.  
Watson Kom Woi.  
Wolanowski Kon. Ob. Za.  
Wielogłowski Kasper Pr. K. W. K.



Zwoliński.  
Zaborowski.  
Zuchert.  
Zychowicz Łukasz.  
Zochowski.  
Zywult Major.  
Zaleszczyński.  
Zieliński Rachmistrz.  
Zdanowicz Sekretarz.  
Zawadzki Jan.  
Zakrzewski Stan. Dok. Med.  
Zieńkiewicz Romuald.  
Zieleńcowie Adam i Kons. U. U. Wil.  
Zycki Tomasz Radz. Pr. Un. Wil.  
Zgliczyńska Sędzina.

---

Wydawca żałuje, że nie mając sobie nadesłanę listy imiennę prenumeratorów, z Kalisza, Poznania, Krakowa, Suwałk, w znacznej części z Wilna, tudzież z urzędów pocztowych, zamieścić ich nie mógł w niniejszém liście.

---



\*\*\*\*\*

# WIADOMOŚĆ

## o Życiu i Pismach

FRANCISZKA ZABŁOCKIEGO. (1)

---

Franciszek Zabłocki urodził się dnia 2 Stycznia 1750 r. Ukończywszy szkoły w Międzyrzeczu na Wołyniu u XX. Piiarów, udał się do Warszawy, tam pracował w kancelaryi Izby Edukacyney, i dał się poznać Xciu Adamowi Czartoryskiemu, który go używał do pisania listów dotyczących się wydziału edukacyjnego, i do początkowey edukacyi swoich dwoyga najstarszych dzieci. Xże

(1) Większą część szczegółów o życiu Zabłockiego, udzielić mi raczył WX. Dziekan Gorecki, proboszcz w Końskowoli, dawniej wikarjusz, teraz następcą Zabłockiego, iego przyjaciel i towarzysz w latach ostatnich.

Adam Czartoryski, poznawał coraz więcej piękne, Zabłockiego zdolności, i zachęcał go do prac literackich. — Lubo nie zostawał w ciągłych obowiązkach u Xięcia Czartoryskiego, był iednakże od niego do różnych korespondencyi używanym, a gdy zawarł śluby małżeńskie, otrzymał za wstawieniem się Xżnéy Czartoryskiéy, urząd sekretarza Izby Edukacyynéy, i przez lat ośmnaście pełnił ten obowiązek. Nie wiadomo iak długo cieszył się Zabłocki szczęściem domowém. Zdaie się iednak że zbyt krótko, dowodem tego są żale Orfeusza, które Książnin przyjaciel Zabłockiego napisał, pocieszając go po tak ciężkiéy stracie. Ochłonąwszy z żalu, Zabłocki szukał rozrywki w ciągłym zajmowaniu się pracami literackimi, a zwłaszcza w pisaniu i przekładaniu sztuk teatralnych, oraz w ściśléy zażyłości z kilkoma artystami owoczesnego teatru.

W czasie powstania narodowego w 1794, był czynnym w kommissyi

## F. ZABŁOCKIEGO.

inkwizycyney; na tym urzędzie obsta-  
wał przy środkach łagodnych, i był  
nazwany przyjacielem ludzkości, bo  
zdanie iego pochodziło z rozsądku i  
umiarkowania. — Po ostatnim roz-  
biorze Polski w 1795, umyślił udać  
się do Rzymu, iakoż nauczywszy się  
po włosku, wyjechał z kraiu w koń-  
cu Czerwca tegoż roku. Powszechna  
klęska narodu wywarła mocny bardzo  
wpływ na umysł Zabłockiego. Aż  
do roku 1795 był wesołym, dowci-  
pnym, czasem nawet płochem, lu-  
bił wytworność w ubiorze i wszelkie  
towarzyskie zabawy. Po upadku  
oyczyzny, smutek i tęsknota ogarnęły  
iego duszę, i w Rzymie wszedł do  
stanu duchownego. Polacy dowiedzia-  
wszy się o tém, wzywali go do kraiu,  
ofiarując mu fundusze kościelne, iako  
to: Lanckoroński, Karwicki, i ś. p.  
Adam Xiążę Czartoryski. Wrócił  
Zabłocki do Sieniawy, do Xięcia, iako  
do nayszybszego swego dobroczyń-  
cy. W r. 1797 objął plebanią w Górze

## O ŻYCIU I PISMACH

pod Puławami, a gdy X. Grzegorz Piramowicz przeniósł się do Międzyrzecza w r. 1800; Zabłocki otrzymał po nim probostwo w Końskowoli, i tam aż do śmierci zaszczytnej dnia 10 Września 1821 ciągle zostawał. Jak w stanie cywilnym nie ubiegał się za zaszczytami i honorami, tak i w stanie duchownym żadnych godności nie przyjął, przestając na przykładnym wypełnianiu obowiązków plebana. Smutek jego i zaniedbanie ciągle trwały. W 1809 gdy część Galicyi przyłączona została do Xięstwa Warszawskiego, ocucił się Zabłocki z odrętwienia swojego, i częstokroć napisał wierszyk ulotny, ale go natychmiast po przeczytaniu niszczył. Na rok przed śmiercią, zaczął przeglądać swoje pisma; poprawił pięć sztuk, i oddał je w rękopiśmie ś. p. Xięciu Adamowi Czartoryskiemu. Zabłocki o wypadkach życia swojego i wieku, niechętnie wspominał.

## F. ZABŁOCKIEGO.

Pisma Zabłockiego, tak prozą iak wierszem są:

### *Sztuki oryginalne wierszem.*

Zabobonnik, komedia we trzech aktach 1781.

Fircyk w zalotach, komedia we trzech aktach 1781.

Sarmatyzm, komedia w pięciu aktach 1784.

Złota Szlafinyca, opera we trzech aktach.

Małżonkowie poprawieni przez swoje żony, komedia we trzech aktach.

### *Sztuki tłómaczone lub naśladowane wierszem.*

Amfitryon, komedia Moliera we trzech aktach.

Małżonkowie poieduani, komedia z francuzkiego P. La Chaussée w 5ciu aktach.

Król w kraini Roskoszy, komedia zapustna we trzech aktach z francuzkiego.

Pasterz Szalony, komedia pasterska w pięciu aktach, wolny przekład z Tomasza Kornela.

### *Sztuki oryginalne prozą.*

Wielkie rzeczy i cóż mi to wadzi? komedia we trzech aktach.

Doktor Lubelski, komedia we trzech aktach.

Dziewczyna sędzią komedia we trzech aktach 1781.

Balik gospodarski, opera komiczna we trzech aktach.

Arlekin Machomet, czyli taradayka lataiąca, drama śmieszno - płaczliwo - sowizdrzalskie, we czterech aktach, 1785.

### *Tłómaczenia lub naśladowania prozą.*

Szkoła Oyców, komedia w pięciu aktach 1788.

Dzień kłamstwa, komedia w 5ciu aktach.

## O ŻYCIU I PISMACH

Zdrayca ukarany, komedya w 5ciu aktach.

Wesele Figara, komedya w 5ciu aktach, tłumaczona z francuzkiego (Beaumarchais).

Zona Zazdrosna, komedya w 5ciu aktach, z francuzkiego r. 1788 w Warszawie.

Lucylla, opera w iednym akcie.

Pigmalion i Galatea, albo obraz kobiet, komedya we 3ch aktach.

Zoe, czyli skutki dumy i miłości, dramma we 3ch aktach z francuzkiego P. Mercier przetłómaczona r. 1791.

Przypadki zalotnicze, komedya we 3ch aktach.

Soliman drugi, albo trzy Sułtanki, komedya we 3ch aktach tłumaczona z francuzkiego P. Favart.

Rokoszenie, czyli Xiążę Monmouth Królewicz Angielski, dramma histor: we 3ch aktach z francuzkiego przetłózone.

Przeszkoda nieprzewidziana, komedya P. Destouches Akad: fr: w 5ciu aktach z francuzkiego drukow: u Gróla 1776.

Drzewo zaczarowane, opera we 2ch aktach.

Sowizdrzał z przypadku rycerz, komedya w 5ciu aktach.

Medea, opera.

Piękna Arsena, opera we 4ch aktach, tłumaczona z francuzkiego w Warszawie 1788 r.

### *Rozmaite pisma.*

Rozmowy sokratyczne w różnych materyach politycznych i moralnych, z francuzkiego 1775, vol. 1 in 8vo w Drukarni Dufura.

Dzieła Saint Reala z francuzkiego przetłózone



## F. ZABŁOCKIEGO.

tomów 5 in 8vo minori, 1788-1789 w Drukarni Dufura.

Tom - Dżon, czyli Podrzutek, romans Fildynga z angielskiego przełożony, tomów 3 in 8vo 1793 u Gröla.

(Trzy te dzieła tłumaczył Zabłocki z natchnienia Xięcia Adama Czartoryskiego Jener: Ziem: Podols.)

Oprócz tak znaczney liczby sztuk drammatycznych, Zabłocki może i więcéy ieszcze napisał, a co pewniéysza z francuzkiego przełożył, gdyż iak mówi WJX. Dziekan Gorecki, od którego powziąłem prawie wszystkie szczegóły o życiu Zabłockiego, miał ich napisać przeszło 80. Sztuki te albo zaginęły, albo w bibliotece teatru zostaią bezimiennie, lub też pod obcém nazwiskiem.

Podczas seymu czteroletniego, Zabłocki miał bydź autorem wielu bezimiennie rozrzuconych wierszy, w celu politycznym pisanych. Z wierszy tych żadnego wynaleźć nie mogłem.

Pisma Zabłockiego na dwie części rozdzielić trzeba. Pierwsza obejmuie jego ulotne wiersze, komedye ory-

## O ŻYCIU I PISMACH

ginalne, tudzież wierszem tłómaczone, które istotnie mieszczą go w rzędzie najznakomitszych wieku Stanisława Augusta pisarzy, a iako autora komedyi dotąd niezrównanym go czynią.

Druga, rozmaite przekłady, na żądanie teatru wykonywane. W niey to mieszczą się sztuki tłómaczone z pośpiechem, i nie odznaczające się trafnością wyboru, albo też tak dla czytelników, iak dla literatury zupełnie obojętne. Dogodziły one chwilowey potrzebie, wynikły ze stosunków i położenia autora. Nie na nich to zakładał Zabłocki prawo swoje do pamięci potomnych, i dla tego, ażeby bez potrzeby nie pomnażać liczby tomów, nie objałem ich w moiém wydaniu.

Za obowiązek poczytuię sobie wynurzyć wdzięczność moię Jaśnie Oświeconemu Xięciu Adamowi Czartoryskiemu Senatorowi Woiew: Kr: Pols: za udzielenie mi tych rękopi-

smów, które Zabłocki złożył przed zgonem w bibliotece puławskiéy; one były podstawą mego wydania, skazówką wyboru. Obeymują komedye: *Sarmatyzm*, *Małżonkowie poprawieni*—*Małżonkowie poiednani*, przekład z *La Chaussée*—*Pasterz Szalony* przekład z *Tomasza Kornela*. *Król w kraju* *Roskoszy kom:* z *fran:* Do nich dołączyłem; *Zabobonnika* i *Fircyka* komedye wierszem, *Zółtą Szlafmycę*, *Operę* wierszem, *Amfitryona* tłumaczenie z *Moliera*; dwie komedye oryginalne prozą: *Doktor Lubelski* i *Wielkie rzeczy* i *cóż mi to wadzi*, nareście komedyo-operę, *Balik gospodarski*. Komedyi *Sarmatyzm* miałem dwa rękopisma: puławski i z *Teatru Narodowego*, znalazłszy między nimi ważne odmiany, trzymałem się rękopismu puławskiego, odmiany zaś umieściłem w przypiskach.

Wydanie więc moje obeymuie pisma Zabłockiego do pierwszego należące oddziału, i śmiem pochlebiać sobie, że zadosyć uczyniłem obowiązkom wydawcy. Mniemam bowiem,

że nie przysługę, ale krzywdę wyrządziłby pamięci autora ten, któryby wszystko to bez braku i wyboru drukował, co autor w rozmaitych stosunkach i okolicznościach napisał. Jedney tylko rzeczy żałuję, że dla śliskości przedmiotu i zbyt wolnych żartów, nie mogłem objąć w tym zbiorze, *Farsy* czyli zapustney *Komedyi*, iak nazywają *Zabłocki*, pod tytułem: *Król w kraiu Roskoszy*, obfituiący w komiczne położenia, dowcipne myśli i piękne wiersze. (\*).

Pozostaie mi ieszcze uczynić kilka uwag nad pismami *Zabłockiego*, umieszczonemi w tym zbiorze. — *Zabłocki*, głównie, iako autor *komedyi*, ce-

---

(\*) Zaspokajając życzenia bibliografów, oraz ułatwiając drogę następnemu wydawcy, iaczeliby wszystkie dzieła *Zabłockiego* chciał drukować. uwiadamiam, że iedną część rękopismów *komedyi Zabłockiego* znajduie się w Bibliotece Teatru narodowego, druga w Bibliotece Tow: Przyi: Nauk, gdzie manuskrypta moją własnością będące złożyłem.

nionym być powinien. - W sztukach  
iego znajdziemy wierny obraz oby-  
czaiów i wieku Stanisława Augusta,  
a wiek ten dogodny dla zdolności  
pisarza komicznego otwierał pole. —  
Jak Molier zakwitnął w pierwszemy  
epoce rządów Ludwika XIV, gdy  
Francya po wojnach Ligi i niezgo-  
dach Frondy, przeszła do naywyż-  
szego stopnia dworszczyzny i przepy-  
chu, tak nasz Zabłocki pisał wten-  
czas, kiedy obyczaje za panowania  
Stanisława Augusta przechodziły z  
przesądów, rubaszości i piątyki  
panujący za Sasów, do przyzwoite-  
go tonu towarzystw wykształconych  
postępem oświaty. Epoka takowa,  
przesilenia w obyczajach, naykorzyst-  
niejsza jest dla pisarza komedyi. Po-  
wszechna ogłada ieszcze była nie  
zatarła w ówczas wydatnych rysów,  
nie osuszyła źródła prawdziwéy śmie-  
szności. — Dawne przesady, nałogi,  
zabobony, źle zrozumiana cywiliza-  
cya, ów ton modny, który podług

zdania owoczesnéy młodzieży tak trafnie w Fircyku skręślonéy, polegał na rozwiążności obyczajów i pogardzie ważnych i świętych obowiązków. Płochosć i nierozwaga płci niewieściéy, obok tego zaś starożytna prawosć i prostota narodowa, w licznych ieszcze objawiająca się wzorach, gruntowne wykształcenie umysłu bez uszczerbku serca i cbyczaiów, okazujące się w zdrowéy części narodu: są to żywioły do prawdziwéy komedyi, i takie to malowanie obyczajów znajdziemy w komedjach Zabłockiego, w Zabobonniku, Fircyku, Sarmatyzmie, Zóltéy Szlafmicy i Mężach poprawionych. Sztuki te, razem z Satyrami Naruszewicza i Krasickiego, i komedya Niemcewicza Powrót Posła, będą nayważnieyszém źródłem do wybadania obyczajów i ducha wieku Stanisława Augusta.

Satyra zbliża się do komedyi celem i przedmiotem, Zabłocki tak znakomity autor komedyi nie poślednim

## F. ZABŁOCKIEGO.

musiał być pisarzem Satyr, dowodem tego jest jego naśladowanie Satyry Boala: *Oddalenie się z Warszawy Literata, i Spacer nocny po Warszawie*. W wierszach, które w celu politycznym pisał, okazać miał wielki dowcip i moc satyryczną, iak to utrzymują osoby zasięgające pamięcią epoki seymu czteroletniego.

Co do stylu, nie naśladownym jest Zabłocki w swoich komedjach i czém Trembecki jest w rodzaju wzniosłym i poważnym, tém on jest w komiczném: nie podobna silniéy i zwięzléy władać językiem i wierszem. Też same zalety widzimy w jego przekładach wierszem, a zwłaszcza w tłumaczeniu Amfitryona komedyi Moliera, w którem, mianowicie scenach, gdzie Sozja i Merkury wchodzi, nikt go nie tylko nie przewyższy, ale nawet nie zrówna. W ulotnych, a zwłaszcza poważniejszych wierszach, nie był tak szczęśliwym Zabłocki. Zdaie się, że wzniosłe poetyczne natchnienie

## O PISM. I ŻYCIU F. ZABŁOCKIEGO.

nie było iego udziałem. Mimo tego, umieściłem iego wiersze, iakie tylko wynaleźć mogłem; a szczególniéj z Zabaw przyjemnych i pożytecznych, ażeby skazówką były iego talentu, a bardziéj ieszcze sposobu pisania ulotnych rymów, właściwego w owej epoce wszystkim pisarzom z wieku Stanisława Augusta, prócz Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego i Karpińskiego, którzy na dziełach swoich odrębne piętno wycisnęli.

*Wydawca.*

---



AMFITRYO.

K O M E D Y A

W E T R Z E C H A K T A C H,

Z M O L I E R V.

Ne miremini:

Ipsè hanc acturus est Jupiter comoediam.

Quid admirari estis? quasi vero novum

Nunc proferatur, Jovum facere histrionem?

PLAUTUS IN PROLOGO.

# OSOBY PROLOGU.

MERKURY,

N o c.



## PROLOG.

MERKURY (na obłoku.) Noc (w kolasie parokonnéy na powietrzu.);

MERKURY.

Zwolna, nadobna Nocy, wstrzymay swoje kare,  
Na moment; nie zabawię, powiem ci słów parę.  
Będę żądać pomocy twoiéy dla Jowisza.

N o c.

Z kimże mam honor mówić?—Nayniższa, nayniższa!  
Ktoby się był domyślił z tak śmiesznéy figury,  
Że to nasz dziarski bożek, nasz poseł Merkury?

MERKURY.

Trud, praca, Mościapani. — U nas co godzina  
To sztafeta, co chwila, to insza nowina;  
A wszędzie ia—Nareszcie w tym sprawunków tłoku,  
Zmordowany, żeby mnie znowu nie użyto,  
Spoczywam sobie na tym ustronnym obłoku,  
Doczekuiac cię, piękna Nocy, *incognito*.

N o c.

Pan Merkury żartuie? czy się zapomina?  
Przystoiż mówić bogom, że są zmordowani?

M E R K U R Y.

Albo to my z żelaza?

N o c.

A od czego mina!

Czapka na bakier — droższy zaraz towar tani.  
 Jeżeli komu, to nam, dla *decorum* nieba,  
 We wszystkim etykiety i grymasów trzeba.  
 Wiesz dobrze: są wyrazy pewne nie do rzeczy,  
 Które przeto niebianom służyć nie powinny.  
 Co tylko wadą, zwalmy na rodzaj człowieczy;  
 U nas, aż do dyskursów, i ton i styl inny,

M E R K U R Y.

Ba ieszczebym się temi miał zaprzętać bayki!  
 Insza tobie wybredzać... Masz dwa dzielne konie  
 Wprężone do poieżdnéy sutey taradayki,  
 Gdzie, pani, w materacach ledwo nie utonie.  
 Insza mnie. Zagorzale mózgi te poety,  
 Nie rozumiem na iakim zasadzeni prawie,  
 Wszystkim bogom rozdali wózki i karety,  
 I gołębie, i konie, delfiny, i pawie;  
 Mnie zaś właśnie iednego, równie z niską rzeszą,  
 O kosturze, iak draba, zostawili pieszo:  
 Mnie, który w nieustanne wprężon obertasy,  
 I wszierz, i wdłuż, i poprzek, od końca do końca  
 Swiata, służąc naszemu ówikowi za gońca,  
 Więcący miałbym od innych prawa do kolasy.

N o c.

Cóż z tém poczniesz — poeci zawsze są poeci.  
 Albo im ieden taki szal przez łeb przeleci?  
 Durna rzesza, bez swego zdania, bez prawidła,  
 Bez rozumu... Jednakże ich to dar iesel drogi,  
 Ze ci chociaź pieszemu przypięli ostrogi.  
 Sprzyiaj im chociaź za to; z ich łaski masz skrzydła.

M E R K U R Y.

Wielki dar! Alboź przeto, mniey bolą mnie nogi?  
 Wolalbym iaką taką szkapę, muła, osła...  
 Kiedy nie mam czem płynąć po diabla mi wiosła?

N o c.

Zaniechaymyż iuź tego. — Wpadłszy na zasługi  
 I nagrody, kto czego wart, mimo to niéma:  
 Na ziemi i na niebie błędów poczet dlugi;  
 Jak kto dostał, tak dostał, wart tego, bo trzyma.  
 O cóż tedy rzecz idzie? W czym przydatną będę  
 Jowiszowi? chcę wiedzieć.

M E R K U R Y.

Oto się udaiem

Z proźbą; racz się zatrudnić Jowisza szaraiem.  
 Koncypuiemy teraz nową facyendę  
 Zalotną, która dlań się pomyslnie zakończy,  
 Jeśli mu cieni swoiéy użyczysz opończy.  
 Wiadome ci od dawna iego zalecanki,  
 Często tatuś dla ziemi o niebie ni dudu;

Często go od olimpnych odwodzą ziemianki,  
 Często dla nich do głupstwa brał się i do cudu,  
 A że inne przebaczę, a nie wspomnę wiele;  
 Już to naygrzecznięcy błądzi gdy się w człeka wciela.  
 Mówiąc tedy o naszym—ma teraz stworzenie  
 Jedno bardzo nadobne; kocha się w Alkmenie  
 Zonie Amfitryona; i gdy on hetmani  
 Tebanom, nieprzyjaciół gdy siecze i pali,  
 Jowisz w męża postaci koło iego pani  
 Zawiaa się co żywo, i cholewy smali.  
 Co naylepiey w tym razie na rękę mu padło,  
 To, to iak z igły zdjęte dopiero ich stadło,  
 Owóż nowość, niedosyt, rozdrażnienie chuci...  
 Wziąć zatym postać męża było dlań naykruciy.  
 Ta zdrada przedziwnie mu uchodzi w tym razie.  
 Kto inny zawiodłby się na tych środkach może;  
 U wielu kobiet sam wzgląd na męża i łoże  
 Posłużyłby i owszem ku serca odrazie...

## N o c.

Dziwią mnie te rozliczne Jowisza przemiany!  
 Coraz w inney postaci, bez żadnego braku...

## M E R K U R Y

Nic więcéy, tylko chce się dokosztować smaku,  
 Prowadząc go przez różne rodzaje i stany.  
 To mi to moim zdaniem umieć żyć! to mi to  
 Bóg z rozumem i smakiem, w ciemię go nie bito.  
 Co mu ztąd że go ludzie na Olimpie sadzą,

I pacierze szeptaia, i kropia, i kadzą?  
 Mimo tę etykietę tę cześć, tę ich wiarę,  
 Miałbym go za biednego, miałbym to za karę,  
 Gdyby zawsze w postawie strasznie uwielbionéy  
 Nie miał czasem, choć rzadko, w cieńsze zagrać tony.  
 Co po wszystkiej wielkości, co po uwielbieniu,  
 Gdyby w nich być zamkniętym zawsze, iak w więzie-  
 Osobliwie w miłości! piorun nie do twarzy: (niu!  
 Insza mina dla podwik, insza dla ołtarzy.  
 Ale on to zna dobrze; przeto, gdy się znudzi:  
 Co robić w niebie? dalej na ziemię do ludzi;  
 Przestaie być Jowiszem, i cokolwiek zdybie...  
 Skoroś się rodził grzybem, do kobiałki, grzybie.

*(ton uśmiechającego się.)*

Rozumiem że Noc piękna wie, co metafora.

N o c.

Będzie zapewne grzeczna w ustach oratora  
 Niebieskiego—jednakże z tłumaczenia kwita,  
 Niech iey Pan nie objaśnia—wiesz? iestem kobieta.  
 Ale mówiąc o naszym.—Mnieysza ieszcze o to,  
 Ze z tak świetnego stanu do ludzkiey natury  
 Uniży się niekiedy, zwabion iéy pieśczołą;  
 Z boga człowiek, ulizie: ieszcze to, to bzdury.  
 Lecz widzieć boga bogów, łabędziem, buhaiem,  
 Kozłem, gadziną, węzem... iakim obyczaiem?  
 Można z tym bóstwo zgodzić? iak nie ma obmowa.

Szerzyć się—uważ tylko, gdzie rozum, gdzie głowa?

M E R K U R Y.

O! baybardzo! obmowa — Niechże sobie będzie  
 Obmowa — W tych przemianach muszą być powaby,  
 Które nie dość przenika ludzki umysł słaby,  
 Ale bóg wie, co trzeba tu, i tam, i wszędzie.  
 Gdy się krewkość poburzy, gdy żądza zaięta,  
 I bydłęta nie są tak, iak myślisz, bydłęta,

N o c.

Wróćmy się do Alkmeny — jeżeli ta zdrada  
 Uwieńczy jego płomień; w czym żąda pomocy  
 Odemnie; w czym mu moja przysługa się nada?

M E R K U R Y.

Oto chce, ile może być, naydłuższyć nocy.  
 Racz tedy nie dopuszczać twoim koniom czwału,  
 Niechay noga za nogą wloką się pomalu,  
 Dla nie zbudzenia Jutrznii, bo iak wstanie ona,  
 Ani chybi przypędzi bis Amfitryona  
 Do domu; a co zatym idzie, gdyby zastał  
 Jowisza, możeby go rozgami oszastał.

N o c.

A! to śliczne prawdziwie Jowisza użycie!  
 Urząd bardzo uczciwy, grzeczny... mianowicie  
 Dla mnie! arcy przyjemny i luby i słodki!  
 A' pfe; iabym się miała zniżyć do koczotki?



## M E R K U R Y.

Co z tego to gorszę się — bogini tak młoda  
 Tak piękna, ma skrupuły, — a toć to jest moda!  
 Co w niższych jest podłością, to w wyższych zaletą,  
 Przewinienie zasługą, nałóg etykietą:  
 Znakomitość uzacnia naysprośniejsze sprawy,  
 Za czołem idzie piętno hańby, albo sławy.

## N o c.

Na takie przekonania, i proźby uprzejme...  
 Lepiej to wie Merkury... wreszcie się podeymę!  
 Rozumiałabym iednak, że to nie uczyni  
 Honoru.

## M E R K U R Y.

Tylko się mniey droż, moja bogini!  
 Do czego to zmyślenie? idźmy drogą szczerą.  
 Rzecz ta, upewniam, żadnéy nie ma w sobie plamy:  
 Ciebieć to za wierneczkę do takich spraw bierą.  
 Czego nie dokazuje piękna Noc z Wenerą!  
 Słowem, nic do zarzutu nawzajem nie mamy.  
 Tyś dobra, i ia nie zły, oczy sobie kołą,  
 A iak garnek, tak kociol równie oba smolą.

## N o c.

No, no, no; dayże pokóy, przynaymniey w sekrecie  
 Między sobą to mieymy, gdyby się na świecie  
 O tym miano dowiedzieć; i starzy, i mali,  
 Bostwo na stronę, głupstwa naszeby gwizdali.

## M E R K U R Y.

Prawdę mówisz, więc *basta*, czas też zleść z tęg  
W służę Amfitryona zmienić się Sozycę. (chmury

N o c.

A ia tu się zatrzymam. Byway zdrów Merkury,  
Polecam mnie przyjaźni.

M E R K U R Y.

*Adie, Adie.*

---

AMFITRYO.

K O M E D Y A

W E T R Z E C H A K T A C H.

## OSOBY KOMEDYI.

JOWISZ , w postaci *Amfitryona*.

MERKURY , w postaci *Sozyi*.

AMFITRYON , wódz *Tebański*.

ALKMENA , żona *Amfitryona*.

KLEANTYS , służąca *Alkmeny*.

ARGANTHYPONTYDAS.

NEUKRATES, brat *Alkmeny*. } hetmani z pod wodzy

POLIDAS. } *Amfitryona*.

PAUZYKLES.

SOZYA , sługa *Amfitryona* mąż *Kleanty*.

(*Scena w Tebach przed domem Amfitryona.*)

AMFITRYO.

---

A K T I.

S C E N A I.

*(Teatr oznacza noc.)*

SOZYA. *(z latarką.)*

Kto tam?... co krok to nowa przyczyna boiaźni. <sup>7</sup>  
Noc głucha, śpią poczciwi, lecz nie śpią urwisze!  
Kto tam? czy mi się zdało? czy szmer iakiś słyszę?  
Panowie! z całym światem Sozia w przyjaźni.

*(Pauza.)*

Nie ma nikogo. — Jednak co za męstwo moje!  
Proszę, niechaj mi drugie takie znajdą czyie.  
Sam ieden o tey porze! prawda, że się boię,  
Lecz kto inny ze strachu zdechlby — a ia żyję.

*(tonem refleksyi.)*

Niech mi pan mój wybaczy: dobry na hetmana,  
Lecz ładac na człeka, a gorszy na pana,  
Jabym więcej bydłęcia w tym razie oszczędził.

Pytam: po co mnie w nocy tak późno wypędził?  
 Jeżeli z oznajminiem zwycięztw i powrotu,  
 Można to było sprawić bez tyla kłopotu,  
 Czekać do dnia, i cały interes odbyty:  
 A tak i owca cała, i wilk byłby syty.

Sozyo! pomyśl sobie, rozbierz ieno w głowie,  
 Zastanów się w iak ciężkiewiek pędziesz niedoli!  
 Kogo na iey uczucie serce nie zaboli!  
 Pólbogitego świata! tyrani panowie,  
 Właśnieby na najmnieysze mieć chcieli skinienia  
 Slepą ofiarą wszystkie twory przyrodzenia:  
 Dzień, noc, słońca, szaruga, czy marznie, czy pali,  
 Skoro powiedzą: *nużę*. — nogi za pas — dalej  
 Jakaż nadgroda? żadney — Za chimera lada,  
 Styrasz wiek, weźmiesz torbę, i paszport na dziada.  
 Przecież nam próżność marę wystawia honoru,  
 Żeby się u wielkiego klamki trzymać dworu;  
 I że się kilku obcych doli naszey dziwi,  
 Przeto samo mniemamy, żeśmy już szczęśliwi.  
 Darmo niekiedy rozum i myśl rozdąsana  
 Radzi osobność, mówiąc: *wstyd iarzma i pana*.  
 Ledwie co pomyślemy... zdybują się z nami,  
 Spoyrzą, przemowią słowo... dobroć naszą wadą.  
 Człek poczciwy lada czém łatwo się omami.  
 Minie chwila, znów na nas iak iadą, tak iadą.  
 Ale oto i dom nasz: nie od rzeczy będzie

Zastanowić się nieco i pomyśleć trochę.  
 Wysłał mnie Amfitryon w poselskiem urzędzie.  
 Trzeba mi do Alkmeny zrobić peryochę.  
 Jest w moiem obowiązku, mową niepoślednią  
 Nasz tryumf z nieprzyaciół odmalować przed nią,  
 Jak iesteśmy okryci i sławą i pylem.  
 Ale iak to powiedzieć?—w potyczce nie byłem,  
 Mnieysza o to — daymy tou mowie naszéy zbroyny.  
 U kogo drogi towar prawdy; u mnie tani.  
 Alboż ieden znaczenia ledwie świadom wojny,  
 Tak szermuie ięzykiem, iak gdyby był na niej.  
*stawia latarkę.*

Niechay to będzie pokóy, gdzie mam wpadać gońcem,  
 Ta latarka, mniemaymy, niby iest Alkmeną.

*do latarki.*

Pani! twóy Amfitryo, przysłał mnie tem końcem..  
*Brawo!* właśnie zacząłem oratorską weną.  
 Tym końcem przysłał mnie tu, abym ci wesoly  
 Zwiastował tryumf iego nad nieprzyacioły,  
 I razem doniosł, że iak dżdzu wygląda kania,  
 Tak on wzdycha do twoich rącząt uściskania,  
 Co widzę! Sozyieńku—Jakiey to zjawienie  
 Ciebie nie iest przyczyną radości Alkmenie!  
 Pani honor mi czynisz. — Jakże Amfitryo?...  
 Tak zawsze, iak na mężne przyzwoita wodze,  
 Gdzie kochać tam kochaią a gdzie bić tam bią,...

*Brawo* co za koncepta, co za sensa rodzę!

Słowem iak urodzony do sławy i boiu.

— O długo żadanego zjawienia pokoju!

Kiedyż tedy powraca, który czas wymienia?...

— Prędki bardzo dla czasu późny dla życzenia.

— Jakże się ma? czy przecie bez rany, bez szwanku

Co mówi? co porabia? powiedz, mój kochanku

Mój drogi... — Mało mówi, ale czyni wiele,

Gdzie stąpi, iak liść przed niem drżą nieprzyjaciele.

Jak liść? nieprzyjaciele? — A to co u biesa

Co wyraz to figura, co myśl to frazesa;

Że też to mnie i trochę głowa nie zaboli.

— Cóż czynią rokoszanie? iaki los ich doli?

— Dla nas nadto pomyslny, dla nich nieco srogi,

Zadrwiła z nich fortuna, padli co do nogi.

Pteryła ich dowódzca już na szubienicy;

Dobylśmy od razu Telebów stolicy,

I to wszystko pomyslnie skończywszy dla sławy,

Zwycięzkie w port oyczysty zawinęli nawy.

— Nieba! co za pomyslność!... Jakże to? mój luby?..

— Chętnie bardzo, co większa nie szukając chluby.,

Mogę wczesnie upewnić, że lepiej w tem pani

Dogodzę, niż najlepsi nasi weterani.

Nayprzód trzeba wystawić sobie, że Teleby

Ich stolica, tey niemal wielkości, co Teby,



*(pokazuje na ręce.)*

Tu leży — tu jest rzeka — po zarzeczcu dali;  
 Równa bardzo płaszczyzna — w tym miejscu stali;  
 Tu łańcuch gór wysokich przecięty wąwozem;  
 Pod niemi rokoszanie leżeli obozem.  
 Szrodkiem stali hayduki, w skrzydlach strzelców  
 Tu busarze, tu ciory, tam lóżna cholota. (rota,  
 Oddawszy naprzód bogom powinne modlitwy,  
 Wyszło hasło od sztabu, nastąpił szyk bitwy. —  
 Wysuwa się ochotnik z tej i z owej strony,  
 Z razu poszło na udry, daley na plutony.  
 Leca ludzie iak muchy, gdyby grad pociski,  
 Czuchraią sobie brody, szemeruią pyski,  
 Postrzega Amfitryo, że sprawa po diable;  
 Jak wrzaśnie: broń na kruczki na temblaki szable.  
 Na ten czas, mogę mówić zawrzało, iak w garku;  
 Tamci pierzchnęli, my im siedliśmy na karku;  
 Jak też raz poiechali, tak iuż korpus nasze ...  
 Szło za iazdą, i tylko zbierało palasze;  
 Slowem, nie mogąc wstrzymać dzielnego zamachu...

*(daie się słyszyć szelest.)*

Co słyszę! szelest iakiś, nasze korpus w strachu..



## S C E N A II.

M E R K U R Y, S O Z Y A.

M E R K U R Y, (*w postaci Sozyi wychodzi z domu Amfilryona.*)

Pod tą jego postacią, którą wzięłem na się,  
Przepędźmy tę nikczemną gadatliwą szuę.  
Właśnie też powrót jego potrzebny w tym czasie,  
Kiedy Jowisz z Alkmeną roskoszy kosztuje.

S O Z Y A, (*nie słysząc go więcej, ani widząc.*)  
Próżny strach tak mi piękne przerwał peryody.  
Jednak wniydzmy do domu od wszelkiej przygody.

M E R K U R Y, (*na stronie.*)  
Dopiero miałbyś głowę lepszą niż Merkury;  
Takie dam mu ściąganie — nie trafi do dziury.

S O Z Y A, (*patrząc w niebo.*)  
Ale ta noc dzisiejsza nie ma, widzę, końca.  
Czy mój pan, szłąc mnie mniemał wieczór wscho-  
dem słońca,

Czy też Febus nad miarę pociągnawszy wina  
Spi ieszce, czy go która ma w łóżku Godzina?

M E R K U R Y, (*na stronie.*)  
O bluźnierca! poganin! tak pomawiać Bogi,  
Poczekayże, poczekay, hultaiu, batogi.

Drogo ci się ta drabia zuchwałość zapłaci,  
Nie na darmo Merkury w twoiej iesel postaci:  
Zginiesz aż do imienia, lotrze.

S O Z Y A, (*postrzegając go w ociemku.*)

Tam do kata!

Coś mi ta nienaylepiey wróży facyata!

Ma iakąś minę leśną, i na draba kroi.

Nie trzeba mu pokazać, że się poseł boi.

Dobrze mi się w tym razie pieśń nadarzy iaka.

Zlęknie się, gdz ią ryknę straszny glosem Traka

(*śpiewa cichszym co raz głosem w miarę zbliżania  
ęsi Merkuryusza.*)

M E R K U R Y, (*głośno.*)

Jakiegoż tu znów licho przygnało kantora,

I beczy mi, i beczy, iak pod rzezią koza!

Czy chcę, żebym mu kiiem dał poklask i fora?

S O Z Y A.

Ten Jegomość nie lubi widzę *virtuoza*.

M E R K U R Y.

Już więcéy od tygodnia wychodzę na czaty,

Żebym komu kark skręcił, pogruchotał gnaty,

Nikogo nie znajduię. — Właśnie moje ramie,

Tym się krzepi, gdy komu ręce, nogi, łamie.

S O Z Y A, (*na stronic.*)

Czy mi go kaduk nadał z takimi narowy?

A! toć to zbóyca leśny, czy złodziey brukowy! (*czéy.*

Strach mię... O! nie ma czego. Póydźmy męstwem ra-

Nie grzeczną ten ma stypę, kto z strachu umiera.

Nadwoie babka wróży, — może ten *brewera*

Żeby zręczniey strach pokryć, przeto się iunaczy,  
 Jać iestem tchórz, to prawda, lecz nieprawda, żeby  
 Człek sobie czasem serca nie poddał z potrzeby.  
 Ja ieden, i on nie dwóch, on zdrów, ia nie chory,  
 Dom tuż... na swoim śmieciu białą czasem wiory,

M E R K U R Y.

Któż tam iest?

S O Z Y A

Ja.

M E R K U R Y.

Co za ia?

S O Z Y A.

Ja. — Sozyo! żwawo.

M E R K U R Y.

Ale ten ia, za jaką przychodzi tu sprawą?  
 Człek? czy bydle?

S O Z Y A.

Toć widzisz, żem o ludzkiey twarzy.

M E R K U R Y.

Pan? czy sługa?

S O Z Y A.

Jak czasem, iak mu się wydarzy.

M E R K U R Y.

Dokądże?

S O Z Y A.

Gdzie mu trzeba.

M E R K U R Y.

Nie w tę, widzę, graiã.

S O Z Y A, (*śmielszy i kontent.*)

Cieszę się — przed zaiãcem żaby uciekaiã.

M E R K U R Y, (*przystãpiwszy do niego.*)Trutniu, pytam cię grzecznie, nim użycie mocy,  
Ktoś? zkąd? czyy? dokąd idziesz? co robisz? czem w

S O Z Y A. (nocy?)

Robię i źle, i dobrze, w dzień, w nocy, czy z rana,  
Ztąd przychodzę, tu idę, należę do pana.

M E R K U R Y.

Coś zakrawa na mędrka, mówi pod figurã.

Wać, widzę, chcesz drzeć koty? gurã nasi, gurã.  
Skoro tak, więc naylatwiej znaiość zabierę,  
Kiedy zacznę od tego, że ci pyski spierę.

S O Z Y A.

Mnie?

M E R K U R Y.

Tobie. — A na dowód, ziem człowiek otwarty  
(*daie mu policzek.*)

S O Z Y A.

Doprawdy biiesz?

M E R K U R Y.

Jak chcesz. chcesz? prawdã, chcesz? żarty.  
Odpowiadam na twoie ciemne komplementa;

S O Z Y A.

Móý bracie, niech ci tego pan Bóg nie pamięta ;  
Ale biiesz z przyciskiem.

M E R K U R Y.

To ieszcze pierniczek,  
Miód, cukier w miarę tego, co się zwie policzek.

S O Z Y A.

Gdybym ia był tak prędkí, íak íest z waści osa,  
Bylby ktoś bez rąk, bez nóg, bez uszów, bez nosa.

M E R K U R Y.

Może to wszystko ieszcze znaleźć się w potrzebie  
Tym czasem... o cóż ía to pytałem się ciebie?

S O Z Y A, (*chce wniść do domu.*)

Nie mam czasu.

M E R K U R Y.

Dokądże?

S O Z Y A.

Ciekawe pytanie!

I co komu do tego?

M E R K U R Y, (*przytrzymując go.*)

Chcę wiedzieć, gałganie,

Dokąd idziesz?

S O Z Y A.

Za cóż mnie Waszmość tak szamota?

To nasz dom, i dziedzieniec, a to do nich wrota.

M E R K U R Y.

Jak mi będziesz pleść takie kosałki, opalki,  
 Jak nie wyznasz po iakiey przychodzisz tu sprawie;  
 Widzisz kij? na łbie ci go zgruchoczę w kawałki,  
 Znak, żeś był człowiekiem, łotrze, nie zostawię,  
 Żebyś mi krokiem jednym nie ruszył się... wara.

S O Z Y A.

Oczywista nademną dzisiay bogów kara,  
 Kto mi zabroni wéjścia do moiego...

M E R K U R Y.

Jako?

Co do twoiego?

S O Z Y A.

Już ci do naszego domu?

M E R K U R Y.

Oszuście, a wieszcie ty co mówisz? i komu?

S O Z Y A.

Amfitryo w tym domu iest panem wszelako,  
 Ja sługa iego, więc...

M E R K U R Y.

Kto? tyś iest iego sługą?

S O Z Y A.

Otóż podobną pierwszey gadkę zadał drugą.—  
 Tak iest.

M E R K U R Y.

Amfitryona?

S O Z Y A.

Toć iego, nie czyiem.

M E R K U R Y.

Jakże cię nazywaią.

S O Z Y A.

Mnie?

M E R K U R Y.

Ciebie.

S O Z Y A.

Sozyiem.

M E R K U R Y.

Sozyiem? przetrzyy oczy, bo drzymiesz.

S O Z Y A.

Nie drzymię.

M E R K U R Y,

Ty Sozyia?

S O Z Y A.

Tak, to jest moje własne imie.

M E R K U R Y.

Słuchay, po raz ostatni, i grożę i proszę,  
 Obacz się, nie bądź głupim, bo widzisz kij noszę.

S O Z Y A.

Ależ przecie nikogo daremnie nie biią?

M E R K U R Y.

Za cóż ty się, niecnoto, przewales' Sozyią?



S O Z Y A.

Za co tak się przezwalem? Tak mnie zawsze zwano.

M E R K U R Y.

Jako? Sozya twoje ma być własne miano?

Żadna tak, iak człek, skłamać nie może bestya.

S O Z Y A.

Nie ma w tym naymniey kłamstwa, gdyż iestem,  
Byłem Sozya, będę Sozya i ty mię (Sozya  
Nie przerobisz.—

M E R K U R Y.

Więc twoje Sozya iest imie?

S O Z Y A.

Moje własne. Tak chciały przeznaczenia boże,  
Tak się rodziłem, takem rośl. takem podstarzał.  
Nikt więc we mnie innego nic wmówić nie może,  
Ni ia kogo, ni mnie kto nie będzie przetwarzał.

M E R K U R Y.

Otóż ten kiy innego będzie dawcą kształtu;  
Masz, (*biie go*)

S O Z Y A.

Panie, łotrze, oycze, rozbóyniku!— gwałtu!

M E R K U R Y,

Jeszcze wrzeszczysz?

S O Z Y A.

A cóż to za dzikie zwyczaie!

Zabiłā mnie iak bydłē , i płakać nie daie.

M E R K U R Y.

Ja tak zawsze.

S O Z Y A.

Mało ci sławy złąd wynika ,

Że masz we mnie z zaięczēm sercem przeciwnika.

Lada kto tak potrafi — nie łapie lew muchy ,

Nie biie piorun w doły , orzeł wróble puszcza .

Nie na takich się , iak ia , tchurzach znaczą zuchy.

Wstydź się , tak iarmarkowa tylko robi tłuszczā.

M E R K U R Y.

Aleś iuż nie Sozya?

S O Z Y A.

Wszystkie twoie razy

Żadnéy we mnie nie mogly sprawić przeobrazy ,

Chyba tylko w tym iednym , że Sozya dawny

Cały , zuch ; terażniejszy tchurz , zbity , nie sławny.

M E R K U R Y.

Co? ty ieszcze Sozya?

S O Z Y A.

Za cóż zawsze z kiem?

M E R K U R Y.

Za cóż ty się , niecnolo , nazywasz Sozyiem?

S O Z Y A.

Wola twoia — nie równa potyczka i pole ,

Ty z męstwem , ia bez niego , zatym milczēć wolę.

M E R K U R Y.

Nie lotrze, czy po dobrej woli, czy przez dzięki  
Musisz mnie odpowiedzieć, czyś Sozya, czy nie

S O Z Y A.

Tyś mój twórca — ja twoiey iestem zlepek ręki,  
Będę czym chcesz, czym twoiey zda się być wicinie.

M E R K U R Y.

Byłeś tedy Sozą?

S O Z Y A.

I z duszą, i z ciałem

Aż do tego momentu być się nim mniemałem,  
Ale twój kiy przez iakieś niepojęte cuda,  
Dowiódł mi, że to była mara, sen, obluda.

M E R K U R Y.

Otóż to ja Sozya, pan mój Amfitryo.  
Znaią mnie w calych Tebach:

S O Z Y A.

Ty bylbys Sozą?

M E R K U R Y.

Tak, nie inaczey, iestem Sozą.

S O Z Y A, (na stronie.)

O nieba!

Więc mi się dziś samego siebie zaprzeć trzeba,  
I dozwalać, że ieden, kto wie? może złodziej,  
Mną się mieni, i w obec mnie, za mnie uchodzi !!  
Zacóżem tchurz?

M E R K U R Y.

Co tam Wać szemrzesz nie wyraźnie?  
Tylko piśniy, taką, ci, chłystku, sprawię łaźnię.

S O Z Y A.

Nic nie mówię.—Lecz przebóg! racz dozwoić tyle  
Przynajmniej, niech mi wolno z tobą mówić chwilę.

M E R K U R Y.

Możesz.

S O Z Y A.

Lecz pod warunkiem—uczynimy przymierze  
Ze bić nie będziesz.

M E R K U R Y.

Zgoda.

S O Z Y A.

Szczerze mówisz.

M E R K U R Y.

Szczerze.

S O Z Y A, (*odstepując od niego.*)

Kto ci tak śmieszłą głowę nabił fantazyą?  
Co ci z tąd przyidzie moiem nazywać się mianem?  
I czy możesz dokazać, choćbys był szatanem,  
Żebym ia przestał mną być, przestał być Sozyą?

M E R K U R Y.

Znowu swoje?

S O Z Y A.

Mospanie! pomniy na przestrogi

Traktatu ; wszak przymierze waruie batogi.

M E R K U R Y

Ale, łotrze, szubrawce, hultaiu, niecnoto.

S O Z Y A.

Co do obelg—słowo wiatr—gadaj—mnieysza o to ,  
Lecz nie biy.

M E R K U R Y.

Tyś Sozya?

S O Z Y A.

Tak — na moję duszę.

M E R K U R Y, (*zabierając się do bicia.*)

Skoro tak , więc się nasze zrywaią soiusze.

S O Z Y A, (*z odwagą*)

Bierz ich kaci! nie wiem co może ztąd wyniknąć.

Mnie iednak , choćym i rad , niepodobna zniknąć.

Kto kiedy slyszal w świecie o takim zdarzeniu ,

Takim maceniu prawdy , takim omamieniu ?

Kiedy ia stwierdzam moję rzecz dowodów nie stem

Ty usadzasz się dowieść , że ia mną nie iestem.

Czy mi śni się ? czy drzymię ? czy nareście iaka

Moc zloczynna zrobiła ze mnie maniaka? (ności ,

Nie śpię , nie głupim — Wszystkie mam człeka zdol-

Rozum , pamięć... prócz woli—czuję się przez kości,

Ze mnie bolą — A potym , czy nie iestem poslem

Do Alkmeny ? czy tyle nowin iéy nie nioslem ...

Jak Pteryła z zastępem swoim zginął marnie ,

Jak nasi... Czyliż w ręku nie trzymam latarnię?  
 Czym cię nie zdybał blisko naszego podwórza?  
 Czym nie skromnie na twoje mowy odpowiedział?  
 Czyś mnie wnet nie osiodlał, widząc z miny tchurza?  
 Czyś mnie nie tłukł, i jeszcze gwałtu wołać nie dał?  
 Bodayby tak nie było iak jest rzeczywiście?  
 Więc, niech się na tym moje kończy utrapienie,  
 Niechay przynajmniey wolne mam do domu wnie-  
 Niech się uiszczę w moim posłaniu Alkmenie. (ście,

M E R K U R Y.

Nie ruszaj się, bo ci leb rozplątam na dwoie,  
 To wszystko, co powiadasz, prócz kiiów, jest moje.

S O Z Y A. (na w pół z płaczem.)

Mam świadkiem tę latarkę, naylepięć wie ona:  
 Żem poseł do Alkmeny od Amfitryona.

M E R K U R Y.

Kłamiesz, ja iestem poseł, ja nie masz momentu:  
 Jako się w porcie Perskim wybrawszy z okrętu,  
 Z woli Amfitryona niosę wieść do domu  
 Zupelnego związkowych przez niego pogromu —  
 Slowem; ja to Sozya, syn pasterza Dawa,  
 Brat Arpaga, co nam gdzieś zginął za granicą,  
 Mąż Kleanty, która mi kością w gardle stawa,  
 Będąc naygorszą w świecie babą, sekutnicą:  
 Ja nareszcie, któremu przez wzgląd sprawiedliwy,  
 Za iedno arcy sławne w księgach przedsięwzięcie,

Ku wiecznemu wspomnieniu żem człowiek poczciwy,

Urzędowe kazano przycisnąć pieczęcie.

S O Z Y A, (na stronie.)

Tak wszystko, iak z rejestru. Co tylko powiedział,  
Gdyby nie był Sozym, nigdyby nie wiedział.

Prawdziwie, im się więcéy zamyślam w téy mierze  
Wychodzę z wątpliwości, i poniekąd wierzę.—

Jak go teraz uważam, mój wzrost, moja mina,  
Moie ruszenie, nawet i moja czupryna —

Lecz badaymy go dalcý. (głośno) Z schedy rozdawni-  
(czéy,

Co po nieprzyjaciolach mój pan wziął w zdobyczy?

M E R K U R Y.

Pięć wielkich dyamentów kunsztownéy osady,

W które herszt ich stroił się od wielkiéy parady.

S O Z Y A.

Dla kogoż ten dar drogi przeznaczył?

M E R K U R Y.

Dla żony.

S O Z Y A.

Gdzież iest?

M E R K U R Y.

W pudełku, pańską pieczęcią strzeżony.

S O Z Y A.

Gdyby też o włos chybił — racye, iak kliny!

Niechayże pierwey kiie, lecz teraz przyczyny  
 Daie tak mocne, tak mi z podobieństwem przeczy,  
 Ze, kto wie? czy Sozą nie iest w samey rzeczy —  
 Jednak, gdy się obaczę, gdy spoyrzę po sobie,  
 Zdaie mi się, że iestem sam w swoiey osobie.  
 Prawdziwie odurzałem, ani myślą trafię,  
 W którym światła mam szukać życia paragrafie;  
 Cały mi wiek tak przetrząśł. Powoli! nie cały;  
 Nie tknął żołnierki, gdzie iak waleczny generał,  
 W pewnym harcu na wszystkiem strony się obzierał,  
 I choć sam, czulem iednak, że mi łytki drżały.  
 Zagadnę go. — Co na to, dalbym moią szyię,  
 Ze, iak wąż zwinie mi się — tak go z toru zbię;

(głośno)

Gdy przyszło do potyczki, tyś został z obozem  
 Przy iukach. Cożeś robił?

M E R K U R Y.

Siedziałem pod wozem.

S O Z Y A.

(cicho) Zgadł. (głośno) Cóż więcęy?

M E R K U R Y.

Drabując woienne rynsztunki,  
 Przypadkiem natrafiłem na torbę wędzunki,  
 I duży bukłak wina — usiadłem spokojnie,  
 Jadłem, piłem, zlorzecząc żołnierzom i wojnie.



S O Z Y A, *(na stronie.)*

Tym mnie dobił. — Ta skryta pod wóz reyterada;  
Ta wędzonka, to wino, ten sposób myślenia  
Moiego względem wojny, które mi wymienia,  
Są za nim przeciwko mnie dowody nie lada.

*(głośno.)*

Teraz mi sięk zadaleś, którego nie ruszę.  
Przeczyć ci Sozyostwa byłoby daremnie;  
Lecz, kiedyś ty Sozya, co chcesz zrobić ze mnie?  
Bo nareszcie i ja też czymkolwiek być muszę.

M E R K U R Y.

W ten czas, gdy ja przestanę być Sozyą, zgoda;  
Bądź nim, lecz póki iestem... łóżko, albo mary.

S O Z Y A.

Prędzėyby się zgodziły wraz ogień i woda,  
Jak twoie mowy z rzeczą nie snadną do wiary.

*(na stronie.)*

W tym odmęcie sam sobie poradzić nie umiem,  
Zda mi się że tak widzę, inaczej rozumiem.  
Wszelako trzeba skończyć iakkolwiek tę bidę,

*(głośno.)*

Naykrótsza dla mnie droga.. Zegnam cię i idę.

M E R K U R Y.

Czekay. Dokąd?

S O Z Y A.

Do domu.

M E R K U R Y.

Tobie, widzę, saku,  
Moja ręka i kiie przypadły do smaku.—

S o z y a, (*bity od Merkurego.*)

Miłosierdzie, pofolguy, przebóg! gwałtu, dosyć.  
(*na stronie.*)

Zły duch, gorzey mnie ieszcze skatował, iak osła.  
Arwan diabłu, trzeba się do portu wynosić;  
Można mówić z honorem rzecz sprawilem posła.  
(*odchodzi.*)

M E R K U R Y.

Przepędziłem nareszcie tego bałamuta.  
Broił też łotr nie mało; za grzechy, pokuta.—  
Otóż Jowisz z Alkmeną. Co stąpi, to skłamię.  
Smiać mi się chce, widząc go z tą zalotną miną:  
Ociec bogów z piorunem, mniéy niż człek z dziew-  
Natura w nim zgładziła święte bóstwa znamie. (*czyną*)

## S C E N A III.

J o w i s z (*w postaci Amfitryona,*) A L K M E N A.

J o w i s z.

Tym, acz mi boskie w wdziękach twych iawią rosko-  
Każ, Alkmeno, opodal stanąć światłom, proszę. (szę,  
Mogłby one odkryć moje tu przybycie,  
Które względ słuszny radzi taić przyzwoicie.

Powołany urzędem do przewag Bellony,  
 W samey sławie nie kontent, gdy z tobą dzielony,  
 Ważyłem się ubliżyć moiey powinności, (kności.  
 Roniąc część chwil iey własnych, dla hołdu pię-  
 Na ten krok, choć w tak pięknym uczyniony celu,  
 Jak znam powszechność rzadko w zdaniach sprawie.  
 Mógłyby nierozsądne Teby patrzeć krzywo. (dliwą  
 Tobie chcę się podobać, lecz strzegę się wielu.

## A L K M E N A.

Masz we mnie uczestniczkę radości z téy sławy,  
 Którą zasługa dzielne twoie wieńczy sprawy;  
 I ta miłość tak czuła teraz się domierza,  
 Gdy mogę w mężu kochać męztwo i rycerza. (szczyty  
 Z tém wszystkiém, gdy pomyślam, że mnie te za-  
 Rozłączają z kochaniem tak drogim iak życie,  
 Nie ze wszystkich słabości wyzuta kobiety,  
 Przyznaię się: niekiedy złorzeczę im skrycie.  
 Prawda, zacniejszey chluby niebo nam nie dało  
 Nad tę: widzieć kochanka okrytego chwałą,  
 Lecz sławy z niebezpieczeństw wyrok nadto śliski,  
 Toż ręką wiie wieńce co rzuca pociski.  
 Wtym razie najmniejszego wiadomość spotkania,  
 Jakim serc przywiązanych bólem nie rozrania! (gi!  
 W iak smutne myśl tęskniącą nie wprowadza trwo-  
 Niech się iakim chcą laurem mężne zdobią skronie,  
 Mimo współnictwa sławy zaszczyt dla nas drogi,

Wybacz, co powiem: nic to nie osłodzi żonie  
Tych niesmaków, tey serca zgryźliwey kolei,  
Często pewniejszych strachów, iak wiernych nadziei

J o w i s z.

Co tylko w pełney wdzięków postrzegam Alkmenie,  
Jey stwierdza, moie więccey rozżarza płomienie,  
Tak kochając, znaleźć się kochanym, wyznaię,  
Ze téy roskoszy równą, ledwie maiaę raie.  
Jednak daruy śmiałości w tém, co ci przełożę:  
Mimo tak pewne twoiey miłości znamiona,  
Przyznaię się, że moia nie dość dogodzona  
Chciałaby z niey oddalić wszelki wzgląd na łożę,  
Żeby to co naywiększy dowód iey stanowi,  
Jdąc z źródła czulości, bez względu na szluby,  
Miało cel dogodzenia, nie iako mężowi,  
Lecz, iak godnéy tych darów, iak osobie lubéy.

A L K M E N A.

Przecież nie inny powód, iak tylko, żem żona,  
Czyni mnie tak powolną dla Amfitryona; (dna,  
Ani, przyznam się, rzecz ta iest dla mnie dość wi-  
Przez coby miłość twoia teraz tak wybrydna.

J o w i s z.

Przeto, że żywszą chęcią porywa Alkmena  
Nad te, które czuć mogłbym dla związków Hymena.  
W tym zaś razie nie póymiesz iakiego wytworu,  
Jakiey delikatności, ostrożnie troskliwa,

Gdy idzie o iey szczęście, miłość nie używa,  
 Zazdrośna aż docienia, i iego pozoru.  
 Alkmeno! widzisz we mnie kochanka i męża;  
 Jednak, mimo te względy lube sercu oba,  
 Jeden mi się kochanka względ tylko podoba;  
 Ten mnie ieden zniewala, ten ieden zwycięża.  
 I przyznam się, w najwyższej roskoszy momencie,  
 Zupelnemu iey czuciu męża mam na wstręcie.  
 Ten kochanek o swoje zawisny bez granic,  
 Chce dla siebie mieć wszystkie czucia bez udziału,  
 Chce wszystko od miłości, chce od iey zapalu,  
 Inne wzruszenia, skoro dla męża ma za nic.  
 Slowem, chce z czystych źródeł swoje czerpać dary,  
 Żeby zgola nie miały nic z Hymenem związku,  
 Nic pobudki z winnego slubom obowiązku,  
 Nic z srogiey powinności, nic z ślepey ofiary,  
 Przez które, co by roskosz miała czuć się słodziey.  
 W martwe smaki, lub cierpkie gorycze przechodzi?  
 Zgola w tym powolności twoiéy się napieram,  
 Niechay, iak mąż do ciebie mam przystęp dla cnoty,  
 Ale co się roskoszy tycze i pieszczoty,  
 Niechay ie z rąk swobodney miłości odbieram.

A L K M E N A. (z podziwieniem.)

Cóż to? żartujesz, mężu? — Co słowo to gadka!  
 Kontentam, że przynajmniej mówimy bez świadka;  
 Juaczey bałabym się, żeby ten ton pusty

Nie wziął kto za bezecneý wykwinność rozpusty.  
Wierz mi, Amfitryonie — urażam się trochę.  
Czy można? z żoną swoją takie mowy płocze.

J O W I S Z.

Rozsądniejsze są one, niż zda się Alkmenie...  
Ale srogie urzędu moiego zrządzenie  
Nie dozwala mi dłużej być z tobą bez winy.  
Żegnam cię, celu serca moiego iedyny.  
Boię się postrzeżenia, noc iuż na zaranku;  
Lecz, ieśli iakązkolwiek masz powolność dla mnie,  
Gdy się z mężem zobaczysz, pomniy o kochanku,  
Tego żądam; i oto proszę cię przynamnie.  
*(odchodzi.)*

A L K M E N A.

Nie myślę tego dzielić, co nieba złączyły,  
Jak kochanek, i iak mąż równieś dla mnie mily.

S C E N A IV.

K L E A N T Y S, M E R K U R Y.

K L E A N T Y S, *(na stronie.)*

Co tu pieszczot w rozstaniu! co za miłość rzewna,  
To to mąż kochający, to to żona czuła!  
Jak daleki od tego iest mój safandula!  
Ni on świeci, ni grzeie, wierutny kloc drewna,

M E R K U R Y. *(na stronie.)*

Rozeszli się kontenci z siebie zalotnicy —  
 Odprawię noc, więcey nam nie będzie iey trzeba;  
 Febowi sporą szczyptę dam w nos ciemierzycy:  
 Wlazł włożko, śpi i kontent; a tu czas do nieba.  
*(chce odchodzić.)*

K L E A N T Y S.

Tak to się wać rozstaiesz ze mną? cóż to znaczy?

M E R K U R Y. *(z ofuknieniem.)*

Osobliwsze pytanie! Jakże chcesz inaczey?

K L E A N T Y S.

Jak inaczey? i jeszcze tak burczącym tonem.—

M E R K U R Y.

Na czym wózku iedzisz, tego piosnkę śpieway.  
 Bzdurz co ci się podoba, gnieway się, nie gnieway,  
 Nie dbam o to; muszę iść za Amfitryonem.  
 Kto służy wolność traci —kiedy chcesz bądź zdrowa.

K L E A N T Y S.

Tak nagle, bez uścisku, bez dobrego słowa?

M E R K U R Y.

Uściski! dobre słowo! — powabne łakocie,  
 Można mówić. — Będziesz ie wreszcie miała; ale  
 Nie dziś pora tym bredniom, nie mam czasu wcale.

K L E A N T Y S.

Hultaiu! tak o zięmbie rozstawać się..

M E R K U R Y.

Co cię

Też gniewa....

K L E A N T Y S.

Co mię gniewa? odchodzić tak szybko,  
 Nie rzekłszy mi przynajmniej: duszo, serce, rybko,  
 Bądź zdrowa, do widzenia, bogu cię oddaię.

M E R K U R Y.

To, to, to, ba ieszcze co—stare, dawne baie!  
 Piętnaście lat żyć z sobą: nie wczoraysze stadło!  
 Wszystko iedno, a iedno, wreszcie się przyiadło.

K L E A N T Y S.

Przyiadło się? przyiadło? — Nie widziałeś pana,  
 Jak od niego Alkmena czule uściskana,  
 Jak żalсны odchodził, iak w samém milczeniu  
 Ognistą tchnął miłością?.. nie tak, iak ty, leniu,  
 Niedoleżny, drewniany, nieczuły.

M E R K U R Y.

Ba! ha! ha!

Właśnie też! konia kują, nadstawia się żaba.  
 Gadasz ni w pięć, ni w dziewięć—U nich pierwsze  
 Pierwsza miłość, to się to iak żywica pali. (żniwo,  
 Lecz, co w nich wdziękiem, w nas by miało minę  
 Pamiętasz? wszak i my się przed laty ściskali! (krzywą  
 Ale teraz, coby mógł mówić iaki taki.  
 Widząc nas klejących się z sobą, iak ślimaki?



K L E A N T Y S.

Czyż to ja mam już minę strycha, starey baby,  
Żeby mnie nie uściskać?

M E R K U R Y.

Któż mówi o strychu,  
O babie? iac to iestem i stary i słaby.  
Tobie umizg do twarzy, we mnie wartby śmiechu.

K L E A N T Y S.

Nie wartes z tak pocziwą żyć oblubienicą.

M E R K U R Y.

Prawda, nadtoś pocziwa, co mi kaduk po tem:  
Bądź raczey mniey pocziwą a mnieyszą złošnicą.  
Łagodność, to ma pierwszym być w żonie przymio-

K L E A N T Y S.

(tem,

Więc mi ganisz, że życie bez zgorzenia wiodę.

M E R K U R Y.

Mam się w tym obojętnie. Rzuć swoje narowy,  
Nie rób w domu hałasów nie turbuy mi głowy,  
Kwituię cię z wierności, za pokóy i zgodę.

K L E A N T Y S.

Więc ty byś takiey żony chciał, iakich iest mnóstwo,  
Co mężów uściskami ledwie nie zagniotą,  
Ulatwiając pokątnie niecne cudzołóstwo?

M E R K U R Y.

Ey! moia dobrodziko, mnieysza, mnieysza: o to.  
Złe z mniemania, prócz głupich, nie boli nikogo,

Ja zaś mam, dzięki bogom, spełna rozum w głowie;  
 Chociaż z mniejszym honorem, hyleby żyć błogo:  
 Ten mój sposób myślenia, to moje przysłowie.

K L E A N T Y S. (stojnie?)

Więc nic nie rzekłbyś, choć bym żyła mniej przy-

M E R K U R Y.

Byle w domu bez piekła, bez krzyku, spokojnie,  
 Daię ci pozwolenie, żołduy gaehów roty.

Wolę nalóg wygodny, iak trapiące enoty.

Ale dość tego na dziś — muszę gonić pana.

Dó widzenia, Kleanto nieoszacowana,

Bogów straży poruczam twoje oczki piękne.

(*odchodzi.*)

K L E A N T Y S.

Naturo! iakżeś mocna, że z złości nie pękne.

I co mnie trzyma, że się zwykłym żon zwyczajem,

Nie mszczę nad tym szubrawcem, niecnotą, hultaiem

Ah! nad wszystkie trosk łoża i zgryzot ciężary,

Cięższa mi dziś pamiątka dochowaney wiary!

## A K T II.

## S C E N A I.

A M F I T R Y O, S O Z Y A.

A M F I T R Y O.

Póđź sam tu, nic dobrego! — a wiesz ty, hultaiu,  
 Że się takie nowiny kończą na nahaiu?

I żeś dotychczas cały, ieszcze myślę; aczy  
 Rozum twój sprostuie się i z głupstwa obaczy?

S O Z Y A.

Skoro do nas maią się przypytać nahayki,  
 Przy panu zawsze słusność, przy mnie będzie wina.

A M F I T R Y O,

Za cóż ty prawdą mienisz taki fałsz i bayki,  
 I prawisz, co ci, lotrze, do ust wniesie ślina?

S O Z Y A.

Pan zawsze pan, ia sługa; słowa zatym moje  
 Przyymiesz podług humoru, iaki ci przypadnie.

A M F I T R Y O.

Otoż się, chociaż w słusnym gniewie uspokoię,  
 Jeszcze mi to raz powtórz iasno i dokładnie,  
 Zeby, nim się pokażę żonie i domowym,

Mieć iakieś światło, nie być ni to w tym ni w owym,  
Puść myśli na uwagę, iak ziarno na przetak,  
Żebyś mi słowo w słowo mówił: tak, lub nie tak.

S O Z Y A.

I owszem — wprzód atoli czyniąc pewność sobie,  
Pytam się, w iakim z panem mówić mam sposobie?  
Czy idąc za rzetelném sumienia prawidłem,  
Czy, iak lubią panowie, z kłamstwem i kadzidłem?

A M F I T R Y O.

Owszem, mimo to, że się twoim różnisz stanem,  
Mów ze mną, iakby z równym sobie, nie iak z panem,

S O Z Y A.

Bardzo dobrze — dość na tym — cała rzecz odbyta.  
Gotówiestem na wszystko, słucham, niech pan pyta.

A M F I T R Y O.

Gdyś odebrał mój rozkaz?

S O Z Y A.

O teyże godzinie

Wyszedłem — Niebo było czarne, iak w kominie:  
Za ten rozkaz, myślałem sobie: iak pan wstanie,  
Życzę mu, niech zie kopę diablów na śniadanie,  
Drugie tyle na obiad, czworo na wieczerzę...

A M F I T R Y O.

Hultaiu!

S O Z Y A.

Pełnię rozkaz, odpowiadam szczerze

Lecz gdy prawdą urażam, u mnie nie nowina  
Kłamać; zelżę natychmiast.

A M F I T R Y O, *(na stronie.)*

Patrzcie poganina!

Tak wszyscy nie ma! słudzy! za stratę swobody  
Klną nas!... ma!e!y poniekąd wymiarem nadgrody.  
*(głośno),*

Cóż tam dalej w podróży?

S O Z Y A.

Przez czas onę!y wszytek  
Czu!em trzęsienie, nie wiem, czy ziemi, czy lytek.  
Dość żem się trząsł— stąpa!em, iak w nie swoi!e!y

A M F I T R Y O. *(skórze.)*

A! tchurzu tchurzu!

S O Z Y A.

Trudno dać pozew naturze.  
Nie pod iedną rodzi się ka!dzy cz!owiek datą;  
Jeden ma w głowie równo, drugi ma pstrokato:  
Ten na śmierć iak na taniec, sam swoi!e!y rad zgubie;  
Ja zaś mam mo!e! roskosz w życiu, bo żyć lubię.

A M F I T R Y O.

Gdy przyszed!e!ś do domu?

S O Z Y A.

Maiąc w głowie tyle,  
Malucz!ką przededrzwiami wstrzyma!em się chwile!,  
Sma!ąc buyne koncepta, i rozumne treści,

Na okrasę poselskiej o wojnie powieści.

A M F I T R Y O.

Potém?

S o z y a.

Przeszkadzono mi.

A M F I T R Y O.

Kto?

S o z y a.

Jakiś drugi ia,

Pański służebnik, z portu wysłany Sozya  
Z tymże rozkazem goniec; który wszystko to wie.  
Co tylko mogę wiedzieć ia, co z panem mówię.

A M F I T R Y O.

Co za bayki!

S o z y a.

Nie bayki, mam na to dowody —  
Ten ia, pierwey, niżli ia, przyszedł do gospody,  
Tak dalece, że nim ia z podróży przybyłem  
Ja drugi dawno w domu iuż się rozgościłem.

A M F I T R Y O.

Ale co się z tak dzikiéy ma zawiązać mowy?  
Sen, pianaństwo, złośliwy żart, czy zawrót głowy?

S o z y a.

Jest to prawda tak iasna, iak słońce bez plamy  
Jak to, że tu stoiemy, iak to że dzień mamy,  
Ze zamiast mnie iednego, dziwną iakąs siłą,

Gdy do domu przyszedłem, dwóch nas się zjawilo.  
 Jeden ia, co tu u nas został na załodze,  
 Drugi ia, co do domu na powrót przychodzę,  
 Z tą tylko małej bardzo różnicą odmiany,  
 Że tamten ia, zuch, hoży; ten ia zmordowany,—  
 Tamten ia, zdrów, gdyby rydz, istny łotr, biy zabię.  
 Ja ten, com się miał z drogi, iak nie można, słabiy.

A M F I T R Y O.

Jakię mi cierpliwości potrzeba z tym trutniem!

S O Z Y A.

O! ieśli tak, Mospanie, rzecz natychmiast utniem.  
 Daliśmy sobie słowo prawdy uroczyście.

A M F I T R Y O.

Dotrzymam go. — Jednakże na twoie sumienie,  
 Powiedz, ieśli ta mowa nie iest chaos czyste.  
 Jeśli ma choć cień prawdy?

S O Z Y A.

Ia sam mówię że nie?

Toż powiedzą i drudzy — rzecz trudna do wiary,  
 Bayka, cudo, pokusa, omamienie, czary,  
 Dziwo, mara... bis tego nie zgadnie, co znaczy?  
 Z tym wszystkim, mówiąc co chcąc, tak iest nie

A M F I T R Y O.

(inaczey,

Przecież się zamyśliwszy nad rzeczą rozumnie...

S O Z Y A.

Z razu ona nie więcę miała wiary u mnie,  
 Z razu moię dwoistość mniemałem chimera;

Mnie tego fantastykiem, tamtego przecherà;  
 Lecz wreszciem się przekonał tak mocnie i iasno,  
 Ze w tamtym mnie uznałem moję postać własną.  
 Z nóg do głowy tenże sam, téy saméy urody,  
 Tego wzrostu, téy tuszy... wszystkie moje wdzięki...  
 Słowem, dwie podobniejsze nie są krople wody;  
 I gdyby nie to, że jest ciężkiéy trocha ręki,  
 Że mnie strasznie skatował, i omal nie ubił,  
 Bylbym dość z siebie kontent, dosyć bym go lubił.

A M F I T R Y O.

Ten głupiec wielka moięy cierpliwości próba!  
 Byłżeś? nie byłżeś w domu?

S O Z Y A.

To mi się podoba!

Jakże można być było? Sam stałem na warcie,  
 Sam się na moie od drzwi zasadził odparcie,  
 Sam sobie stać kazalem o staie od progu.

A M F I T R Y O.

Przyczyna?

S O Z Y A.

Wielka bardzo! przyczyna w batogu;  
 Czuję iey przekonania (do tychezas na grzbiecie.

A M F I T R Y O.

Obito cię?

S O Z Y A,

Toć nieco.



A M F I T R Y O

Kto? iak? za co? przecie?

S O Z Y A.

Któżby miał? — ja sam.

A M F I T R Y O.

Ty sam? któż sam siebie biie?

S O Z Y A.

Ja pierwszy, nie ten w prawdzie ia dobry iak owca,  
Lecz tamten, co iest w domu, ia gorszy nad źmieie.

A M F I T R Y O, (*na stronie.*)

Nieszczęściu oddaie cię takiego mozgowca.

S O Z Y A.

Tamten ia, kórego tu zostawił nie dawno,  
Mierzony talentami ze mną, co tu stoie,  
Dał poznać wyisość swoich talentów nad moie;  
Ma serce odwazniejsze, rękę lepiéy wprawną;  
Zgoła kawaler z niego i dziarski, i hoży,  
Tak mnie srodze skatował, iak nie można srożéy.

A M F I T R Y O.

Widziałeś się z Alkmeną?

S O Z Y A.

Nie widziałem.

A M F I T R Y O.

Czemu?

S O Z Y A.

Ważne były przyczyny na przeszkodzie temu.

## A M F I T R Y O.

Pókiż obojętnemi ludząc mnie wyrazy  
Będiesz, szalony głupcze, takie prawić baśnie?

## S O Z Y A!

A niechayże nareszcie iasny piorun trzaśnie,  
Zawsze iedno, a iedno mówić po sto razy.  
Otóż ieszcze raz, lecz iuż ostatni powtórzę.  
Ja, ów to ia mocniéjszy odemnie daleko,  
Ja, co dom nasz i cale ubiegłem podwórze, (sieką,  
Ja, com u drzwi na straży, iak drab, stał z na-  
Ja, co mnie za moiego nie przyznałem družbę,  
Ja, o moje zawisny imie, urząd, służbę,  
Ja, dzikszy nad Iapitów, zuchwalszy nad Traki,  
Ja, który mnie thurzowi dalem się we znaki:  
Słowem ia, który teraz w domu naszym goszcze,  
Ja, który kiedy zaczną należycie chloszczę,  
Mnie temu, co tu stoię, taką sprawił łaźnię,  
Tak się z nim obróciłem i gracko i raźnie,  
Że nie mogąc wytrzymać źle dobraney bitwy,  
Uciekłem — mając tonąć, chwyciłem się brzytwy.

## A M F I T R Y O.

To iest nie co innego, tylko pianica  
Zalał rozum, i głowę ma rażoną szalem.

## S O Z Y A.

Panie! niech mnie naywyższa spotka szubienica,  
Jeśli, prócz wody, kroplę czego w ustach miałem.

A M F I T R Y O.

Więc spałeś — może ci się we śnie przywidziało?

S O Z Y A.

Snu na moich powiekach nie miałem noc całą,  
Co większa, sam w tym razie nie ufając sobie,  
Tarłem, tarłem, i ieszczem przetarł oczy obie:  
Lecz mimo powtórzonych doświadczeń mało sto,  
Tylem tylko wziął śladu w tęg kaduczney sprawie,  
Że i ja, który byłem, nieszczęściem pod chłostą,  
I ten, co mnie bił, oba byliśmy na iawie,  
Z tą iedynie różnicą, że nie w równéy sile.

A M F I T R Y O.

Dość tego balamuctwa. — Potrzeba mieć tyle  
Jle mam cierpliwości, żeby się tak długo  
Umawiać, bis wie o co, z głupszym coraz sługą.

S O Z Y A, (na stronie.)

Prawda u was ten głupi, kto wam nie podchlebia.  
Wielka wada w ubogiem prosta odzież z grzebia.  
Wszystko głupstwo, co powie. Włóż te same słowa,  
W usta pana, co większą iada sztukę mięsa,  
W iaki wnet przéyda rozum, wiak wysokie sensa!  
Choć często z złotym barkiem do pozłoty głowa.

A M F I T R Y O.

Póydź ze mną. Lecz co widzę! Te, które mną władną  
Wdzięki, ta piękność zinną nie zrównana żadną,  
Alkmena bóstwo moje; o chwilo szczęśliwa

Dla mnie! dla nięty tym więcéy szacowna i słodka,  
 Że gdy się męża najmnięty powrotu spodziewa,  
 Zdybie na drodze miłość, z wzajemną ią spolka.

## S C E N A II.

ALKMENA, KLEANTYS, AMFITRYO, SOZYA.

ALKMENA (*nie widząc Amfitryona.*)

Szлюб za męża moiego uczyniony zdrowie  
 Czas dopełnić Kleantys; czas winne nieść dzięki  
 Za zwycięstwo i sławę ktore ziego ręki  
 Raczyli miłościwi dać Tebom bogowie.

(*postrzegając Amfitryona.*)

Nieba!

A M F I T R Y O.

Wzywam ich laski, niech to sprawią żeby  
 Amfitryon, zwyciężcą wracając z potrzeby.  
 Lubym był tobie gościem; by ta chwila miła  
 Z iednym cię zawsze sercem moiemu wróciła;  
 Żeby te, które miłość nieci w nim pożary,  
 Iedney były z moimi mocy, iedney miary.

A L K M E N A.

Tak to prędko z powrotem?

A M F I T R Y O.

Tak prędko? co słyszę!  
 Takimże to więc tonem, gdy mocna, gdy żywa  
 Z serca niespokoynego miłość się odzywa?

Lub co więcej ięć martwe oznaczy zacisze?  
 Alkmeno! ludzilem się tą myślą przyjemną,  
 Żeś wiek znalazła w czasie pędzonym nie ze mną,  
 Teraz widzę, iak płonne nadzieie mnie mylą!  
 Widzę, że ci aż nadto prędką ubiegł chwilą.

A L K M E N A.

Co ma znaczyć ta skarga?

A M F I T R Y O.

W podobnych zdarzeniach  
 Czas tęsknotą mierzony, leniwy w westchnieniach  
 Nadto się długo ciągnie; ty zaś, iak kontenta,  
 Jak mało kochająca, zliczyłaś momenta.  
 Tak prędko? co za wyrząd! Prawdziwe kochanie  
 Za śmierć ma oddalenie, przytomnością żyje,  
 I ten, komu prawdziwie serce sprzyia czyie,  
 Zawsze się późno wróci, skwapliwie rozstanie.  
 Alkmeno! daruy słuszne żalu przełożenie:  
 Innego powitania śmiałem mieć nadzieie,  
 Miłość twoją czuć miałem przez mocne płomienie;  
 Zimne zastałem serce, skra go iey nie grzeie.

A L K M E N A.

Cóż to wszystko ma znaczyć? nie poymię wcale,  
 Na czym zależą moje moje winy, twoie żale?  
 Jeśli względem przyięcia, toć wczoray wieczorem  
 Takie moiey radości widziałeś znamiona,  
 Jakie może okazać kochanka iżżona,

Nayrzetelnieyszą miłość łącząc z iey pozorem.

A M F I T R Y O.

W czym? iak?

A L K M E N A.

Na czym naywiększe znaki iey iey zawisły,

Duch w westchnieniach ginący, obląkane zmysły,

Moc mówienia odjęta, którą wyręczały

Ustawiczne uciski oddane wzajemnie.

Możnaż miłość tkliwszemi okazać zapały,

I co więcéy w tym razie chciałeś znaleźć we mnie?

A M F I T R Y O.

Co mówisz!

A L K M E N A.

Przepędziwszy noc całą w pieszczocie,

Dogodzony i kontent wyszedłeś o świcie:

A żeś nic o tak prędkim nie wspomniał powrocie,

Zem się wraze zdziwiła, było przyzwoicie.

A M F I T R Y O.

Wszystko to gadką dla mnie — chyba ci się wcześniej

Z upragnieniem żądana rzecz przypadła we śnie;

A przyiąwszy mnie ludzko w czczy mary wystawie,

Co było rozmarzeniem, mniemasz być na iawie.

A L K M E N A.

Chyba, że tobie pary iakiey szkodne iady,

Raziwszy głowę, oby! nie długim zawrotem,

Zatarły wczorayszego widzenia się ślady;

Chyba, że tym, iakby dziś dopiero, powrotem  
 W nyczystszej myśli daną ofiarę miłości  
 Chcesz obwinić, chcesz ją swej zbawić uczciwości?

A M F I T R Y O.

Dzięki za tę troskliwość, ale dosyć zdrowy  
 Upewniam cię, żem prożen wszelkich błędów głowy.

A L K M E N A.

I mnie się też nie śniło.

A M F I T R Y O.

Skoro się nie śniło,  
 Co chcesz znaczyć przez taką odpowiedź zawilą?

A L K M E N A.

Jeśli ci głowy iakie nie raziły pary,  
 Co za poręka twoiey prawdy, moiey wiary?

A M F I T R Y O.

Zaniechayże tych swoich waporów Alkmeno.

A L K M E N A.

Proszę i ia na wzajem czynic mnie senną.

A M F I T R Y O.

W takiey sprawie, o iaka rzecz iest między nami,  
 Za daleko ten idzie, kto idzie żartami.

A L K M E N A.

Prawda, żadna się żartem nie oczyści wina,  
 I twój, mężu, bądź pewien, gniewać mnie zaczyna.

A M F I T R Y O.

Więc gniew tylko za sobą masz w swoiey obronie?

A L K M E N A.

Możeż mnie twóy obwinić żart, Amfitryonie?

A M F I T R Y O.

Ale przebóg! Alkmeno! proszę mów przytomniéy.

A L K M E N A.

I ia cię także proszę, żartuy ze mną skromniéy.  
W innym sposobie, wolno — przyymę żart z ochotą,  
Ale żartu z honorem nie ma, ani z cnotą.

A M F I T R Y O.

Jako? śmiesz mówić, że mnie pierwey, niż dziś rano,  
Z wieczora, czyli z nocy wczora tu widziano?

A L K M E N A.

Pewnie myślisz zaprzec się? tak iest, tak iest, wczora  
Tylko co słońce zaszło, natychmiast, z wieczora.

A M F I T R Y O.

Z wieczora?

A L K M E N A.

Y ledwie noc była na świtanu;  
Przy słodkiem rozstałeś się ze mną pożegnaniu.

A M F I T R Y O.

Nieba! mógł kto podobne mieć kiedy przypadki,  
Jak iest moy teraznieyszy, tak straszny tak rzadki.  
Sozyo!

S O Z Y A. (*cicho*)

Cwiczek w głowie — życzylbym od licha  
Dać iey z lut ciemierzycy, niechay się wykicha.



## A M F I T R Y O.

Alkmeno, zaklinam cię na najsświętsze względy  
Winney od nas czei Bogom, poznay twoie błędy,  
Zastanów się, rozsądek przywróć rozumowi.

## A L K M E N A.

Nie czuję, Bogom dzięki, żadnego w nim szwanku.  
Wszyscy twoie przybycie widzieli domowi;  
Przyświadczą, żeś dopiero wyszedł na zaranku.  
Nie dociekam z iakowvch czynisz to powodów,  
Lecz gdyby nowych prawdzie potrzeba dowodów,  
Abym zwalila z siebie tę mniemaną winę,  
Wierz mi, Amfitryonie, nie braknie ich tyła.  
Ktoż mi przyniosł ostatniey potyczki nowinę,  
I tę pięć dyamentów ozdobę Pteryła,  
Który szczęściem dla Tebów, słuszną bogów karą,  
Uzacnił męstwo twoie dni swoich ofiarą?

## A M F I T R Y O.

I ieszcze mnie tak dziką chcesz ludzić chimerą?  
Tybyś pięć dyamentów, które chcę dopiero  
Oddać ci w upominku, które za mną niosą  
Już miała?

## A L K M E N A.

Nie chcesz wierzyć? przypatrz się, oto są.

## A M F I T R Y O.

Sozyo!

S o z y a.

Kłamstwo, kłamstwo, daremna wycieczka  
Przecież ie man w zanadrzu — oto iest skrzyneczka.

A M F I T R Y O.

Pieczęć cała?

A L K M E N A.

Pilniéyszym chciey ie przebiedz okiem.  
Jakże? nazwiesz to marą? prawdą? czy urokiem?

A M F I T R Y O.

Nieba! co widzę!

A L K M E N A.

Wstydź się, moy mężu, czy można?  
Z żoną swoją tak płocha zabawa, tak zdrożna!

A M F I T R Y O.

Złam pieczęć.

S o z y a.

A dalibóg! w rzeczy samey pusta!  
Moc czarów, wola Bogów, czy zręczność oszusta;  
Bądź cokolwiek, to pewna, że nas tu ktoś kradnie.

A M F I T R Y O.

Bogowie! których wszemoc nad rzeczami władnie,  
Co za traf! w którą kolwiek stronę myśl się zwróci  
Z boiaźni obumiera, boiaźnią się cuci;  
Wszystko mnie dziś zastrasza.

S o z y a.

Mospanie; z téy mowy  
Wypada, że i pan, tak iak ia, dubeltowy.

A M F I T R O,

Milcz.

A L K M E N A.

Zkąd to pomieszanie? te myśli ponure?

A M F I T R Y O.

Znajduję się w przypadku większym nad naturę :  
 Próżno się rozum w iego poznanie zacieka,  
 Honor! honor mój... pewna obelga go czeka.

A L K M E N A.

Widząc tak iasny dowód, będziesz miał dość czoła  
 Przec swój powrot ?

A M F I T R Y O.

Nie na to nie odpowiem zgoła.  
 Z tém wszystkim, ieśli można, sprawisz mi rzecz miłą.  
 Proszę, powiedz, Alkmeno! iak to? co to było?

A L K M E N A.

Wniosek zatym: skoro chcesz rzecz wiedzieć ode-  
 Ze nie ty, lecz kto inny był tu.. (mnie

A M F I T R Y O.

J owszem nie,

Nie mówię tego, lecz mam przyczyny niektóre:  
 Chciałbym od ciebie saméy słyszeć to powtóre.

A L K M E N A.

Chyba zaprzatnionemu ważnieyszemi dzieły,  
 Ołecne myśli dawnych rzeczy pamięć wzięły.

## A M E I T R Y O.

Cożkolwiek bądź, dasz mi w tym dowód swoiey łaski.

## A L K M E N A

Skoro to między nami ma kończyć niesnaski,  
 Mnie wiarę, tobie ufność, obojgu dać zgodę  
 Rzec ci całą opowiem, całej ci dowiodę.  
 Pomniy skoro w domowych zjawieś się progach,  
 Świadkiem byleś, iak samym wymowna milczeniem.  
 Pierwszą o tobie, drugą myśl mając o bogach,  
 Ledwie ich słabym serca uczila westchnieniem  
 Za to, że ci w tak sławnéy szczęścili powadze,  
 Tyś zaiął wszystkie czucia, wszystkie duszy władze;  
 Dźwignawszy potym ręce niepewne i drżące,  
 Uwisłam ci na szyi, tyś moje wsparł siły,  
 Zdybanym ustom dałam całowań tysiące,  
 Te się w twoich wzmagały, w twoich się gubiły,

A M F I T R Y O. *(na stronie)*

Obym był nie skosztował podobnéy słodyczy!

## A L K M E N A.

To było w rozrzewnieniu nieprzytomnych myśli.  
 Gdyśmy potym do zmysłów zachwycenia przyśli,  
 Daleś mi ten szacowny dar swoiey zdobyćzy.  
 Lecz, co więcéy szacuję — na co się rozplywa  
 Duch moy, ieszcze choć samą cucony wzmianką,  
 Jakem była kontenta, iak byłam szczęśliwa,  
 Gdyś ze mną bawil nie iak z żoną, lecz z kochanką;

Gdyś w naytkliwszych wyrazach, w najsłodszéy  
 Kryślił luby mi obraz twoiego kłopotu, (wystawie  
 Tęsknotę z oddalenia, żądanie powrotu,  
 Dowiedzione niezwykłą radością w zabawie;  
 Zgoła iak ten raz, nigdyś ieszcze nie był pono,  
 Z miłością, takiem dla mnie czuciem ożywioną.

A M F I T R Y O, (*na stronie.*)

Tak srogim uderzony pociskiem co pocznę!  
 (*głośno.*)

Potym?

A L K M E N A.

Potym weszliśmy w rozmowy potoczne,  
 Wzajemne udzielenia dziennych nowin czasu;  
 Dano ieść, usiedliśmy sam na sam oboie:  
 Tyś za moje wypiał, ia za zdrowie twoie;  
 Po wieczerzy poszliśmy do zwykłego wczasu.

A M F I T R Y O.

Razem?

A L K M E N A.

A iakże? śmieszne prawdziwie pytanie.

A M F I T R Y O.

Otóż to iest rospaczy moiey dokonanie!  
 Ta to straszna zasłona smutnego widziadła,  
 Ktoréy balam się dotknąć... stało się! iuż spadła.

A L K M E N A.

Czegoż ci tak gwałtownym twarz płonie rumieńcem?

Cóż tu do wstydu, z swoim spocząc oblubieńcem?

A M F I T R Y O.

To też to jest, co moję niedolę nasroża  
Może kto?.. ia twoiego nie tknąłem się łoża,  
Nie byłem tu, iak dzisiay; i kto mnie inaczey  
Chce przekonać, z moiey się natrzęsa rozpaczy.

A L K M E N A.

Mężu mój!

A M F I T R Y O.

Wiarołomna!

A L K M E N A, *(na stronie.)*

Co za piorun w twarzy?

A M F I T R Y O.

Przepelnione goryczą serce! długo dosyć  
Cierpliwie... zdolne wszystkie umartwienia znosić;  
Na ten raz piekło w nim się zajmuie i żarzy?  
Pomsta nayokropnieysza, w której nieba same  
Wstrzymać mnie nie] potrafią, doścignie tę planę.

A L K M E N A.

Do kogoż ia wymierzysz? z iakięy proszę miary  
Winisz mnie? iaki dowod moiey masz niewiary?

A M F I T R Y O.

W pomście iedyna moja i cała nadzieia;  
Nie mam dowodow kto był, ale wiem, że nie ia.

A L K M E N A.

Przestań, przestań, złośliwy, używać pozoru;

Napaść to oczywista, zmyślone przyczyny.  
 Potrzeba spać ci było znaleźć we mnie winy!  
 Upatrzyłeś ie w krzywdzie moiego honoru.  
 Porzuć ten próżny wybieg, te domysły wieszczę,  
 Ciężkie ci moje łoże. luba spać odmiana;  
 Jeżeli chcesz rozvodu, dziś gotowam ieszcze.

## A M F I T R Y O.

Po tęy zbrodni, o którą iesteś przekonana,  
 Nie czego się innego spodzieway, zdrayczynno!  
 Jeśli tylko gniew słuszny, karę mierząc winą,  
 Nim zerwie te iuż wątle szlubow naszych szczątki,  
 Okropnéy nie zostawi na tobie pamiątki.  
 Darmo! wstyd mój iuż iawny! nieszczęście sprawdzo-  
 Miłość nawet, ta miłość, która zawsze zwykła (ne!  
 Obwinionych w tym razie utrzymywać stronę,  
 Już nie mowi za tobą, iuż w mém sercu znikła  
 Słodycz onęy zupełnie twoia ztrula zbrodnia,  
 Wracam teraz do portu, przyzwę tu Neukrata:  
 Jeśli nie ia, świadectwo przekona cię brata,  
 Zem na krok ieden nie był całą noc aż do dnia.  
 Musi to wszystko na wierzch wyrznąć iak oliwa.  
 Ale pomniy Alkmeno! że gdy się rzecz zbada,  
 Plamę taką częstokroć krew winna obléwa.  
 Jeżeliś mnie zdradzila... mnie i tobie biada...

(*odchodzi*)

S O Z Y A.

Mam iść za panem?

A M F I T R Y O.

Zostań — powrócę w momencie.

K L E A N T Y S.

A ia?

A L K M E N A.

Nie potrzebnaś mi —

S C E N A III.

S O Z Y A, K L E A N T Y S.

K L E A N T Y S.

Wszystko iak w odmgęcie;

Ani chybi odurzał — sęk cały na bracie.

S O Z Y A.

Kata prawda, w kaduczney pan mój tarapacie  
 Musi teraz być kontent, iak nagi w pokrzywie.  
 Przychodzi kolej na mnie — lękam się prawdziwie.  
 Imoia żona, taka iak wszystkie, kobiéta.  
 Byłem w drodze ....

K L E A N T Y S. (*na stronie*)

Ciekawam iak mnie też przywita.

S O Z Y A. (*na stronie*)

Bardzo dobrze powiedział, kto rzekł: miiay cicho  
 Gorsze, gdy się obudzi, mnieysze, gdy spi, lichó.  
 Nie lepieyby też dla mnie wypadło tym razem,  
 Zamknąć oczy, nie szperać i rzecz puścić płazem?



Nie mogę — moc pokusy. Wszak to ludzkie losy  
 Tam wietrzyć i tam wścibiać, gdzie nie trzeba nosy,  
 A za to dowiedzieć się, chcąc nie chcąc niekiedy,  
 Swoiego umartwienia, swojej często biedy.

(głośno)

Boday zdrowa Kleantys.

K L E A N T Y S.

Bodayś złamał szyję.

Boday zdrowa Kleantys. — nie widzieli trutnia  
 Z tym iego: boday zdrowa.

S O Z Y A.

A zawsze furee,

Zawsze iakiś docinek, zawsze iakaś klutnia,  
 Nigdy w dobrym humorze, tylko w złości, w grozie,  
 A za co? za nic.

K L E A N T Y.

Cóż to ty nazywasz za nic?

S O Z Y A.

Ja niczem to nazywam, co się nazywa nic,  
 Czy lózne, czy spętane, czy w wierszu, czy w prozie.

K L E A N T Y S.

Nie wiem co mnie wstrzymuie, ty trutniu, ty capie  
 Że ci zębów nie wytnę, oczu nie wydrapię,  
 Żebyś wiedział, iak kobiet gniew nic nie oszczędza.

S O Z Y A.

Za cożś tak sekutna, za coś taka iędza?

K L E A N T Y S.

Jak to ty śmiesz zwać niczem? — Za takie nic...! pię-  
Rozumiesz? Jakie było ze mną twe obęście (ście;  
Rano?

S O Z Y A.

W czym? iak?

K L E A N T Y S.

Nie łudź mnie tą miną zdradziecką?  
Pewnie przykładem pana, takiż frant. iak i on,  
Powiesz mi, żeś tu nie był?

S O Z Y A.

Dziecko. iesteś, dziecko.

Jnsza rzecz ia Sozya, insza Amfitryon.

Że byłem, nie prę; ale zem. się opił wina...

W takim razie, wiesz lepiej, człek się zapomina.

K L E A N T Y S.

Kłam., kłam.

S O Z Y A.

Wiesz mi, nie kłamię, byłem w tym humorze,

Jaki się ludziom darzy przy pełnym gąsiorze:

Mogły być kroki moje nie ze wszystkim skromne;

Wstydzil. bym. się dowiedzieć... ale nic nie pomnę.

K L E A N T Y S.

Czy można? tybys miał być pamięci tak krótkiej,

Nie pomnieć, iak nad wszystkie większy grubiany...

S O Z Y A.

Cożem winien, Kleantys? — głupie wina skutki:  
 Ledwie tyle pamiętam, że byłem pijaany.  
 Ale powiedz mi, iak to było? ieślim winny  
 Sam się przykładniey, mocniey skarzę, niż kto inny.

K L E A N T Y S.

Małeż to grubiaństwo? — Gdy mnie pański powrót  
 Dał znać o twoiem wkrótce; drugie piały kury,  
 Nie spałam wyglądać cię, po sto kroć szłam do wrot.  
 Przychodzisz wreszcie kwaśny, zły, brutal, ponury;  
 Słowa się nie dopytać — nie patrz na mnie —ziem cię.  
 Chciałam go pocałować, obrócił się tyłem,  
 Takież to przywitanie, takież to przyjęcie?

S O Z Y A.

Bardzo rostopnie, bardzo grzecznie postąpiłem.

K L E A N T Y S.

Jak to grzecznie?

S O Z Y A.

A zaraz hałasy i swary!

Już ci by to, zda mi się, było nie nacyzuléy  
 Witać cię objadlszy się czostku i cybuli;  
 Nad to mam grzeczne serce na takie ofiary.

K L E A N T Y S.

Zmyślasz, zmyślasz, nie wierzę szalbierstwu wykręty.  
 Czyż prócz tych, nie ma innych znaków przymilenia?  
 Ale ich najmniejszego nie widziałam cienia;

Jeżeliś mnie nie fukał milczał iak zaklęty..

S O Z Y A.

Przedziwnie!

K L E A N T Y S.

Mimo wszystkie miłości znamiona,  
Czysty mój płomień martwe w tobie znalazł lody,  
Mowilam do balwana, do nieczuley kłody,  
Tak daleko w żądaniach moich zawiedziona,  
Ze to nawet, coś winien z szlubow przywileiu,  
Co dla małżeństw naywiększych nieszczęść iest po-  
O co nam żonom idzie naywięcey, złodzieiu, (grożką.  
Odmowiłeś... na dwoie darmo ślalam łożko.

S O Z Y A.

Alboż ...

K L E A N T Y S.

Zapewne powiesz, że spałeś?

S O Z Y A. (*kontent*)

Czy można?

K L E A N T Y S,

Możeż być hańba, większey pomsty wolaiąca,  
Rzecz bardziy w oczach nieba i ziemi bezbożna!  
Ze ci nie wspomnę innych lekszych głupstw tysiąca..  
Z tём wszystkim, co byś rano miał myśleć o zgodzie  
Dopelniłeś ich miary na samym odchodzie

S O Z Y A.

*Brawo! wiwat Sozia!*

K T E A N T Y S

I jeszcze się śmieie ,

S O Z Y A.

Jakiem dziś z siebie kontent.

K L E A N T Y S.

Cóż to ty gagatku ?

S O Z Y A.

Dowiedziałem się nowin nad wszelkie nadzieie ,  
Nigdy się nie spodziewał tyle w sobie statku.

K L E A N T Y S.

Łotr ! zamiast coby grzech swój miał skruchą popra-  
Nie tylko nie żaluie „... owszem zda się bawić. (wić,

S O Z Y A.

Tylko , moja Kleantys , bez tęg zawieruchy !  
Kogożby słodkiey promień nie cieszył otuchy.  
Wszak to ia , ani myśląc (co mi umysł krzepi)  
Tak z tobą postąpiłem , iak nie można lepięy.

K L E A N T Y S.

Jeszcze urąga !

S O Z Y A.

Wszystko obracasz na nice ;  
Wierzay mi , mając głowę winem zapruszoną ,  
Bałem się , żebym w ten czas , iako pīanice  
Nie pobroił głupstw iakich z tobą , moja żono :  
Lecz teraz , gdy wiem , że nie , ledwie że ze skóry  
Nie wyskoczę — tak iestem kontent z awantury.

K L A N T Y S.

Czego się bałeś? co mi prawisz za androny?

S O Z Y A.

Powiadają lekarze, że człowiek piany  
Powinien się z daleka mieć od swoiey żony;  
Gdyż ztąd rodzą się dzieci, niezgrabne, bałwany.  
Uważ, gdybym się iakiem był uwiodł łakomstwem,  
Pięknym bym cię zakaty uraczył potomstwem!

K K E A N T Y S.

Drwię ia z wszystkich lekarzów z ich rad z ich skry-  
ben dy,

Niechay chorych pilnują, od zdrowych im wara.  
I w co się daley będą mięszać te gawendy?  
Nie dość dla nich senesu, manny, rubarbara?  
W to niech nosy wścibiają — Nad to rodzaj czuly  
Ci ichmość. Znam ich wszystkie rady i perory,  
I odmiany miesiąca i gwiazd kanikuly...,  
Coby to miało szkodzić.

S O Z Y A.

Tak mówią doktory

K L E A N T Y S.

A ia mówię że to jest niebaczne systema—  
W zadosyc uczynienie małżeństwu gdy trzeba,  
Żeby się wdawać miały... nad to grzeczne nieba;  
W napoiu też, ni w czasie przeszkod żadnych nie ma  
I doktorowie, co tak mówią, są bydłeta.

S O Z Y A.

Ze mnie łaiiesz, wybaczam, ale to mię dziwi,  
 Za co przeciw doktorom tak iesteś zawzięta!  
 Ludzie tak użyteczni, zacni, tak poczciwi,

K L E A N T Y S.

Poczciwi są, albo nie, iak czasem, iak który.  
 Wiele trzeba, żeby się znaleźć w tych zaletach,  
 A naprzód, temperament szanować w kobietach,  
 Tym samym doskonały, że dzieło natury —  
 Ale, nie tracąc czasu.. Znam cię już, filucie,  
 Insze masz w ustach słowa, insze w sercu czucie.  
 Zapowiadam ci zatym, krótko, węzłowato:  
 Widząc twoię oziębłość, twoie kroki chytne,  
 Użyję pozwolenia twego, z twoią strata,  
 Zobaczysz, iak ci wkrótce harde rogi przytrę.

S O Z Y A.

W czym dalém pozwolenie?

K L E A N T Y S, (z *ironią*)

W wielkiej fraszce, w niczym..  
 Wolność tylko w rozpustnym w życiu zalotniczym.  
 Użyję iey, bądź pewien.

S O Z Y A.

Co w tym? Moia wina.  
 Proszę cię, nie chciey wierzyć pīanego słowom,  
 Nie puszczay się w to moia Kleantys iedyna.

K L E A N T Y S.

Naycięższy w tym iest pierwszy krok nam białogło-  
(wom,

Lecz iak raz z przystoyności zbiemy się drogi!...

Rozumiesz, co to znaczy?.. Korzystay z przestrogi.

S O Z Y A.

Dla boga! nie halasuy.. psyt, Amfitryona

Postrzegam... Jak twarz piękna! iak wypogodzona.

S C E N A IV.

J O W I S Z, K L E A N T Y S, S O Z Y A.

J O W I S Z.

Właśnie ten czas sposobny strapioney Alkmenie,

Ukoić w sercu burzę, zjednać uciszenie,

A przy tém nadwątłoney poiednaniu zgody,

Dać i zyskać wzajemne kochania dowody,

(do Kleanty.)

Gdzie Alkmena, Kleanto?

K L E A N T Y S.

Na górze podobno;

Ale pełna rospaczy, smutku, i urazy,

Broni do siebie wniścicia, żąda być osobną.

J O W I S Z.

Rozumiem, że nie dla mnie były te rozkazy.

(wchodzi do domu.)



## S C E N A V.

K L E A N T Y S, S O Z Y A.

K L E A N T Y S

Jak się rozgniewał, tak się przeprosił w minucie.

S O Z Y A.

Cóż ty na to Kleantys?.. baranek z tygrysa.

K L E A N T Y S.

Co ia na to? — Gdyby pleć moja miała czucie  
To co ia mam... oście wszyscy warci bisa,  
Naylepszy z was tyle wart, (*pluie*), co ta moja ślina.

S O Z Y A.

Podobno się Kleantys w gniewie zapomina.  
Jednakże wam kobietom bez nas nie naylepiey.  
Jaka taka swojego diabła się uczepli.

Nie prawda?

K L E A N T Y S.

I iak wielka,

S O Z Y A:

Otóż są i oni.

Dosyć wojny — tym czasem.., zawieszenie broni,

## S C E N A VI.

J O W I S Z, A L K M E N A, K L E A N T Y S, S O Z Y A.

J O W I S Z.

Nie zostawiaj mnie, proszę w rospaczy, Alkmeno.

Moment tylko , wstrzymay się , racz posłuchać ieno.

A L K M E N A.

Nie proś mie o nic , iedną mam przed sobą drogę ;  
Z sprawcą moich umartwień , chwili być nie mogę.

J O W I S Z.

Namyśl się.

A L K M E N A.

Zaniechay mnie.

J O W I S Z.

Proszę.

A L K M E N A.

Nic nie tuszę ,

Nic ci nie obiecuję.

J O W I S Z , (*na stronie*)

Żalem się iey kruszę ,

Łzy mnie iey zabiiaią. (*głośno.*) Przynajmniey w tym  
względzie...

A L K M E N A

Nic , w żadnym.

J O W I S Z.

Dokąd póydiesz ?

A L K M E N A.

Gdzie ciebie nie będzie.

J O W I S Z.

Nie śmiem dociekać przyczyn tak wielkiego wstrętu.  
Lecz świadczę się Jowiszem pierwszym bogów bo-  
(giem:

Kochać cię, tak to lubym jest dla mnie nalogiem,  
 Jednego żyć bez ciebie nie mogę momentu,  
 Wszędzie póyde za tobą!.

A L K M E N A.

Wszędzie unikany.

J O W I S Z.

Takem straszny?

A L K M E N A.

Tak ciężkie zadałeś mi rany,

Tak daleko skrzywdziłeś mój honor i wiarę,  
 Że w tobie najstraszniejszą widzę być poczwarę,  
 Poczwarę pełną złości, chytrości i iadu,  
 Poczwarę, której sama natura się wstydzi.  
 Serce poczciwe lęka, czyste nie nawidzi,  
 Jakiej dotąd pod niebem nie widziano śladu.

J O W I S Z.

Nad to mi powiedziałaś.

A L K M E N A.

Więcey serce czuie

Nierównie, i w tym tylko na siebie się skarży,  
 Że nie dość mocy, nie dość wyrazów znajduię.  
 Ile się brzydzi zdraycą niewinne potwarzy.

J O W I S Z.

W czymże ci przewinilem?

A L K M E N A.

O śmiały bezwstydzicie!

J O W I S Z.

Błagam cię.

A L K M E N A.

Nie ma błagań, gdzie o sławę idzie.  
Pójdź odemnie daleko; odtąd ciebie ani  
Widzieć, ani chcę słyszeć. Widok mnie twój rani.

J O W I S Z.

Masz tyle serca mówić do mnie takim tonem?  
Taż to miłość! przypomniy, coś przyrzekła wczora:  
Trwałość ięć wymierzona była życia zgonem.

A L K M E N A.

Załuię, złośliwego kochałam potwora:  
Ale iuż umorzyłeś tę miłość do szczeru:  
To serce, czuciów dotąd łagodnych przybytek.  
Już dawnego dla ciebie nie ma sentymentu,  
Ze zbytku przywiązania w inny przeszło zbytek,  
Zbytek gniewu, rozpaczy, pomsty, zawziętości,  
Zbytek tak natężenia, iak onych trwałości,  
Których nie pierwéy możesz spodziewać się końca,  
Aż mi będzie na zawsze wzięty widok słońca.

J O W I S Z.

Takaż to moc kochania! także miłość szczerą,  
Za lada fraszką w sercach czułych obumiera?  
A to, co było w pustym żarcie i swywoli,  
Ma zaraz straszną karę pociągnąć rozvodu?

## A L K M E N A.

Z tegom też obrażona szczególniëy powodu,  
 Ten żart przeto, że pusty, naywięcëy mnie boli.  
 Prędzeybym ci prawdziwą zawiść wybaczyła;  
 Lube i straszne oney widziano przykłady,  
 Często nad męztwem duszy większa iest iëy siła,  
 Często poczciwe serca wydaiają te wady;  
 Sama, gdy zbytńia czulość, na błëdy naraża,  
 Lecz swoje oczyszczenie ma wraz w swoiëy winie,  
 Ma w samëyże miłości, pierwszey ich przyczynie,  
 Ale oraz tym samym błaga czym uraża:  
 Naywiększa wina winą przestaie być snadnie,  
 Gdy ten, który iëy sprawcą, sam sobą nie władnie.  
 Lecz, żeby z przywidzenia, myśl dworna i plocha,  
 Zapalczywością swoię kończyła zabawę,  
 Żeby bez przyczyn skrzywdzić i miłość i sławę  
 Osoby, która kogo całym sercem kocha..  
 Są to krzywdy, których się pamięć kończy w grobie.  
 Nigdy ci nie odpuszczę ich, Amfitryonie.

## J o w i s z.

Muszę przyznać nareszcie: masz słusność po sobie;  
 Myślisz ukarać winę, ani ia iëy bronię.  
 Wybaczysz iednak, że ci w tym oczy otworzę.  
 Nic pewnieyszego, iak żeś skrzywdzona w honorze,  
 Ale, nie słuszney pomsty chwycisz się oręża,  
 Uważ kogo masz karać, kochanka, czy męża?

Alkmeno! względem ciebie mąż jest winowaycą,  
 Mąż porywczym, złośliwym, grubianem, zdraycą,  
 Mężów tylko jest zdolne tój grubości serce,  
 Żony przeto, że własność, miewać w poniewierce.  
 Dalekie jest kochanka serce od tój skazy;  
 Tchnąć miłością, lęklwym tchnąć celu wielbieniem,  
 Nimby się do naylepszey wzruszyło obrazy,  
 Nimby zgrzeszyło samym o niey pomyśleniem,  
 Pierwéyby ten miecz mściwy winney sprawca śmierci,  
 Niegodne życia, w tysiąc poszarpał ie cwierci.  
 Mąż Alkmeno, przewinił — krok ten iego gruby  
 Wydal hymena dzikość i iarzmo i szluby.  
 Brzydź się nim, nienawidź go, wszystkie nań rodzaje  
 Naysroźszey wywrzyi kary..! lecz wraz sprawiedliwa  
 Oszczędź kochanka, który z niewinnością staie,  
 Jey ufa, ido niey się śmiało odwoływa.

## A L K M E N A.

Zadnego wybaczenia, żadnych względów nie ma.  
 Próżny to tylko wybieg, i wymówka marna,  
 Któżkolwiek winowayca, zbrodnia zawsze czarna:  
 Mąż, czy kochanek? równie brzydę się obiema,  
 Obaście w zapalczywym umieszczeni gniewie,  
 Obydwa tego serca iuż więcej niegodni;  
 Które, kogo ma bardziej nienawidzieć, nie wie,  
 Obóch iednak potępia, iak współników zbrodni.  
 Obom w nayokropniejszych przeklęstwach zlorzeczy.

Na obóh się o pomstę niebios dopomina,  
 Ani pierwey w zadanych razach się uleczy,  
 Aż własna winowayców pobiie ich wina.

J o w i s z.

Skoro tak chcesz, milczyć mnie trzeba na zarzuty.  
 Wyznaię sam, zem winien, zem srogiey wart kary;  
 Przewyższyłem urazą najcięższe pokuty,  
 Wszystkie blagania, wszystkie żale i ofiary.  
 Słusznie odemnie stronisz — już więcey nie wartem  
 Patrzeć na twe oblicze . gdy nad to zuchwały  
 Tę piękność, którey same bóstwa holdby dały,  
 Lekkim wprawdzie, lecz śmiałym obrazilem żartem.  
 Wina ta, w twoich może oczach powiększona,  
 Przeklęstw ziemi i niebios godna iest pioruna.  
 Jednak w czym zawiniła dawniey nieuwaga  
 Niech to prawdziwa serca poprawi zgryzota,  
 Niech cię ten choyny strumień lez moich przebłaga.  
 Darować winowaycom, najpiękniejsza cnota.

(przykleka.)

Alkmeno! na tę we mnie widoczną pokorę,  
 Na wrodzoną ci dobroć, i cnotę wspaniałą,  
 Na te ognie, ktoremi serce moje gore,  
 Na te, ktoremi twoie nie dawno pałało,  
 Zaklinam cię, nie odmów laskawego ucha,  
 Przez lekkość obrażoną niech cię zmiękczy skrucha.  
 Nie rozumiey, Alkmeno, żebym iedną chwilą

Mógł przeżyć srogi wyrok twego odrzucenia.  
 Oto i teraz serce ledwie zdolne tchnienia...  
 Myśl mię ubiega, usta daremnie się silą..  
 Cała pojętność zmysłów w pół martwa i tępa,  
 Tym mnie, tylko zdaie się przeświadczać, że żyję,  
 Jż czuię okrutnego w sercu moiém sępa!  
 Piekielne nie zadadzą mąk większych furyie...

*(ton ostatniey rozpaczy.)*

Stanów, proszę Alkmeno; nadto się przewleka  
 Nieznośnieysza dla samey niepewności męka.  
 Jeślim iuż nie wart łaski, — patrz oto ta ręka,  
 Ten oręż na skinienie woli twoiey czeka,  
 Aby przeszył to serce nieczyste i brzytkie,  
 Serce warte znieść gromy, i obelgi wszystkie.  
 Serce zdraycy naywiększey z tych miar godne męki,  
 Że ważyło się boskie tve obrazić wdzięki.

*(ton serdeczny.)*

Szczęśliwy! ieśli, chociaż śmierci moiey ceną  
 Ukoię zapalczywość, ieśli choć po zgonie,  
 Na wspomnienie miłości zawziętość opłonie;  
 Oto cię tylko iedno śmiem prosić, Alkmeno.

A L K M E N A.

Mężu nad to okrutny!

J o w i s z.

Day wyrok, niech ginę!



A L K M E N A.

Miałabym tak daleko być z czucia wyzutą,  
Miałabym tak dotkliwą mimo puścić winę!

J o w i s z.

Naydotkliwsze urazy gładzą się pokutą.  
Z nią stawam.

A L K M E N A.

Serce mocnym przywiązaniem tchnące,  
Nimby swoje w czym śmiało obrazić kochanie,  
Prędzeyby się ważyło na śmierci tysiące.

J o w i s z

Niechay miłość wyiedna winy darowanie.

A L K M E N A.

Stawszy się godnym gniewu, niewspominay o niey.  
Urażona, na zawsze łask ci swoich broni.

J o w i s z.

Już mnie więc nienawidzisz?

A L K M E N A.

Wszystko na to łożę,  
Ta chęć, to całe moje iest usiłowanie;  
I że ieszcze do tego serce przyiść nie może,  
Sama sobie mam za złe, sama się w tym ganię.

J o w i s z.

Do czego się przymuszać; skoro tobie kwoli  
Poświęcam życie moje, iedno rzekniy słowo

Znaydziesz natychmiast oto tę rękę gotową  
Na śmierć, nayokrutniejszą ofiarę twéy woli.

A L K M E N A. (*wzruszona.*)

Któż czyiey żąda śmierci, próżen nienawiści?

J O W I S Z.

Śmierć tę iednak niechybnie wielka rozpacz ziści,  
Odrzucenie mnie twoie, Alkmeno! w grób wżenie,  
Cofniy ią wybaczeniem, póki ieszcze pora,

(*upada do nóg, toż czyni Sozya i Kleantys.*)

Ostatni raz cię błaga, żal mój i pokora,  
Jedno z dwóch: wyrok śmierci, albo rozgrzeszenie.

A L K M E N A.

Nad to pewnego serca dla siebie masz żonę:

Widzisz zawczasu pewne w wyroku korzyści.—

Usta moje aż nad to od niego zdradzone!

Nie iest że to darować?.. nie mieć nie nawiści.

J O W I S Z.

Co słyszę! o dobroci! Jakąż ci się dania

Mam wypłacić?.. pozwól mi... racz Alkmeno zacna,

Niech za to...

A L K M E N A.

Zaniechay mnie — utyskuję na nią.

Już mi żal, żem za nadto w wybaczeniu łacna.

(*odchodzi.*)

J O W I S Z.

Sozyo! pilność twoia, niech mię nie zawiedzie;  
Spiesz się, pozdrów odemnie przednie woyska wodze,

Proszę ich, niech dziś będą u mnie na obiedzie,  
Tylko prędko.

S O Z Y A.

Na iedney uwinę się nodzę.

J O W I S Z, *(na stronie, odchodząc.)*

Tym czasem miejsce iego zastąpi Merkury.

S C E N A VII.

K L E A N T Y S, S O Z Y A.

S O Z Y A.

Widzisz, Kleanto, mały deszcz z tak wielkicy chmury  
O toż to tak naylepiey — po burzy pogoda,  
Po pogodzie znow burza — kto nie zna kobiety.  
I wać mnie poburczałaś, ale odtąd zgoda.

K L E A N T Y S.

Daleko to od tego, co twóy pan to nie ty.

S O Z Y A.

Bądź co bądź, wielką chętkę mam na twoią buzię:

K L E A N T Y S.

Jdźże, za takie twoie glupstwa i narowy,  
Patrz, żebym nie skończyła umizgów na guzie.

S O Z Y A.

Dąsay że się. Niemyślę sobie związać głowy,

*(chce odchodzić.)*

K L E A N T Y S.

Wróc się, wróc, nic dobrego —

S o z y a.

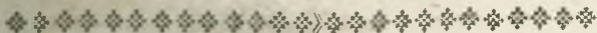
Jutro o tym czasie,  
Wnet kura cały wieży chce, kiedy ma grzędę;  
Dąsałaś się wac pierwéy, ia też teraz będę.

*(odchodzi.)*

K L E A N T Y S.

Poczekayże, poczekay... panie samopasie.  
Póty prządka nie ciągnie, póki ma przedziwo.  
Uprzykrzy się nareszcie i mnie być pocziwą.

---



## A K T III.

## S C E N A I,

A M F I T R Y O.

A M F I T R Y O.

Szukałem ulgi w troskach, bronią mi iey nieba!  
 Na darmo tyle przykrey uchodziłem drogi?  
 Los swoje okrucieństwa wyrwał na mnie srogi:  
 Skrył przedemną tych, których pomocy mi trzeba,  
 Tych zaś, których iak moru strzegę się i boję  
 Co krok, nowe natrętów sypał na mnie roje.  
 Zewsząd hałas radości, krzyk powinszowania,  
 Każdy mi w czymś podchlebił, każdy z czegoś chwalił,  
 Wielu ledwie znaiomych ciżbą mi się kłania,  
 Kilkakroć splątałem się w tłumie i obalił.  
 Dzięki bogom, niechay ich to nareszcie chwali,  
 Ze uciekłem; przynajmniey, że mnie nie dognali.  
 Ah! iak błabą są rzeczą pochwały, honory.  
 Pogromienia narodów, sąsiadów zabory,  
 Kiedy serce wewnątrzną zgryzotą przeięte,  
 Zywi w sobie początek niezbytey katuszy,

Gdy obcych syte blasków, z siebie niekontente! ...  
 Mary szczęścia! dałbym was za spokoyność duszy —  
 Co za srogie obrazy! iak okropne przeyscia  
 Myśli smutney na wzmiankę moiego nieszczęścia,  
 Jak wątpliwa zawiści ludzi mnie przewodnia!  
 Coraz w większą noc wchodzę, dalszy coraz od dnia.  
 Nie dziwi mnie kryiome dyamentów więcie,  
 Bywają zręczni mistrze, kunsztowne kradzieże,  
 Falszywe charaktery, zdradzone pieczęcie,  
 Tak, że ich naybystrzeysze oko nie dostrzeże:  
 Ale to, co mi mówią, zem ie sam dał wczora,  
 Rzecz ta iest nad każdego, i moie poięcie —  
 Natura, prawda, czasem podobieństwa darzy,  
 Na złe, nie od iednego wzięte impostora!  
 Lecz gdyby też naywiększe podobieństwo twarzy,  
 Nigdy wraz wszystkie tak się pozory nie zbiegą,  
 Żeby ktoś miał za męża udać się cudzego.  
 W naywiększych podobieństwach są pewne znamiona,  
 Które, ktoby nie dostrzegł, zawsze doyrzy żona.  
 Od niepamiętnych czasów wiek nam podał stary  
 Thesalskie, z nadzwyczajnychskutków straszne czary.  
 Nie chciałem nigdy wierzyć w te baieczne dziwy ...  
 Bylbyż dziś los tak srogi! ia tak nieszczęśliwy!  
 Zebym, pelen zaszczytów z tak walney wyprawy,  
 Miał w nie uwierzyć wreszcie, z szkodą moiey sławy?

Jeszcze mi raz potrzeba badać tajemnicę,

I do gruntu przeniknąć, co w sobie zawiera.  
 Któż to wie? — pomięszanie może, sen, chimera,  
 Tak wielką w iey rozsądku sprawiły różnicę.  
 Oby to dały nieba! niechayby iuż ona,  
 Obieraiąc z gorszego zle., była szalona.

## S C E N A II.

MERKURYUSZ, *(na ganku domu Amfitryona, nie widziany, ani słyszany od niego:)*

Skoro mi żadnych miłość nie zdarza obrywek  
 W tym domu; oprócz pani, pełnym koczkodanek,  
 Muszę winnym rodzaju poszukać rozrywek.  
 Nayprzyzwoiciej zrobię, wyidę na ten ganek.  
 Nadchodzi Amfitryon, udrzem z sobą kota.  
 Nie naywiększać to, prawda, iak na boga cnota,  
 Urągać się nieszczęsnym. Darmo; w tym humorze  
 Zawsze iestem, że mnie to naymniey nie obchodzi,  
 To moiemu powiciu przyświecało zorze,  
 Że choćbym czasem nie rad, zawsze iestem złodziey.

A M F I T R Y O, *(nie widząc Merkuryusza.)*

Zkądże znowu zamknięte drzwi o téy godzinie?  
 Hey!

MERKURY, *(z ganku.)*

Cóż tam za Jespan hey? — Kto nam drzwi wybiia?

A M F I T R Y O.

A M F I T R Y O.

Odmykay.

M E R K U R Y,

Komu? ktoś wać?

A M F I T R Y O.

Ja iestem.

M E R K U R Y.

Jaki ia.?

A M F I T R Y O.

Odmykay.

M E R K U R Y.

Ale komu?

A M F I T R Y O.

Cóż to, poganinie!

Nie znasz mnie?

M E R K U R Y.

Z któregożeś wać drabów rodzaju?

A M F I T R Y O.

Cały dom mój, iak widzę, rażony manią;

Przyidzie i mnie oszaleć—Sozyo! Sozyo!

Niepoczciwy Sozyo, Sozyo hultaiu.

M E R K U R Y, (*podrzeźniając.*)

Sozyo! cóż Sozyo! żem Sozya wiem to,

Nie zapomniałem ieszcze moiego nazwiska.

A M F I T R Y O.

Ale nachyl się łotrze, przypatrz mi się zbliska.



M E R K U R Y.

Czy cię w łeb postrzelono? czy w skronie zacięto?  
Czyś pokusa? czyś mara? waryat? czy snowidz?  
Schyliłem się, widzę cię, czegoż tu chcesz, powidz?

A M F I T R Y O.

Czego chcę? ty szudrawcze, ty laydacza tłuszczo,

M E R K U R Y.

Powiedzże czego nie chcesz? — a to łeb szalony.

A M F I T R Y O.

Poczekay niedobrego, za te śmiałe tony...

Ide ja tam na górę. —

M E R K U R Y.

Jeżeli cię puszczą —

Czy wiesz, że na takiego, iak waszmość, półglówka,  
Nie iedna podoreczu iest przy mnie dachówka.

A M F I T R Y O,

O nieba! tak zelżywie, tak mówić wyniośle!  
Któż ieszcze, własny sługa, człowiek ladaiaiki!  
Odmykayże hultaiu! odmykayże ośle.

M E R K U R Y.

Ośle! komu ty mówisz ośle? — sameś taki.

A M F I T R Y O.

Nie czuję się od złości — gorące mnie wary  
Przechodzą; tyle zniewag od tego poczwary —  
Odmykay.

M E R K U R Y.

Życzę pierwey dobyć z czola ślepi.

Schylam się, stań na palcach, przypatrz mi się lepiey  
 Jakże? iuż mnie poznałeś? — Co za wielkie oczy.  
 Zarydził się iak Sylen, a wzrok, gdyby smoczy;  
 Ey! gdyby iak na oczy, tak mu paść na zęby,  
 Spytlowalby człowieka na drobne otręby.

A M F I T R Y O.

Bodayby cię zabito, Sozyo przeklęty,  
 Tylko mi nie odemknij, iak przyyde na górę,  
 Każe cię zbatogować od głowy do pięty,  
 Od pierwszey po dziesiątą każe sięgać skórę.

M E R K U R Y.

Przyiacielu, życzę ci, bez próznęy mitręgi,  
 Póydź wczesnie, póki możesz, bo oberwiesz cięgi.

A M F I T R Y O.

Co? co? ia mam wziąć cięgi? pan od niewolnika  
 Mam cierpieć tę bezuzdą zuchwałóść ięzyka?

M E R K U R Y.

Kto? ty mój pan?

A M F I T R Y O.

Nie znasz mnie?

M E R K U R Y.

Jabym pantalona

Takiego miał mieć panem! — mam Amfitryona.

A M F I T R Y O.

Któż iest Amfitryonem, kiedy nie ia?...

M E R K U R Y.

Kto? ty

Amfitryon?

A M E I T R Y O.

Tak iest, ia.

M E R K U R Y.

W głowie, iak po śliwkach.

Znać ci wino sprawiło te we łbie zawroty,

Powiedźże mi, czy z pełnój piłeś, czy na zliwkach?

A M F I T R Y O.

Hultaj.

M E R K U R Y.

Stare, czy mlode?

A M F I T R Y O.

Drab, złodziej.

M E R K U R Y.

Pod którą

Wiechą? — Nayprędzej można łeb zamącić lura.

Lepicy było narzucić iakie groszy parę,

Bylbys teraz mniój głupim, — a smaczniejsze stare.

A M F I T R Y O.

Niepoczciwy obiesiu, nie wytrzymam dłużej...

M E R K U R Y.

Życzę ci, przyiacielu, szczęśliwój podróży,

Mam wzgląd na twój, choć brzydki nałóg pasibrzu-  
 Odstąp iednak, bo aż tu wino z ciebie bucha: (cha  
 Ale bez najmnieyszego ustępuy hałasu,  
 Żebyś Amfitryona nie pomieszał wczasu.

A M F I T R Y O.

Co mówisz? Amfitryon? gdzie?... iak?... co porabia?

M E R K U R Y.

Choć to mniey przyzwoita ciekawość i babia,  
 Jednak, kiedy koniecznie żądasz odpowiedzi;  
 Mówię ci za rzecz pewną: iest teraz u żony,  
 Znać po klutni, godzą się — leży zaś czy siedzi  
 Nie wiem, gdyż w drzwiach i w oknach spuszczone  
 Zapewne od gorąca, od much i natrętów. (zasłony,  
 Strzeż się zatym tak lubych im przerwać momentów,  
 Żeby ci za te huczki nie kazał nareście  
 Wyliczyć, iuż to najmniey, kiedy basów dwieście,  
 (odchodzi.)

### S C E N A III.

A M F I T R Y O, (sam.)

Miam zuchwalstwo sługi, które nic nie znaczy,  
 Przed wielkiem umartwieniem inne mnieysze znika,  
 Sroższa nierównie duszę moję wieść przenika,  
 Uderzoną nacyęższéy pociskiem rozpaczy!  
 Jeśli ta rzecz tak się ma, iak mówi, w co sława  
 W co miłość moja poszła? — los się im naygrawa,

Czyni ze mnie szyderstwo. W tak wielkiej znieważ-  
Co pocznę? iak moiemu nieszczęściu zaradzę! (dże,  
Mamże rozgłosić? — mamże taić? — Nie na moją  
Mężką i tkliwą duszę te śródki przystoią —  
Pomsta! — pomsta, to moje lekarstwo iedyne  
Mam żyć w hańbie? sprawcę iey zabiiam i ginę.

## S C E N A IV.

AMFITRYO, SOZYA NEUKRATES i POLIDAS

*daley w kącie sceny.)*

S O Z Y A.

Mimo wszystkie starania, ledwie z wielką bidą  
Dwóch znalazłem hetmanów, zaraz za mną idą,

A M F I T R Y O.

Jesteś tu waść, hultaiu. — Póydź sam.

S O Z Y A.

A to za co?

A M F I T R Y O.

Zaraz, zaraz ci twoję zuchwałość zaplaca.

S O Z Y A.

Cożem zrobił?

A M F I T R Y O.

Coś zrobił? — Także to psu bracie...

*(porywa się do pałasza.)*

S O Z Y A.

Panowie! przebóg! rata! Polido! Neukracie!

N E U K R A T E S.

Amfitryonie?

S O Z Y A.

W czymże obrazilem pana.

A M F I T R Y O.

Jeszcze oto śmiesz pytać, paszcho wyuzdana.

Puśćcie mnie, niech się czarną krwią iego nasycę.

S O Z Y A.

Gdybym też wart był wreszcie pójść na szubienicę,

Przynajmniey się przy śmierci tyle spytać godzi,

Żeby, kiedy ma wisić, wiedział za co złodziej.

N E U K R A T E S.

W rzeczy samey, iakiey mógł dopuścić się zbrodni?

A M F I T R Y O.

Czy można śludze z panem postąpić niegodniéy,

Zuchwałéy, niepoczciwéy — sądzicie o tym sami,

Hultaj! w moim mi domu stać kazał przed drzwia-

Tysiąc obelg powiedział, a na dopełnienie (mi,

Swywoli, iuż gotowe miał na mnie kamienie.

*(porywa się.)*

Łotrze!

S O Z Y A.

Zginąłem!

N E U K R A T E S.

Proszę, stóy Amfitryonie,

Zachoway słuszną pomstę, aż twóy gniew oplonie;

Naypierwey bądź rostopny, a potym surowy.

S O Z Y A.

Panowie!

P O L I D A S.

Co nam powiesz?

S O Z Y A.

Podobnom bez głowy.

Otóż znowu zawraca oczy, znow się zżyma,  
Gwaltu! kto w boga wierzy niechay go przytrzyma.

A M F I T R Y O.

Puście mnie, niechay zbrodnia nie idzie bezkarnie,  
Nie wart uczciwéy śmierci, musi ginąć marnie.

S O Z Y A.

Jaka wina? żadnego nie widzę iey śladu;  
Proszę was, przyświadczenie mi, obecni tu wodze,  
Z wami byłem w obozie, z wami w całej drodze,  
Jam was imieniem pańskim wezwał do obiadu.

N E U K R A T E S.

Prawda, z tym do nas przyszedł; z nami takóž razem  
Powraca; nigdzie nie był.

A M F I T R Y O.

Za czyim rozkazem

Prosiłeś ich?

S O Z Y A.

Za pańskim.

A M F I T R Y O.

Za moim? kto? ia cię

Posłałem? i masz śmiałość mówić, to psu bracie?  
Gdzie? co, iak, zkąd się, wzięło.

S O Z Y A.

Czyż pan nie pamięta,  
Jak była kłótnia iego z Alkmeną zawzięta.  
Jak wreszcie dla skończonéy w tém tu mieyscu zwa-

A M F I T R Y O. (dy..)

Pomieszanie i rozpacz idzie za mną w ślady!  
Za każdym krokiem nowe coraz podobieństwo,  
Nowe stwierdzenie prawdy; pomnaża męczeństwo  
Duszy moiey, tak, że iuż iedną tylko trwogę  
Mam niewątpliwą! — z resztą nic widzieć nie mogę.

N E U K R A T E S.

Amfitryonie! postąp sobie w tym roztropnie,  
Doniesienia Sozyi tak są nad naturę,  
Że nim się śrzodki na nie przedsięwzłączą które,  
Trzeba całą przez wszystkie rzecz rozpoznać stopnie.

A M F I T R Y O.

Zgoda, niech i tak będzie. Tuszę po przyiaźni  
Waszey, że mi ta z niemi sprawa póydzie raźniéy  
Dowiem się iaki mi dar ześle dziś fortuna,  
Złoty promień nadziei, czy pocisk pioruna!

(na stronie.)

Niestety! chciałbym wiedzieć, dowiedzieć się boię.



## S C E N A V.

JOWISZ, AMFITRYO, NEUKRATES, POLIDAS.

JOWISZ, *(na łoskot drzwi.)*

Któż to nie obyczajny śmie tak natarczywą  
Ręką w domu nie swoim wybiiać podwoie?

A M F I T R Y O.

Bogowie! kogo widzę!

N E U K R A T E S.

Nieba!

P O L I D A S.

Co za dziwo!

Dway Amfitryonowie!

A M F I T R Y O.

Niestety! co pocznę,  
Hańba moja staie się nadto niewątpliwą,  
Odkrycie oney nadto pewne i widoczne.

N E U K R A T E S, *(do Polidy.)*

Im pilniey wpatruię się, razem czy z osobna,  
Twarz obóch, gdyby iedna, postać tak podobna.

S O Z Y A, *(przechodząc do Jowisza.)*

Panowie! nie mylę się, iednym oka rzutem,  
Tego prawym, a tego uznaię filutem.

P O L I D A S.

Prawdziwie, z tak cudowném podobieństwem obu,  
Zadnego doyscia prawdy nie widzę sposobu.

A M F I T R Y O, (*porywając się.*)

Pokiż téy powolności na zdraycze wykrety?  
Miecz ten nad czarodzieie silnieyszy i czary,  
Miecz ten w odważney dłoni przeciw bisom święty.

N E U K R A T E S, (*trzymając go.*)

Amfitryonie!

A M F I T R Y O.

Puść mnie.

N E U K R A T E S.

Jakie masz zamiary?

A M F I T R Y O.

Spełnie nayrychleyszey na szalbierzu kary.

J O W I S Z.

Zwolna — nie te prawidło, nie ta prawdy szala:  
I kto tak prędkim, iak ty, gniewem się zapala,  
Przeto samo znać daie, że próżen nadziei  
Utrzymać się w dowodach...

S O Z Y A, (*przerywając bardzo prędko.*)

Rad kończy na guzy.

Wniosek, zatym, że iesteś ieden z czarodziei,  
Którzy pewne mentale nosząc i inkluzy,  
Z pomocą diabelstw mężom nieprzyjaznych zawdy,  
W ich postaci to robisz, co oni do prawdy.

A M F I T R Y O

Ty szalony półgłowku.!

S O Z Y A, (*kryjąc się za Jowisza.*)

Mam dobre ramiona,  
Pana moiego, strzeż się, strzeż Amfitryona.

A M F I T R Y O.

Proszę popuśćcie słusznę pomście moiej wodze,  
Niech się krzywdzie honoru chociaż w tym uiszcze,  
Ze śmiertelnym pociskiem w fałszerza ugodzę,  
I przynajmniey się pomszczę, kiedy nie oczyszczę.

N E U K R A T E S.

To być nie może, żeby w tak dzikim sposobie,  
Dać Amfitryonowi walczyć przeciw sobie.

A M F I T R Y O.

Więc moja u was sława tak lekkiey iest wagi,  
Że cobyście najpierwsi tknięci oney plamą,  
Mieli się przyjaciela wraz z nim mścić zniewagi,  
Pierwsi do wzięcia pomsty iesteście mu tamą?

N E U K R A T E S,

Ale przebóg! co żądasz, abyśmy poczęli?  
Dwóch was Amfitryonów oczy nasze ludzi,  
Dwóch was naszą niepewność między siebie dzieli,  
Dwóch gorliwość zapala, dwóch ią razem studzi:  
Coby za skutek wzięła chęć przysługi skora?  
Możeby się zdarzyła z prawdziwego szkoda. —  
Zdaiesz się Amfitryon Tebanów podporą,  
I on także ma iego pozory; lecz co do  
Istoty rzeczy, iednąż zawsze wątpliwość zostaje,

Który z was prawy, który nim się tylko zdaie —  
 Któżkolwiek iest impostor czyli on, czyli ty,  
 Drogo przyplaci fałszu, nie uniesie życia,  
 Ale nam czasu trzeba do prawdy odkrycia,  
 Żeby wrazie prawdziwy nie został obity.  
 Prosiemy więc spuśćcie się na gorliwość naszą,  
 Byleśmy doszli zdrady, o którą rzecz idzie,  
 Potrzeba Neukratowi ufać i Polidzie,  
 Wszak zna ich Amfitryon serca i pałasze.

J o w i s z.

Pochwalam zdanie — skoro obóch nas postacie,  
 Tak wielkie podobieństwo iedną niemal czyni,  
 Nie mam za złe, że w pomście swoiey się wahacie.  
 Przywiązanym i mężnym rostopność mistrzyni.  
 I ia dalem iey dowód — świadkami iesteście,  
 Ze mimo te obelgi, mimo te nieszczęście,  
 Któremi znieważył mnie; mimo śmiały nawet  
 Dobycie broni, cobym miał oddać wet za wet,  
 Tyle sobą władnąłem, że ani się gniewam —  
 Równey się powolności wnet po nim spodziewam.  
 Nie te ku objaśnieniu rzeczy naszej śródki  
 Przystoia; mam pewniejszy, będzie przytym słodki.  
 Jeden znas Amfitryon, zdaiem się nim oba.  
 Przedsiębiorę to skończyć zabalamicenie;  
 Na mnie zależy pewna istot naszych proba,  
 Powszechności i iego wierne przeświadczenie,

Tak, żeby dostatecznie wywiedziony z błędu,  
 Sam przyznał, z jakiej jestem krwi, z jakiego rządu.  
 Ale nie tu i miejsce i pora po temu:  
 Okoliczność nadto jest wielkiej wagi, żeby  
 Ciele o niej nie miały dowiedzieć się Teby;  
 Winienem to Alkmenie, jemu, mnie samemu.  
 Gdzie idzie o świadectwo cnoty, o poprawę  
 Czci komu wziętej, zwłaszcza o płci pięknej sławę,  
 Tam nigdy nadto świadków, nigdy starań wiele.—  
 Obwieścimy co przedniejsze wprzód obywatele,  
 I wojskowych; dopiero rzecz będzie skończona,  
 Tak dla sławy Alkmeny, jak Amfitryona...  
 Tym czasem przez Sozję na ucztę wezwani,  
 Raczcie mi tę cześć sprawić, przezacni hetmani,  
 Proszę, abym mógł z wami zjeść obiad wspólny.

## S O Z Y A.

A co, Mościpanowie? i zgadłem i zgadnę,  
 Tam prawy Amfitryon, gdzie otwarte stoły,  
*Nota bene* przy pańskich, i nasze czeladne.

## A M F I T R Y O.

Nieba mnie przez nie zwykłe doświadczaia plagi.  
 Odbieram tyle obelg, tyle krzywd, zniewagi...  
 Chcę się pomścić — nie mogę — przyjaciele moi  
 Bronią mi — on tym śmielszy, że bezkarnie broi!

N E U K R A T E S, (*do Amfitryona.*)

Niesłusznie utyskujesz — doczekujemy pory

Sposobney, czas ią zdarzy, przyiaźń nie opuści.  
 Zawsze złym powodzeniem rzecz kończą oszuści —  
 Tym czasem, gdy was żadne nie różnią pozory,  
 Gdy oba toż mowicie — może, że on kłamie.,  
 Ale wytknij nam fałszu, albo prawdy znamie.

A M F I T R Y O.

Gorsi od nieprzyjaciół, słabi przyjaciele,  
 Znajdą się ieszcze dla mnie w Tebach tak życzliwi,  
 Ze ich moje nieszczęście bynaymniey nie zdziwi,  
 Krzywdą i pomstą moją z niemi się podzię,

J O W I S Z.

Miłą rzecz mi uczynisz — tego czekam właśnie.  
 Tak się godzi, przy świadkach kończmy nasze waśnie.

A M F I T R Y O.

Zdrayco! pewnie rozumiesz, żeć się przez to uda  
 Niegodziwa bez pomsty i kary obluda?

J O W I S Z.

Nie na obelgi, lecz na dowody gotowem;  
 Czekay, wkrótce cię iednym uspokoię słowem.

A M F I T R Y O.

Nieba, nieba cię same, chociażbyś był hydrą  
 Ognie z siebie zieiącą, pełną iadu, wściekłą,  
 Słusznemu ukaraniu moiemu nie wydrą,  
 Pomstą cię w ich przybytki w same ścię piekło.

J O W I S Z.

Nie póydzem tak daleko. Zostaw czas tylko nam.,

I uciekać nie będę, i ciebie przekonam.

A M F I T R Y O, (*na stronie.*)

Jdę szukać przyjaciół — serca ich ocucę  
 Hańbą moją, i nim się ztąd zdrayca wykradnie,  
 Niezawodnym ich wsparty ramieniem powrócę  
 Łać tę krew wartą Stygu\* srogo i przykładnie.  
 (*odchodzi.*)

#### S C E N A IV

J O W I S Z, N E U K A T E S, P O L I D A S, S O Z Y A.

J O W I S Z,

Dom poufały — proszę — bez tych czczych grzeczności

N E U K R A T E S, (*wchodząc.*)

Tey rzeczy naybystrzejszy rozum nie doścignie...

S O Z Y A.

Dosyć tych komplementów — sztuka mięsa stygnie.

Podjadłszy i wypiwszy, dobre koperczaki,

A teraz proszę, niechay weydzie iaki taki,

Wkrótce i ia pośpieszę. — Już przebyte tamy

Złamało kark nieszczęście, — iakże pohulamy —

Ja zwłaszcza, korząc losy dotąd mi zawisne,

Jak lubo, iak przyiemnie nie raz się zachłysnę!

Jak się zażrę! trzaśnie mi, ręcze, aż za uchem, —

A woyna! pole dla mnie pokazać się zuchem.

Zebrawszy domatory i ciekawe fryce;

Dopieroż gapiom gwiazdy w południe rozświecę.  
(*chce wnieść do domu.*)

## S C E N A VII.

M E R K U R Y, S O Z Y A.

M E R K U R Y. (*zastępując ode drzwi.*)  
Stój wać — dokąd wędruiesz? Już to, pasorzycie  
Zwietrzyłeś dym w kominie?

S O Z Y A.

Moie drogocie życie!  
Pilno mi bardzo; puść mnie.

M E R K U R Y.

Nie rusz mi się kroku,  
Precz — bo weźmiesz, iak ieszcze nie wzięłeś po boku.

S O Z Y A.

Wspaniały družbo! zacny ia! Proszę nie na mię:  
Doświadczay ciężkie nasze, iuż mi znane ramię  
Niech Sozya Sozyą, przez wzgląd na Sozyę,  
Dla honoru imienia wspólnego nie biie.

M E R K U R Y.

Ale powiedz, z czyiego, trutniu, przyzwolenia,  
Poważasz się Sozyi używać imienia?  
Czyż ci nie zakazałem tego, pod zakładem.  
Trzystu dobrej monety.



S O Z Y A.

Poprawmy kontrakty,

Wszak i ja mogę zwać się Sozją tak, iak ty,  
 Ty masz chlubę z imienia, i ja też mu radem.  
 Ja wszędzie zań uchodzę, wszędzie tak się zowie,  
 Niechayże będzie dotąd dwóch nas po połowie;  
 Niech Amfitryonowie o swey myślą szkodzie,  
 Nam zaś o co klucić się? nie lepiej żyć w zgodzie;  
 Ot tak! mamy przed sobą wspaniałości pole!  
 Ty mnie, a ja być tobie Sozją pozwolę.

M E R K U R Y.

Raz tobie powiedziałem, i przy moim stoię,  
 Ze nic z tego nie będzie — nic, trutniu, na dwoie.

S O Z Y A.

Ale ty będziesz starszy powagą i laty,  
 Bliższy do puścizn, następstw, dóbr, wziętków, in-

M E R K U R Y.

(traty,

A mnie kaduk kazalby bratać się z laydakiem!  
 Nie spodzieway się tego; chcę być iedynakiem.

S O Z Y A, (na stronie.)

O serce obwiedzione twardym znać kamieniem.

(głośno.)

Niechże będę nareszcie, chociaż twoim cieniem.

M E R K U R Y.

Nic zgoła. —

S O Z Y A.

Ulity się przez wgląd imiennika,  
Przez wgląd siebie samego! — Tak wielkie pochopy.  
Czyliż cię nie zniewolą? — Sciskam twoie stopy.  
Uyrzysz, będziesz z twoiego kontent zwolennika. ;

M E R K U R Y.

Darmo prosisz, nic z tego — Raz ieszczę powtórzę:  
Tylko krokim wstąp za próg, oberwiesz po skórce.

S O Z Y A.

Nieszczęśliwy Sozyo! Sozyo niestety!  
Jak srogie twą kolébkę nayrzały planety.

M E R K U R Y.

Co hultaiu! ieszczę śmiesz, choć ci tego bronię,  
Zwać się Sozyą? śmiesz iść ze mną w paragonie?

S O Z Y A.

Czyż to do siebie mówię? — wspomniałem o pewnym  
Już podeszłym Sozyi, moim niegdyś krewnym,  
Którego z grubiaństwem z złością niesłychaną,  
Właśnie ztąd w samą chwilę obiadu wygnano,

M E R K U R Y.

Broń cię boże w to wpadać szaleństwo, jeżeli  
Zwykłą śmiercią na swoiey chcesz umrzeć pościeli.

S O Z Y A, (na stronie.)

Wszyscy mi diabli dali zeyść się z tym psubratem  
Ey! gdybym nie był tchurzem, stałbym się nań katem.

M E R K U R Y.

Co mówisz?

S O Z Y A.

Nic.

M E R K U R Y.

Nie prawda; dosłyszałem słowa.

Co tam wać przebaknęłaś coś nakształt psubrata?

S O Z Y A.

Nie dziw, czasy pogodne, tyle ptaków lata,

Może się iaka sroka ozwała domowa.

M E R K U R Y.

Bądź zdrów—pomniy mierzyć się odtąd wedle piędzi,

I cudzych nie brać imion, bo to trąci szwankiem,

A ieśli cię naprzykład kiedy grzbiet za swędzi.

Pamiętaj, że tu mieszkam; przypatrz się, dom z gan-

kiem. (*odchodzi.*)

S O Z Y A.

Bogowie! którzy górne posiadacie raie!

Do waszych się żołądków, żywot mój ucieka;

Jak wam przykro, kiedy z was który się nie naie!

Słabi na głód! za cóż nim dotykacie człeka?

Już tedy po obiedzie — można mówić, smaczno

Jadłem. — Cóż robić, idźmy za dolą opaczną.

Jéy teraz panowanie — nie iać tylko biedny,

Biedniejszy pan, — obydwu w łódce płyniem iedney.

Połączmy biedy nasze. Niewiem kto to pisze;

Ale i wisić miley, mając towarzysze —  
 Otóż i Amfitryon z dziarskich zóchuw zgraią:  
 Żal mi ich, ieśli taką, iak ia, skomę maia.

## S C E N A VIII.

AMFITRYO, ARGANTYPONTYDAS, PAUZYLKES.

SOZYLA, (*w kącie sceny niewidziany.*)

AMFITRYO, (*do idących za sobą.*)

Nie wszyscy razem idźmy. Nazieraycie z bliska —  
 W ostatniem razie czekam pewny z was odsieczy.

PAUZYLKES.

Dziwnych nowin, cudownéy udzielasz nam rzeczy.

AMFITRYO.

Dwoiakiego nieszczęścia ciężar mnie uciska!  
 Sława i miłość!.. Już ich nie dla mnie słodycze!  
 Niestety! — przeżyłem się! śmierci sobie życzę.

PAUZYLKES.

Ale z tą ich postacią we wszystkim iednaką,  
 Mogła wpaść w błąd Alkmena...

AMFITRYO.

Wina iest wszelako;  
 Day iakie chcesz tey rzeczy farby i pokosty:  
 Miłość nadto wykwinatna. — co indziej iest wadą,  
 I lekkim przewinieniem, w niey bywa szkaradą,  
 Zbrodnią nayokropnieyszą staie się błąd prosty;

Za którym, chociaż rozum niekiedy obstawa,  
Zawsze miłość potępi, nie wybaczy sława.

ARGANTYPONTYDAS.

To, co mówicie, ciemna iest metafizyka,  
Którą nie dość żołnierski mój rozum przenika.  
Prosta zawsze myśl moja, nie wysokie zdania;  
Tchórzom iść na rozumy... mężnym — do spotkania  
Kiedy nas kto używa — przyjaciel ochoczy  
Wystawia życie na hak, zamknąwszy nań oczy. —  
Wkrótce wam to da poznać Argantypontyda,  
Ze swojego sposobu myślenia nie wyda.  
Nie w moim smaku brogi zawiłe procesu,  
Sąd ciemny, chytra zbrodnia, tłómacze praw głupi,  
Sędziow i sprawiedliwość, często zdrayca kupi;  
Gby mam serce i oręż, oddaie ich biesu.  
Pierwszy stopień prawności, ostrze dzielney szabli,  
Za łeb zdraycę; niech biorą co swojego diabli.  
Przynaymnięć ia tak czynię w sprawiedliwym gniewie,  
Od krzywdy krok do pomsty, tak, iak przez żarzewie  
Zamawiam iednak wczesnie, że w tym poganinie,  
Ja pierwszy miecz ukrwawię, z moiey ręki zginie.

A M F I T R Y O.

Zgoda.

S O Z Y A.

Panie! stawię się, padłszy na kolana,  
Wartem gniewu, zuchwałość moja niesłychana!

Sroż się, każ snuć wnętrzości, każ ze mnie pruć ży-  
Winy moje na większą karę zasłużyły. (ły,

A M F I T R Y O.

Wstań, słucham, co mi powiesz.

S O Z Y A.

Srogim zrządzeń losem,

Wsam obiad drzwi mi domu zamknięto przed no-  
Zostałem wypędzony. (sem

A M F I T R Y O

Od kogo?

S O Z Y A.

Od sługi

Tamtego ciebie; ten to sam Sozya drugi,  
Który mnie pierwéy obił, — znowu przed gospodą  
Zwiedliśmy z sobą walkę, ale z moią szkodą.  
Równiey niedoli oba doznaiem dziś grozy,  
I pan *ex*-Amfitryon, i sługa *ex*-Sozy.

A M F I T R Y O.

Pódź za mną.

S O Z Y A.

Okoliczność podobno nam radzi  
Zaczekać tu, — może kto nadeydzie z czeladzi.

### S C E N A IX.

KLEANTYS, AMFITRYO, ARGANTYPONTYDAS, POLIDAS,  
PAUZYKLES, NEUKRATES, SOZYA.

KLEANTYS, (*z podziwienia i strachu.*)

Nieba!

A M F I T R Y O.

Co ci, Kleanto? czego mnie się boisz. ?

K L E A N T Y S.

Daruy, panie! czarujesz, w oczach mi się dwoisz,  
Odeszłam cie na górze, znajduję na dole!

A M F I T R Y O.

Jak żyję nigdy w większym nie byłem mozole!  
Idźmy...

N E U K R A T E S.

Tu nań czekamy. Będziecie świadkami  
Co powie; dał mi słowo, i jeśli nie mamy,  
Kazał nam się spodziewać całej objaśnienia  
Rzeczy, w sposób kończący twoje utrapienia.

S C E N A X.

*Ciż sami,* M E R K U R Y.

M E R K U R Y.

Tylko co go niewidać, uści się w słowie.  
Chcecież nas teraz poznać? iesteśmy bogowie.  
Ten, co Amfitryona na się wziął oblicze,  
Jest pan zastępów, twórca bogów i natury;  
Swieży pieszczoch Alkmeny: co się zaś mnie tycze,  
Jestem niegodny jego dziewosłęb Merkury,  
Gdy się Jowisz umizgał, nie mając co robić,  
Dla rozpędzenia nudów w człowieczey figurze,

Chciałem doświadczyć ręki na Sozyi skurze,  
I ztem się nim upodlił, raczyłem go obić. —  
Powinszujecie mu; jest to upominek drogi  
Zaszczytu, z ręki boskiej odebrać batogi.

S O Z Y A.

Skoroś się nie połudzku obszedł ze mną, wierzę,  
Ześ bóg dowodzą mi to, pręgi przez pacierze.  
Uprzemy odtąd sługa boskiéy wielmożności,  
Wolałbym mniej zaszczytu, a całe mieć kości.

M E R K U R Y.

Teraz ci pozwolenie daię być Sozyą,  
Aż mi wstyd nośic larwę takiego straszzydła;  
Jdę do nieba, kążę zrobić kąpiel z mydła.  
Bo wątpię, żeby się brud odmył ambrozyą.  
(*ulata.*)

S O Z Y A.

Zgiń, przepadnij, przekłeta opętana włoko!  
Żeby cię nigdy ludzkie nie ujrzalo oko.  
Jak żyję, niewidziałem ossy tak zażartey!  
Jeśli tak źli bogowie! iakież będą czarty?

S C E N A O S T A T N I A.

*Ciz sami. Jowisz w obłoku na orle, obznaymiony  
grzmotem piorunów.*

J O W I S Z.

Spojrzyi, Amfitryonie, przypatrz się, i dowiesz,  
Kto twój imposter. — widzisz ten ledwie zgaszony



Piorun, obłok w podnóżku, w górze świetne łony ;  
 Kto się w tym znaczy, ieśli nie bóg bogów Jowisz ?  
 Niech burzy serca twego weźmie mieysca cisza ;  
 Daię ci mir ; osłodź nim kłopoty i troski ,  
 Pod tak wielką opieką, iaka iest Jowisza ,  
 Nie uymą slawie twoięy czczych obmów pogłoski ;  
 Pobudzisz owszem wielu zawiścią i żalem ,  
 Żeś stał się godzien , boga bogów mieć rywalem .  
 Nie tobie utyskiwać na miłość szczęśliwą ;  
 Mnie raczey , który , mimo wszechmocności bóstwa  
 Żonę twoią znalazłem wierną i poczciwą ,  
 Pierwëy gotową na śmierć , iak do cudzołóstwa .  
 Możeż być twoia miłość lepiej dogodzoną ,  
 Doskonalsza na ziemi dwóch serc w stadło sprzężę ?  
 Jak znaleść się z tak rzadką , z tak iedyną żoną ,  
 Którey cnoty nikt użyć nie może prócz męża .  
 A przynajmniey bez iego postaci przybrania ;  
 Że Jowisz , choć wszechmocny na ziemi i niebie ,  
 Sam przez się , nie mógł stać się godnym iey kochania ,  
 I co tylko otrzymał , otrzymał dla ciebie .  
 Taka cnota sądz , ieśli nie warta oltarza .

## S O Z Y A .

Jespan Jowisz mógłby się zdać na aptekarza ,  
 Gorzkie daie pigułki , ale ie pozłaca .

## J O W I S Z .

Pofolguy więc smutkowi , niechay nadaremna ,

Rozpacz, szczęśliwszych odtąd dni twoich nieskraca  
 Zaczna twoia Alkmena szczęśliwie brzemienna,  
 Wielkich nadziei mężstwa owoc w sobie niesie,  
 Na zadziwienie świata, w synu Herkulesie.  
 Czynię ci obietnicę, dalszy ią czas ziści:  
 Fortuna tak dla innych odmienna, zostanie  
 Odtąd twoją, na każde woli zażądanie,  
 Do niepojęcia wszystkich, i wszystkich zawiści.  
 Możesz śmiało podchlebiać sobie tą nadzieją,  
 Nie wierząc, śmiertelnąbyś obraził mnie winą,  
 Amfitryonie i ziemia i nieba zniszczęią,  
 Ale słowa Jowisza nigdy nieprzemina.

(znika.)

NEUKRATES, (do Amfitryona.)

Szczęście tak nadzwyczajne dla Amfitryona,  
 Bogom ulubionego! o! błogosławiona  
 Dolo! dolo nad ludzkie większa, dolo święta!...  
 (Inni hetmani chcą także wieszować Amfitryonowi,  
 który przeięty smutkiem i podziwieniem, wsparty  
 na iednym z nich, prawie sobie nieprzytomny zo-  
 staje aż do końca sceny.)

S O Z Y A, (przerywając, do hetmanów.)

Dobrze to, lepiej iednak skrócić komplementa.  
 Odlóży na czas inny tey mowy perorę.  
 Jak dziś? powieszowania nie bardzo są w porę.  
 W takich okolicznościach, tak z tey iaki z owéy

Strony, płaczą się wątki, zrywają osnowy,  
Niedorzeczne figury, zawile frazesa.  
Wielki Jowisz piękne nam zoczenia zamierza;  
Dom pański ma mieć z iego lędźwi Herkulesa,  
Wielkiego bochatera, sławnego rycerza;  
Fortuna iednostaynie ma zataczać koła  
Przed dom nasz, — wieść to piękna, nadzieia wesola.  
Mimo iednak tak wielkie nadal przeznaczenie,  
Moia rada: psyt o tem — naylepsze milczenie.  
Jaki taki do siebie niech umyka cicho,  
Zlekka, Mości panowie — drzymie? — niech śpi li-  
Jeśli macie winszować, winszuycie Alkmenie, (cho.  
Że została w tak luby sposób omamiona —  
Co mnie, to szczerze mówię, żal Amfitryona.

K O N I E C K O M E D Y I.



# RÓŻNE WIERSZE

Z ZABAWEK PRZYJEMNYCH I POŻYTECZNYCH  
WYJĘTE.





# RÓŻNE WIERSZE.

---

## PIĘKNOŚĆ, ROZUM, CNOTA.

(z francuzkiego)

### P I E K N O Ś Ć.

Ta róża co się z pączka dobywszy czerwieni,  
I wkrótce zwiędła skwarem w suchy liść się zmieni,  
Jest krasy wizerunkiem, za którą leciemy  
Oślepi: iednój za kilka dni nie zobaczymy;  
Druga ieśli się kilką latami przedłuży,  
Kiedyz tędz doezekać musi kresu róży.

### R O Z U M.

Nie tak nagle do zguby rozum postępuje,  
Ale mu czas zazdrosny powoli uymuie,  
I chociaż silnój z wiekiem żywości nabywa,  
Mniej atoli przyświeca wtenczas gdy doyrzywa.

### C N O T A.

Cnota dobro naytrwalsze nigdy nie umiera,  
I wraz z nami do ciemnych grobów się przedziera.  
Przecież mimo to wszystko, żeś iest kleynot drogi,  
Kto kiedy twoie, cnoto, chce odwiedzić progi!

## PIEŚŃ BACHICZNA.

(z *francuzkiego.*)

Ze wszystkich, które Rzym czcił w Pautheonie, (1)  
 Lub starożytność w bożków mieści gronie,  
 Jeden jest godzien takiego imienia.  
 Bachus móm zdaniem ieden wart uczczenia,  
 Innemi bogi, co niebem władaią,  
 Albo się z nami po ziemi tułają.  
 Każdy opilec może gardzić śniele,  
 I u przystolu (2) nie tylko w kościele.  
 Cóż mi ztąd przyydzie że Jowisz ponury,  
 Warkliwym codzien praży ogniem z chmury?  
 Łaskawszy Bachus iak w głowie zaszumi,  
 Srogie Jowisza pioruny zatłumi.  
 Grzmotay więc iak chcesz, przewładny Jupinie,  
 Ja nie zblednieję od strachu przy winie,  
 A gdy się z Bachem za beczką położę,  
 Choć zmierzysz beltem, to się kuflem złożę.  
 Kiedy szedł bogom na rozdział świat cały,  
 Morza się w państwo Neptuna dostały,

---

(1) Pantheon: to słowo jest z dwóch greckich złożone Pan i Theos; co znaczy: „wszyscy bogowie.” Ten niegdyś sławny w Rzymie kościół, jest teraz na cześć wszystkich Świętych poświęcony.

(2) Przystół, słowiańskie słowo, znaczy: spód, czyli, mensę ołtarza.



Bach wtenczas nie był; aż po długim czasie,  
Dano mu berło na winnym Parnassie.  
Neptun tróyzębem gdy pogrozi z wody,  
Ucisza wiatry i zwabia pogody.

Cudowna Bacha ma to w sobie czasa,  
Ze wszystkie ze lba kłopoty wystrasza.

Slawni Rzymianie wznosząc aż do nieba,  
Po Helikonie władającego Feba,  
Gdy ięków lutni sluchali pieszczonych,  
Właśnie bywali naksztalt zachwyconych;  
Mnie kiedy lechce do wierszy ochota,  
Bach jest Apollo, a Febus hołota;  
On iak podsunie w głowę dziwy troie,  
Za nic są mądre Parnassu dziewoie.

Parysa sądem zelżona Pallada,  
Biedne chudactwo odtąd w kruchcie siada,  
A mniey ufaiąc powabom piękności,  
Chce mieć kochanków z nauk i mądrości.  
Ja iey nie będę (ręczę) zalotnikiem.  
Drzę przed mądrością iak przed arsenikiem:  
I ieden w bluszczu tydzień przepędzony,  
Drożey oceniam, niż wiek oświecony.

W Rzymie Łacinnik, Greczyn w Epidarze,  
Eskulapiemu buduią oltarze,  
Kładąc w nim zdrowia snąć swego nadzieię,  
Ja się z nich tylko do woli naśmieję;

Bo gdy mnie czasem iaka troska swędzi,  
 Kwarteczka wina kłopoty rozpędzi,  
 I iak słyzałem, lżeysze w kroplach leki,  
 Niż rubarbarum z Chirona apteki.

Gdzieś nad okropną w głąb ziemi krainą,  
 Panuie srogi Pluton z Prozerpiną;  
 Smutek ich zbledził, a brudne ciemnice,  
 Nie mały zmarłym dodają tęschnice.  
 Ty, ieśli w tamte śmierć mnie zaszle treti,  
 Bachusie, z garcem postępuy do mety.  
 Wszystkie wytrzymać męki iestem gotów,  
 Tylko zachoway Tantalą suchotów.

---

## NIEŚMIERTELNOŚĆ DUSZY

(z francuzkiego.)

Wielki Boże! choćbyś mi iasném światłem z góry  
 Nie objawił, los człeka iakięy iest natury,  
 Dusza przecie gdy pilnięy w swoię istność wziera,  
 Tém stworzeniem bydz zna się, które nie umiera.  
 Głos opatrzny, i czucia wnętrzne w powszechności  
 Mdly umysł ukrzepiaią względem nikczemności:  
 Cokolwiek nie iest ciałem, nie załęże mary,  
 Ani na to pewności zasięgam od wiary:  
 Bo mię rozum przeświadcza; więc z tego powodu  
 Ni zasługi w sumieniu, ni czuie zawodu.

Jakże! to wyzionienie z ust wiecznój istoty,  
Mimo duchowny rodzaj, i takżeż przymioty,  
Czasu wszystkokrotnego usidłone pętem,  
Trwałości by swoję jednym mierzyło momentem?  
Toż iestestwo? gdzie mocą widocznego piętna,  
Wyśledziła swój obraz istność niepojętna;  
Miałoby z łyskawicą!... Ah! drząc cały, Panie,  
Wyznać muszę, że darów tak świętych zebranie,  
Jak z pod nieśmiertelnego wychodzi warsztatu,  
Tak iest bezkreśną cechą twego maiestatu.

Taż ma zginąć? co świata rozwlekłe beznierze,  
W punktu myśli pojętnój szczupłe szranki bierze,  
Co wsteczne cofa lata iednym mgnieniem oka,  
Drze się w niebo, poznaie, iak ziemia szeroka,  
Z czego piorun ulany, z iak tegiěj cięciwy,  
Bładych strachem mrzy ludzi ogień przenikliwy;  
Lecz to fraszki; co ciebie kocha i poymuie,  
Co aż na wszechmocności łono wylatuie,  
Miałoby niepochybnym śmierci zdjęte grotem,  
W tak przeważnym azylu rozstać się z żywotem?

Czemu? (kiedy ma przepaść równą dolą ciała,  
Aby żeń tylko ziemia zgnilizną nabrzmiała),  
Tak wielu znakomitych cnot uszlachcasz zbiorem,  
Które śmierć żałobistym naodzieie worem?  
Biada! biada dniu temu, którego wyniknął  
Na to, abym cierpiawszy długo, potem zniknął;

Wieczność mi osładzała losy człeka biędne.  
 O! gorzkie, ciemne nocy i wy chwile widne,  
 Zaprzestańcie ustawneý swych przemian kolei,  
 Jeśli trwalszego życia nie mam mieć nadziei. (rza,

Z płaczem na świat wychodzić, żyć troskom obie-  
 Namiętnościom nie sprostać, które nam wiek mierzą;  
 Być ofiarą zgryzoty nieodstępneý grzechu,  
 Lub trudnemi usilki iego strzedz się cechu,  
 Zamiast światła prawdy cień tylko widzieć szary,  
 Na roskoszy poglądać, iak na płonne mary,  
 Wpóśród łona boleści kresowi ulegać,  
 Bać się śmierci, a iednak ięý się nie wybiegać,  
 I potém z szczędem ginać! ieśli takie losy  
 Człeka, na kogóż cięższe upaść mogą ciosy?

Szczeńliwszabyś, przewięzły (1) robaku, żył dolą,  
 Samę skłonność maiący za prawo i wolą.  
 Ciebie trapi terażność; mnie zaś i to krzywo,  
 Co niepewność odległą razi perspektywą.  
 Ty od ciała ucierpisz; a mnie Nielitosne  
 Wyroki kreślą bardziéý widoki żalosne,  
 Płód baczneý rozumu, który rozpacz rodzi.  
 To prawda że nad nami śmierć równie przewodzi,  
 Lecz cię Twórcza wszechmocny chciał odjąć poznaniu  
 Tego: iż kiedykolwiek przyydzie ku skonaniu.

---

(1) Insectum.

Jeżeli w ciasnych krańcach biegąc, zawóć rączy,  
 U tęg się mety cale przeznaczenie kończy:  
 Zkąd się we mnie ta żądza niezłomiona wznieca  
 Do widziadeł znikomych, a nic nie nasyca?  
 Zkąd pragnienie nauki, zkąd chętka mądrości,  
 Nerozdzielne zalety człowieczéy istności?  
 Kto do życia wiecznego myśl naszą porywa?  
 Twóy mnie głos (ani błędę) o! mój Boże, wzywa;  
 Toć ty nas w błędach trzymasz, gdy dawszy przynęte,  
 Bronisz smaku, zawodząc chuć w omany kręte.

Dla lichegoż człowieka (daymy że zniszczeie,  
 Lub iak sen na zaraniu dymem się rozchwieie),  
 Tak wielkiego gmach świata od Ciebie dźwigniony  
 Z brudnych otchlani, zasiadł grunt nieporuszony?  
 Bynaymnię: mnie się zdaie że ten okrąg niski,  
 Albo iest walną sceną, gdzie znosząc uciski,  
 Wiecznotrwalego szczęścia dopniemy przez dzięki,  
 Albo w owém igrzysku niestworzonéy ręki,  
 Oko moje, prócz saméy wszechmocy okazu,  
 Innych bóstwa własności nie widzi wyrazu.

Ale niżli zaginę, proszę, pozwól Boże,  
 Niech Ci świata nierządy króciuchno przełożę.  
 Często pyszna rozpusta naodziana złotem,  
 Urąga się nad cnotą żebrzącą pod płotem.  
 Często zmyślny wydzierca zwlekaiąc ze skóry,  
 Niedoradne sieroty; dla świetnéy purpury

I pochlebców znajduie, i strachem przeraża,  
A gmin stojąc zdumiały gdy z bólem rozważa,  
Bezuzdęć na swawolę niekażni przykłady,  
Jeno nie bluźni: gdzież iest sędzia gromowlady?  
Toż więc srogie występy, grzechy i bezprawia,  
Któremi się ustawnie ród ludzki zakrwawia,  
Uyda płazem; a cnota bez opłatu siedzie?  
W iednymże śmierć nas wszystkich ustanowi rzędzie?  
Ah! iakże dzielne duchy zimnym przysuć grobem,  
By razem Bóg nie zniszczał podobnym sposobem.  
Wszakże iest sprawiedliwy; weźże to na stronę,  
Czyliż będzie iak pierwéy bóstwo uwielbione?  
Bluźnią więc duchomory, a w głupstwie niebaczném,  
Chcą nam Boga udziałać potworem dziwacznym.  
Co do mnie; ia poznaię: że dusza człowieka,  
Kiedy się śmiertelności kresu nie doczeka,  
Przyydzie ten czas kiedy Bóg przy iasnéy pochodni,  
Okaze światu losy, i cnoty i zbrodni.  
Z tém wszystkiém, co mię za strach, co za oziębienie  
Obeymuie na samo wieczności wspomnienie.  
Ah! wesprzyy niedolęę i doday pomocy,  
Boże, by mnie w swéy piekło nie zsidlilo nocy.  
Niech wdzięczna dusza mirry zapaszyste kadzi  
Za to, że ia z innemi twory, śmierć nie gładzi.

---

## LIST XIII. KRÓLA PRUSKIEGO

DO SWOIEY SIOSTRY DE BAREITH

o używaniu fortuny, (z francuzkiego).

W kształt zwodniczych snów w próżne uleciawszy  
 Łudzający zmysł wielkości blaskliwe portrety, (trety,  
 Podaly śliczną porę, iż bezemgle myśli,  
 Układ mi filozofski stałą ręką kryśli.

A tak się uchylając od troskliwéy wrzawy,  
 Ubiegłych czasów chwile do méy ściagam sprawy.

Tu małym kosztem sielskie roskoszy kupię,  
 Krzosam buki i kręte chodniki buduję;

Tu cię wzięwszy *Kwintynie* za model iedyń,  
 Z suchych wydmów roskoszne wyrabiam dziardyny.

I patrzę z umileniem iak w południe porę,  
 Z pączków się uśmiechają wdzięczne dziatki *Flory*.

Tu mój wiernek *Filemon* przyszedłszy w odwiadki,  
 Często o cnót wartości wszeczyna dyskurs gładki.

A ia gdy się z dowcipem cokolwiek rozrucham,  
 Toż samo gram na harfie, lub na fletni dmucham.

Jeden listek, kwiat ieden, i drobniuchna trawa,  
 Za obfitéy rozmowy materją stawa.

Pełna dziwów natura! kto uwagi żąda, (gląda;  
 Niech się zgodnéy drużynie pszczoł w dzień przy-  
 O! cóż za roskosz widzieć gdy z skrzętnym starunkiem  
 Pracują nad zdobycznym z ziół słodkich rabunkiem.

Z wspólnych wszystkim zabiegów, i spólnego znoiu,  
 Hojna korzyść wypływa dla całego roiu,  
 Jedna drugą wspomaga, a krom wszelkich swarów,  
 Spokojnie w zimie letnich używają darow.  
 Czemuż (rzekłem) nie idziem tak pięknym przykła-  
 Czyliż pilna rozwaga nad przeciwnym ładem, (dem?)  
 I szczęsnym zjednoczeniem skrzętnego robactwa  
 Nie powinna o nasze nas wstydzic dziwactwa?  
 Świętsze pono są pszczelne niż ludzkie statuty;  
 Nie widać tam z nich w żadney hardonoséy buty,  
 Mowiącëy: że to moie, a to ma bydź twoie,  
 I duma i interes, wielbią ich pokoie.  
 O! durny ludzki rozum! o głupstwo zuchwałé!  
 Jakże cię ukorząią te przewięzy małé?  
 Nasze serce skaliste gardzi nam równemi,  
 A skoro mieniem szczęście staiem się innemi  
 Ludźmi do obyczajów. Sowy losem ciemne,  
 Zayrzyymy w nasz początek i związki wzaiemne!  
 Ktoby rzekł widząc dumną wielmożność dla złota,  
 Że z tegoż co i charłak ulepiona błota,  
 Ze te biedne odrzuty pod lichą połacią,  
 Noszą cechę człowieka, i są naszą bracią?  
 Stało się; pycha ich dmie, szczęścia to robotka,  
 Nie ma nic do bogacza ubogi gołotka;  
 Nie obchodzi ich dola wzięta w powszechności,  
 Są to zwierzęta natur różnych i istności,



Są to lwy nietłosnym okiem się patrzące,  
Gdy sokoł leie duchy z gołębia żywiące.

O! iakże na tych panów gniew mój się nie sili,  
Co w koniach i psach gnuśną duszę utopili,  
Właśnie iakby ich szczęście w tym stopniu mieć  
Dla tego, iżby dobrze sobakom się działo, (chciało,  
Te konie z zbytney tuczy ochwatu dostaia,  
A ubodzy pod murem z głodu umieraia;  
Żyia sami dla siebie nie znaiąc powiniych,  
Obowiązków, dźwigania z nędzy ludzi innych.  
*Filemnie!* tym bezprawiem tak się poruszyłem,  
Że i pany i szczęściem odtąd pogardziłem.

„Niech cię to (rzekł *Filemon*) zadziwem nie słupi  
„Świat za zwyczaj nie ludzki, niewdzięczny, i głupi.  
„Co do mnie, iuż od dawna nadto mi iest znanem  
„Bom się wuń wpatrzył będąc Fortuny kaplanem.  
„Tey kościół nie zamknięty zawsze stał przetworem  
„A wszyscy się cisnęli ślepo za honorem.  
„Dworak nie raz wyrzekał: o! bogini święta  
„Kiedyż będziesz przychylném miłosierdziem zdjeta,  
„I dasz sposób bym moich pogubił wspólników?  
„Król: day mi ze swobodnych, podłych niewolników.  
„Gach z miną sowizdralską prosił o byt wielki,  
„O palace kosztowne, o sprzęt do nich wszelki;  
„Marnotrawca ustawnie chyląc się upraszał  
„O liczne dobra, by ie niebacznie rozpraszał;

- „Łakomiec drżący mówił: o' ty boskie plemie  
 „Dayże mi wiele złota, bym ie zagrzebł w ziemię;  
 „Inny znów na wysokie chcąc dopiąć urzędy:  
 „Kiedyż (wrzeszczał) Dwor swoje ukaże mi względy?  
 „Alebym nie zakończył gdybym tego ścisku  
 „Chciał każdą wypominać proźbę po nazwisku;  
 „Słowem, żaden nie łączył do swego pragnienia  
 „Szlachetnéy żądry innych ludzi szczęśliwienia;  
 „A moja też bogini ślepa i nie stała  
 „Bardziéy w darach rozrzutna niżeli wspaniała  
 „I skąpiła z dziwactwa, i dała z chimery. (ry.

Prawda (rzekłem) że szczęście iest arszenik szczę-  
 Bo gdy się z swoim fumem komu w umysł wleie,  
 I najlepszy charakter natychmiast zliszeie. (sadzi,  
 Człowiek w głupich zapędach wrząd się z Bogiem  
 I mniema, że mu dymem świat ofiarnym kadzi.  
 Ci Ichmość napuszeni iasną wielmożnością  
 Sami się przed wszechmocną stawiając opatrnością  
 Rozumieią: że gdy Bóg dawał istność światu,  
 Oni byli tworczeo naybliźsi warsztatu,  
 Sami się w śródku mieszcząc nieobeszléy ziemi,  
 Nie widzą innych, byle dobrze było z niemi;  
 Tkliwi zawsze o swoje, mało im iest na tym,  
 Ześ ty chudym biedakiem, byle on bogatym.  
 Właśnie iak te gałęzie, ktorych list nie płoduy  
 Wysysa ze pnia wszystkim sok owocorodny;

A całą ukazując krasę na zielonce,  
 Suszy ślicznę nadziei zawiązków tysiące.  
 Dla niechże to cewkami płynąc karmie soczne  
 Rozlewaią swą zyzność w gałęzie poboczne?  
 Ah! iakaż zbawna ręka utnie te ramiona,  
 Dla których dobroczynna ma krzywdę Pomona?  
 Ja widząc lik ich wielki, już krwawą plwam śliną:  
 Filemon odrzekł na to z posępioną miną:  
 „Kto wie, możeby więcęcy było dobrodzieiów:  
 „Ale ten świat przewrotny pełen jest złodzieiów:  
 „Często dobrej czynności niewdzięczność odplątem,  
 „I to się każe dobrze poznawać ze światem,  
 „To mówię dobroczyńcom hoyną ściska rękę.

Jakże (rzekłem) zarabiać miło na niewdziękę!  
 Czyż w ten czas gdy nas skłonność do cnot wszecznie  
 Nie rozum sercu, lecz mu serce ma ulegać? (zażęgać,

O! ty mądra Minerwo, siostró ukochana!  
 Ktorę mi dobroć serca aż nadto poznana,  
 Ty iesteś przeświadczona, że umysły dzielne  
 Nie w wielkości znayduią roskoszy rzetelne,  
 Ale w rozsądnym bliźnich tym darem ratunku,  
 Który z szcudréj fortuny przebralĩ szafunku.  
 Te kolumny którei Architońskie ramie  
 Zdobiąc czoło swych gmachów w różne kształty ła-  
 Nie są czczych wynalazków naddatną pogładą, (mie,  
 Co ie ręce rozrzutne dla widoku kładą.

Lecz bardziéy wspólnym biegiem i siłą złączona,  
 Krzepczą stale budowę sztuką upiękroną.

Spółeczność ludzka wielkim iest także budynkiem;  
 Gdzie każdy obywatel wpływa pojedynkiem.  
 Zdobić ją nie iest dosyć, trza nadto dobroci,  
 Ta nas klei, a hoyna okazałość złości.  
 O przewładna naturo! oty mamko świata!  
 Zwol, niech mój rym twych tajnic zadziergi rozplata;  
 Ty uważną szlak stopą tłocząc przyrodzenia  
 Do pewnego kierujesz wszystko przeznaczenia.

Niech nam świadczą pieczary, które swą oszkardą  
 W wnętrzościach gór wydrążasz krusząc skałę  
 Te się krusząc wilgocią na bliskie niziny (harda,  
 Dla ulgi wywnętrzaią kryształ srebro-płynny;  
 Ztąd naprzód wązkim strużką ścisniona korytkiem  
 Zabiegłe łąki hoynym daruie pożytkiem,  
 Potym z ściekłych wód zdjęta nabiegłą puchliną  
 W niezbadne płynie morza z ogromną daniną;  
 Aż nakoniec od słońca pociągniona w chmury  
 Kroplami w tęż, zkąd wyszła wstecz przepada góry;  
 I tak się nieprzestanną wahając koleją,  
 W kroplach biorą zasilek, a strugami leją.  
 Tym honor powinności ogniwem koiarzy.  
 Panowie u fortuny są na kształt szafarzy  
 Albo owych strumykw, więc swą szczęśliwością  
 Powinni się z kraiową dzielić społecznością.

Wspomniemy sobie ow czas gdy na góry święte (1)  
Ustąpiło pospolstwo (2) na Senat rozdęte.

Co mowil (chcąc do zgody wścięgnąć motłoch dumny)

Menenius Agryppa Senator rozumny:

„Rzeczpospolita bracia iest ciała obrazem

„Gdzie wszyscy członków miejsce zastępują razem;

„Iedna część niedołączna z swęy wyparta kluby

„Może całą przyprawić machineę do zguby:

„Tak gdyby gęba (wołąc bardzięy rozumować)

„Wzbraniała się koniecznych pokarmów przyimo-

„Za czasem z sił opadłe i zgłodniałe zwierze (wać

„W nierozwziętę czczęy śmierci wpadłoby obierze.

„Wy członki niedołączne! ty gminie nie stały

„Przydź w stan obywatelstwa i zrzczy się kabaly!(3)

Niech taki chce w Oyczyźnie kto urząd piastuie,  
Skoro iest w ogólności, częstką się mianuie.

Więc gdy ma na skwierk drugich serce zastalone

Stan w nim widzi gangrenę członki zabrudzone.

Ale śmierzmy zapędy, niech w nas żółc nie puka

Nayłacnięy iest strofować, przysposabiać sztuka,

Uczmyż po przyiacielsku nie koźliwszy czoła;

Jak rozsądny człek wielkość swą miarkować zdoła;

(1) „Le mont sacré. Mons sacer.” Góra iedna z siedmiu gor Rzymskich,

(2) Rzymskie,

(3) Kabala z słowa Francuzkiego „la cabale” znaczy spisek, partyą.

Jako się strzegąc pychy, zemsty i zazdrości  
Ma dobroć swęý zasadą uczynić możności.

„Nic cię tak w twoim szczęściu nie wznosi wysoko  
„Jak moc dobrze czynienia rozciąęła szeroko,  
„Ani niczym tak bardzo drugich nie przechodzisz  
„Jako iż szczodréý mocy skutkiem nie zawodzisz.  
Mowił niegdyś ten Konsul mowca, Cezarowi,  
Co był w sądzie Rzecznikiem Ligaryuszowi.  
Toż do wszystkich Monarchów można przystosować;  
„Dla wsparcia ludzkiej doli Bóg wam dał królować:  
„Zorza świata! blask dla was, sobie go schowaycie  
„A nam wdzięczne promyki darem przysyłaycie.

Panowie te to ślepey Kmochy lube dzieci  
Bez wielkiéý duszy, z gniaem w lichéý giną śmieci.  
Tak owi Neronowie byli pogardzeni  
A zaś Antoninowie dla cnót poważeni.  
Przezacne Antoniny! wy roskoszy Rzymu  
Warcicie zapasznego wdzięcznych ofiar dymu.  
Warcicie (gdyby można wiecznych dosięć progów)  
By was w grono szanownych umieszczono Bogów!  
Na wasze imię czuię, iako moia dusza  
Do cnot zamilowania z gruntu się porusza,  
Lub raczéý do litości nad człowieczą bidą.

A Julian nie byłże Rzymianom ohydą?  
Lecz do czego rym gwałdzę tę podłą gawiedzią  
Których berla i wieńce rdzawą zaszły śniedzią.

Ani rozumiem aby serce dobroczynne  
 Zdobiąc trony, nie miało zdobić stany inne.  
 Cnoty równy szacunek; ubogi i mierny  
 W potrzebie dla drugiego ma być miłosierny;  
 Jeśli zaś kto bogaty, zbytkiem iego złota  
 Powinna nędzę dźwignąć upodlona cnota.  
 W pomyślności tło dusza ukazuje całe.  
 Jeżeli jest lakome, lub w datku wspaniałe.  
 Stany ludzkie są różne, musy iednakowe.

Tak kwiaty nam wydaia wunie balsamowe,  
 Pola kłosiste zboże, drzewa miłe cienie,  
 Łąki pasze, opoki kruszce i kamienie,  
 Wiatry przyjemne chłody, ryb dostarcza morze;  
 Tak północne wędrowców błędnych wiedzie zorze;  
 Tak gdy noc ziemię w czarne upowicie szmaty,  
 Wyieźdza nam przyświecać xiężyc srebrno-szaty;  
 Tak nakoniec ów okrąg, który z swego lica  
 Ognistą żyie parą i blaski roznica  
 Złotym włosem naturę polechtuiąc skrycie  
 Zasila i nieiako drogie daie życie.

---

## ODA KRÓLA PRUSKIEGO

DO MOPERCYUSZA.

*Życie jest Snem. (z francuzkiego.)*

O mój Mopercy! Mopercy kochany,  
 Jakże to życie ludzkie rzecz jest licha!

Ten kwiatek złotym szmelcem malowany  
Dziś z pączka strzela, a jutro usycha;  
Wszystko tu ginie, wszystko w nic się dzieie,  
Skoro nie zbędny mus ciężko zachwieie,  
A sąd wypadnie twardego wyroku:  
I twoje cnoty i twoje talenta,  
W swoje niebawnie czas usidli pęta.  
Trudno nam odwlec śmiertelnego roku.

Już moiéy wiosny zieloność zginęła;  
A iako biegną niewrotne strumyki,  
Tak się i płocha wczesnie ochynęła  
Rozkosz, tamowne połamawszy wniki.  
Dziś tylko słucham, iako gdyrze stary  
Rozum, wepchnąwszy na nos okulary,  
Rozum! co z laty dopiero przychodzi,  
On mię naucza, że to, co żyjemy,  
Prędko ubiega, przyszłego nie wiemy,  
A przeszle mniey iest, niż sen, co nas zwodzi.

Czleku! którego próżne puszą duchy,  
Co to ty przedziesz w słabiuchnym rozumie?  
Ah! poznay byt twóy iak iest w sobie kruchy,  
A nagniesz karku nieobecnéy dumie.  
Twóy zawód ciasnym los określił szrankiem.  
Dzień twoich nawet rodzin z swym zarankiem  
Leci do nocy na niepomnym skrzydle:  
Tam wszyscy w iednym umieszczą się tłumie,



Tam się i głupstwo przy pięknym rozumie  
Obok posadzi na żelazne zydle.

O wy, chuć których uwodzi nie syta  
Płochego szczęścia i bogactw nie tkniętych;  
Wy, którym złotem napchana kalita  
Stanie za bóstwo i za orszak świętych,  
Komu te wacki dusicie spleśniałe?  
Wy, których życie w kolei nie stałe;  
Jak iesień kwiaty z swęy barwy wywlecze?  
Ludzie! zapłaczcie na zwyczajne błędy,  
Ani się skrzynia, ani więc urzędy  
Z wami do grobów ciemnych nie powlecze.  
Ah! czegóż próżne uganianiać mary,  
Bierzem się do prac większych nad człowieka?  
Czem tak roztworne czyniemy zamiary,  
Kiedy z ich końcem bieg życia nie zcieka?  
Rycerze, którzy dla przyszłéy pamięci,  
Srogich dzieł krwawe na ziemię pieczęci  
Tłocząc, dla świata gotuiecie dyby;  
Wspomniycie na te woiaki ogromne,  
Które w dzienniki czas wpisał potomne.  
Ah nie doydzicie sławy, bez ochyby.

Wreście niech waszych bohaterstw przewaga  
Przesłanym strachem świat z zawias wysadzi,  
Niech z krolewskimi, waszych imion waga  
Za sprawą sławy, w rząd się ieden sadzi,

Pokóy kres rzuci, ustaną turnieie.  
 Śmierć też przez wrota kościane przyspieie ;  
 Ledwo o przyszłym kto życiu wspomina.  
 Nastaną wieki z żelaznemi zęby ;  
 Te was na liche przemielą otręby.  
 Umarł człek, wodza każdy zapomina.

Tak wielu wielkich czas z swojego łona  
 Dał i wziął mężów, da znów i odyimie :  
 Postaw swe przy nich ogromne ramiona,  
 Będzie iak karzeł przy srogim olbrzymie.  
 A ieśli tylko w szalonym zapędzie  
 Buta dział waszych za przewodnią będzie,  
 Jak krzywym kołem los się wasz potoczy ?  
 Często okrutnik krwi ludzkiey nie syty.  
 Wydziwia sobie nad swemi zaszczyty,  
 Gdy na nie cały świat obraca oczy.

Jleż to wieków przeminęło potym,  
 Jako przedwieczna moc, krom wszelkich wstrętów  
 Sprzeczne żywioły krańcem mierząc złotym,  
 Kształtny wywiodła świat z brudnych zamętów !  
 Wszystko czasowym statutom ulega,  
 Teraz odemnie daleko ubiega ;  
 A przyszłe za nim żartkim spieszy lotem.  
 Człeku, dni twoich, co się krótko świecą,  
 Ani znać będzie, gdy w wieczność polecą,  
 Jest to punkt iedno, co ty zwiesz żywotem.

Gdybyż przynajmniej to upływne życie,  
 Chociaż dwuwieczna obymała sfera;  
 Mogłby człek dumny, acz mniej przyzwoicie,  
 Głaskać swą pychę, na której się wspiera;  
 Bowiem nadzieia w dłuższy perspektywie  
 Czyni, że człowiek kontentniejszym żywie.  
 Lecz że się rodzim tym końcem iedynie  
 Aby tu żywszy do wieczności wrócić,  
 Po co wiek krótki, mozolami krócić,  
 I szukać chwały, która prędko minie?

Czemu do szczęścia człowiek tak pochopny,  
 Czemu na troski i nieszczęścia krzywy?  
 Nieszczęście jest sen nieco przyokropny,  
 A szczęście także sen niby życzliwy,  
 I to, co radość i co czyni smutek,  
 Jeden w tych serce wyprowadza skutek,  
 Które poznają bytu swego nędze.  
 Idźcież czeze troski, idź rokoszy płocha,  
 A no piekielna już się krząta kmocha,  
 Aby dni moich wątle urwać przedze.

Puszająca dumo, szumiste tytuły,  
 Niestala chwalo, blaskliwe lichoty,  
 I wy napchane bogactwem szkatuły,  
 Nie macie w sobie rzetelney istoty.  
 Jeden uwagi zapęd prawdą wsparty,  
 Byle się przesąd nie wtrącał uparty,

Da poznać w gruncie iak iesteście śliskiem.  
Nic na tym świecie nie postoi w mierze,  
Naywiększe państwo czas w swą kolę bierze:  
Niestateczności wszystko iest igrzyskiem.  
Przebóg! poznaymy, na iakie nas ciska  
Prześlepy nasze uprzedzenie płone!  
To co się wielkim zda człowieku z bliska,  
Są bagatele liczbą powiększone.  
Wznieśmy się tylko tam, gdzie z rudéy łuny  
Na dół padają troyzębe pioruny;  
Patrzmy gdzie Paryż, Rzym, Pekin, i Meka;  
Jch wielkość z dala co raz oku znika:  
Świat nie przechodzi małego punkcika,  
Ah! cóż więc będzie z iednego człowieka?  
Samą próżnością iak pęcherz nadęci.  
Wisiemy sobie na ułomnéy wsporze,  
Czas tylko przeszły pozad nas się kręci,  
A przyszły wieczne ukazuje morze.  
Zawsze próżnemi bzdury zaprzątynieni,  
Wielkich łakomce dóbr nie nasyceni,  
Lepszego co raz zawiduiąc bycia,  
Ani postrzeżem, kiedy z swego biegu  
Łódka zawinie do zimnego brzegu.  
Taka iest dola śmiertelnego życia.

---

## SKOROPISM

NA WESELE PRZYIACIELSKIE.

*(z francuzkiego.)*

Jeszcze w pierwszych początkach niewłożonéj ręki  
 Gdy wdzięczne trącał struny lutni złotoiękiéy;  
 Doświadczyłem iż zawsze szepcąc mi do ucha,  
 Radziła grać zaloty Wenus sercorucha.  
 Darmo się kilkakrotnie rzekaiąc podwiki,  
 Chciał krwawe na harc wywieść Marsa boiowniki,  
 I podać rymem walkę, w której przy biesiedzie  
 Zwarły się z Centaurami (1) Lapidów gawiedzie:  
 Lub iak świat zawalony potowry dziwnemi  
 Umiatał żwawy Herkul ramiony stalnemi;  
 Nigdy temu nie sprostał, a zamiast Alcyda (2)  
 Lutnia grała iak na złość miłości Kupida.  
 Jużem miał nieposłuszne swemu mistrzu brzemię  
 Pogruchotać w kawalce, rzuciwszy o ziemię;  
 Aż mój bożek przypadnie i rzecze z uśmiechem:  
 Młodemu o miłości brząkać nie iest grzechem.

---

(1) Centaurowie i Lapidowie ludzie mieszkaiący w Thesalii dla niezwyčajnéy wielkości olbrzymów podobni ci pod czas wesela Pirythousa z Hippodamią pokłócili się między sobą aż do zabóystwa.

(2) Alcydes imie Herkulesa, wzięte od dziada iego Alceusza.

Nie bądź nadto porywczym, moje miłe dziecko,  
Znamci ia, że niebardzo rad się brzydzisz kiecką;  
A choćbyś się i wzdragał, to może za laty  
Niechętnemu natrętne miłość przyśle swaty.

Niech się więc inni wieszczę mozolą z serdacznym  
Marsem, ty z Kupidyńkiem popieść się saydacznym,  
Poki młody wiek służy, potym nie żal będzie,  
Gdy zimna słabe lędźwie zgrzybiałość osiędzie.  
Do tego czyliż nie wiesz, iże stan młodzieński  
Jeden z twoich przyjaciół zamienia w małżeński;  
I wkrótce iuż zobaczy, iak na czyste łoże  
Szkarłatne z kosza sypnie piękna Cyprys różę?

Czymże mu chęć okażesz za takim festynem?  
Pewnie głowy uszargać nie potrafiysz winem,  
Ni z kołem godowniczym tańczyć koło dzbana;  
Bo słyzałem tak hasasz, iak sroka spętana.

Ni go darem obeszlesz, bo na Helikonie  
Często bywa przytrudno rymopisom o nie:  
Toć przydzie na miłosne podstroiwszy tony  
Lutnią, iak tak zanucić byle rym pieszczony.  
Tu zamilkł i uleciał a za nim w też tropy  
Wielogęba siodłaiąc wieść żartkie galopy,  
Dała znać, że ty, Pietrze, sprzykrzywszy samotę,  
Przyszłych swobód krusz mienisz na niewolą złotą.

Mylę się! czy iuż widzę, iako w ślicznęj parze  
Niesiecie wspólne chęci przed święte oltarze,

Aby co was kochaniem wzajemnym naznaczył,  
 Bóg swe błogosławieństwo z nieba spuścić raczył.

Widzę, iako i kapłan w serdeczne pierścionki  
 Twą rękę i twéy lubéy okował małżonki  
 Gwoli upominkowi, ilekroć spojrzycie,  
 Że wierność tylko może wspólne słodzić życie.  
 Wierność, mówię, a zgoda i umysł cierpliwy  
 Zarazem wzięte czynią los stadel szczęśliwy:  
 Samą zaś znitowane miłością ogniva  
 Wiek, choroba, traf, dosyt, nacyjściey rozrywa.

Oh iakaż liczba takich, co płochość skleila,  
 Radaby z niemilego iarzma się dobyła:  
 A gdy tego nie może, musi aż do zgonu  
 Długą bidą głupiego przyplakiwać skłonu.

Tyś nie płocho poczynał, lecz w wieku dojrzałym,  
 Kiedy już nie wstyd myśleć o pożyciu stałym;  
 Rozum ci dziewosłębil, miłość koiarzyła,  
 A życzliwych przyjaciół rada przyświadczyła.  
 Toć się możesz spodziewać, że przez to zamęcie  
 Pięknać w dom twój Teresa wniesie stałe szczęście,  
 I da poznać: że w każdéy człek fortunny zmianie,  
 Byle na swym rozumnie umiał przestać stanie.

Tak mi moje, mój Pietrze, lutni struny grały,  
 A stronom zawiślane echa podrzyźniały:  
 Byż nasi nowożeńce tak słodko spożyli,  
 Jżby im najżyczliwsi nawet zazdrościli.

## L I S T

OD PRZYJACIELA NA WSI, DO PRZYJACIELA W MIĘŚCIE

MIESZKAJĄCEGO.

(z francuzkiego.)

O! ty mych żartów i rymów wielu  
 Wiernku i sędzio, mój przyjacielu,  
 Odbierz ramotę słodkiey pamięci,  
 Którać przychylne ciśnie pieczęci.  
 Ta ci wyświadczy, że umysł wolny  
 I własnych chęci gustom powolny,  
 Dziwacką ręką, na takżej glazy,  
 Dziwnych przenosi chimer wyrazy.  
 Ni ia w zapędach swobodney dumy,  
 Pragnę wyborne kształcić rozumy:  
 Raczey rozrywki szukam dla siebie,  
 Mogęli? także rozerwę ciebie.  
 Wolnemu trosek i ciężkiey prace  
 Sziele makowe sen materace:  
 A tak opodał światowey sceny,  
 Gdzie drą się śmiechem i ięczą treny,  
 Widzę iak wartkim nieszczęścia kołem,  
 Trapią człowieka darmym mozołem.  
 Spokojny w swoich kątów uchylu,  
 Nie będąc wielkim panom na hylu,



Ani się brząc z motłochem gminnym,  
Żyję sposobem całę niewinnym.

Tu mię nauki różnych gatunków,  
Od próżnowania bronią frasunków,  
Pracę zaś, zwyczaj z chwilą ulotną  
Pomalu mienią w roskosz istotną.

Tu sobie uakształt syna natury,  
Różnego iednak od Epikury.

Złym niepośepne humorem czoło  
Na wszystkie rzeczy stawię wesolo.

Uczucia wnętrzne wziąwszy za wspory  
Przezieram okiem dościgle twory,

I widzę, iako pełnego błędów  
Z ślepych namiętność głupia zapędów.

Chwyta się tego narokiem składu,  
Wktórym ni prawa, ni znajdziesz ładu.

Tu iak syn myśli wypogodzonych,  
Nie czuję niczym bark obciążonych,

I w zapomnienia szczęśliwéy doli  
Rad z ocalenia swéy iestem woli.

Nie znam tych głupców, których pomalu  
Ślepa fortuna dobywszy z kalu

Prostego gminu, wysoko sadi;  
A oni tylko z przemiany radzi

Cheą, aby przed ich złotym galonem  
Každy wybiiał niskim ukłonem.

O! próżni ludzie, ano z pod złota

Świeżego plamy widziemy błota!

Darmo nie ięźcie płochęj czupryny,

Bo z tęg iesteście, co i my gliny.

Ani widziałem, iako tu żyję,

Śmieszno-wyniosłęg celników szyie,

Tych to drapaczów, co z ludzkieg biady

We krwi warzone czynią biesiady,

A ilekolwiek złoto zgartają,

Tyle nas razy z skór odzieraia.

Bóg mnie też strzeże pustych świstachów,

Płochych mołoców i próżnych gachów,

Co cale życie, albo w piwnice,

Albo przy miętkieg trawia podwice.

Noszą po kilka kalendarzyków,

Prawia na pamięć ziem urzędników;

Wiadomo dobrze gdzie *Wielopole*,

Gdzie iaki zamtuz na *Krzywymhole*,

Gdzie węgrzyn stary, gdzie miodek słodki,

Gdzie piwa dobre, gdzie dobre wódki.

Którymby trzeba mlynkować kątem,

Chcąc się wybiegać przed czuynym rątem:

Albo iężorem tną za okopy,

I wysłedziaią zaięcze tropy,

Puszczaią charty, szczuią, strzelaią,

W tym na burego wilka wpadaia:

Rwie go chart *morąg*.. on zębem kłapie....

Aż też zakończą łów na harapie.

Bogdaybyż raczěj tacy mózgowce

W odludnėj puszczy uszli manowce ,

Niżli o łowach w tenczas prawili ,

Gdy się potrzebną człek karmią sili.

Niema tu mieysca fircyk oszczerca ,

Co chcąc obrazić ściska od serca ,

Lub zdrowia życząc , zamyśla skrycie ,

Jakby mi kiedy mógł odjąć życie.

Chodzi w zadumach niby uczony ,

Chociaż Tersyty bratek rodzony ;

Nuci wytartěj włoszczyzny trele

Których zapomniał dziad przy kościele :

Albo zachwycon (pewnie kornety)

Umyśnie pada na taborety :

Z nót się uśmiecha , w takt słowa mierzy ,

Nad gatunkami mody się szerzy ;

Przecież choć bayki swe kompasuie ,

I zdrowy rozum i sluch krzyżuie.

Niema tu i tych przykrych mizgusiek

Młodych o siwym włosie Jagusiek.

Co milonową dóbr swych oprawą

Pragnąc przymilić cerę chropawą ,

Jak tylko starym dowidzą okiem ,

Chociaż o kuli , ustrykłym krokiem

Uciekającą gonią Wenerę.

Acz Wenus co tchu zwiia banderę.

Nie znią pewnie stare kobuzy,

Jże na Troi zburzone gruzy

Nie tylko Achil nie mknie szablicy

Lecz i litosnéy razu źrzenicy.

Poszłyby raczey mile staruszki

Do doświadczoney z balsamem puszki,

Na te kaszliska nieuśmierzone,

Z któremi lecą zęby wprawione.

Niż do karminu, albo bleywasu,

Które nie młodzą starego czasu.

Poszłyby raczéz choć w odwieczerze

Rożanych wianków mówić pacierze,

Albo nabożne psalmy Dawida,

Niż pawim wrzaskiem śpiewać Kupida,

Bo gdy tak z swoim głosem się pieszczą,

I wiek sromotnie stary bezczeszczą,

I młodym iakby na dziwowisko

Jdącym, czynią śmieszne igrzysko.

O szczęśliwiącéz wiosko roskoszy,

Zkąd mię do miasta nikt nie wypłoszy,

Gdziem swą zupełnie wolność ocalił,

Ani występkiem żadnym nie skalił;

Przymiy wdzięczności usiłowania,

Do których czulość umysł nakłania,

Ach czyliż nie w tym swobodnie kątku ,  
Uzywam zdrowych uwag rozsądku ?  
Tu, ieszcze nigdy potwarca złoty,  
Swym blaskiem nędznę nie ómił prostoty ,  
Ni okazałość wielkich natrętów  
Zwykłych za sobą ciągnęła wstretów.  
Tu każdy bogacz , bo swoje chuci  
Na słusznę wodzy rozumem kroci.  
Tu nikt nie widział dymów nawały  
Z ofiar fortunie danych niestały.  
O rzeczach sędziem podług tych zdania ,  
Do których świat się powagi skłania ,  
I to niepierwéy , aż pełne dzbanki ,  
I spore staną na stole szklanki.

Tu ledw zbierając na snów bark szary  
Nieprawne kłamstwa i zwodne mary  
Ciemna noc w krepę z głową zawitą  
Uszła pojazdą gwiazdami litą ;  
Ledwo z wierzchołku rosły buczyny  
Ranniejszy ptaszek od swéy drażyny  
Wdzięcznym szczebiotem słoneczka wzywa ,  
I skarży , prędko że nie przybywa :  
Stróżéy dopatlszy Egle maczugi ,  
Wypędza owce na zyzne smugi.  
W prostéy odzieży dosyc wspaniała ,  
Bo ją natura sama przybrała

Miasto szafiru w fiolek polny.

Jdzie; a za nią Zefir swawolny

Lekkim powiewem splecone w kosy

Miece na śnieżny kark czarne włosy.

Wierny małżonek ieszcze w pościeli

Widzi, iak tylko dzień się za bieli,

Milutkie usta niepłochéy żony,

Których szkarłatem był zwyciężony.

Przetarte światłem iutrzenki oczy

Skoro otworzy, pierwszy wzrok toczy

Na ulubioną życia połowę,

Znaydując coraz to roszkosz nowę.

Ocuca z wolna... ona senliwa...

Więc całowaniem iéy się sprzeciwa.

I skrzętny rolnik pelen ochoty,

Co się do nowéy ma wziąć roboty

Nuci wprzęgaiąc woły uczone

Pieśni, kochanki swéy ulubione.

Darmo na Layka miętkie piernaty

Kłęczystych maków sen rzuca kwiaty,

Bo w towarzystwie swéy przyjaciółki

Dawno się wybrał na gór wierzchołki.

Macha z obu-rącz motyką krzywą,

Aby użyznił mać uporczywą,

Filis buynego latorośl wina

Do bliskich drzewek łykami spina;

A tak złączoną pracą oboie,  
Choć ich zlewaią nieskape znoie,  
Czynią starunek i wraz nadzieie,  
Że gdy skarb letni iagód dośpieie,  
Obsiedziem stoły, a pełne kwarty  
Zwabią chichotki i mile żarty.  
O! ty serc zgodnych przykładem stadło!  
Zapewneć nigdy na myśl nie wpadło,  
Że kto z tym sokiem nad to się zbraci,  
Daymy najmędrszy, rozum utraci.  
Już płodne światło (którego darem  
W pierwszym nieładzie, ciężkim poswarem  
Różne istności uięte w krygi  
Przeszły w żywota stan na wyścigi.)  
Posród krzywego staie bieżenia.  
Już wóz z szczerego dęty płomienia  
Którym się wozi, na wprost pulkręża,  
Gorętsze coraz ognie wypręża.  
Przypomniy Filis, że roczne dzicie  
W gibkiem złożeniu ściska powicie.  
Ab! widzę, a no miłość prawoziwa  
Tam się unosi gdzie pierwéy wzywa.  
Już ściskasz zakład miłości drogi!  
Którym was święte daruią bogi.  
W nim obraz męża całujesz swego  
Z tą uprzejmością ulubionego;

Przypatrz się Lika, twoje to lice  
 Twoje są usta, twoje źrenice;  
 Jego przychylna wdzięcznością ręka,  
 Wesprzeć, gdyć zimna starość ponęka,  
 I choć żywiąca krew z żył uciecze,  
 W długi czas martweć życie przewlecze.  
 Matko! twoja cię ściska pociecha,  
 Ty mu coś mówisz, on się uśmiecha,  
 A drobną rączką głaszcząc pierś mleczną,  
 Chce okazywać miłość serdeczną,  
 Niechcie cię więc przymie radość obfita,  
 Boś w swoim stanie szczęśna kobita,  
 A ty małżeńskiey kwiateczku zgody  
 Jeśli dostoisz czasu iagody,  
 Szanuy rodziców, bo ich opieką  
 Będiesz pocziwym, bywszy człowiekiem.  
 Niech wszystkie życia twoiego nitki  
 Na złote wdzięczność osnuie witki.

W starego więzu bez światłym cieniu  
 Układł się zimny zdrój przy korzeniu.  
 Łoże mu sciele kwiat zapaszysty,  
 Zkąd się wylewa wód strumień czysty;  
 Tam młody Atys napasłe trzody  
 Zgania dla chłodu i sytnéy wody.  
 Wiernik mych trosków (mówi) Zefiry  
 Wiecie że smutek trapi mnie szczyry,



Do Celimenyż lećcie co prędy  
By uczyniła méy koniec nędzy.  
Ale przestrzegam zdala téy dziczki,  
Bobyście byli współzałotniczki.  
Lećcie, i mówcie » że Atys wzdycha,  
» Że przyrodzenie bez niéy usycha;  
» Niebo pogodne straci lazury,  
» Grożąc piorunem z rudawéy chmury;  
» Jż Flora słoie pozatykała,  
» Z których balsamem łąki zraszała,  
» Mieszkańce gajów śpiewacze ptaki  
» Gdzieś uleciały w cierniste krzaki;  
» Że śmiechy sobie ścisnęły gęby  
» A echo słowa cedzi przez zęby:  
Lecz co ia widzę! pod tym kasztankiem  
Ona się pieści z młodym barankiem.  
On iest serc naszych zakład życzliwy.  
Zefiry? iakżem teraz szczęśliwy!  
Powietrze lekkie oblok przeciera,  
I wszystko w nowy kształt się przybiera.  
Ah! ah! nie lećcie; iuż moje skwierki  
Doszły kochanéy uszów Pasterki.  
O to i za nią chłopię saydaczne  
Hasaiąc wiedzie orszaki znaczne  
Miętkich roskoszy; taka świadoba  
Smutnemu sercu ulżenia doba.

Już Febus złote wściąga promyki  
 I zmordowane nagle woźniki  
 By w oceanśkie przepadłszy tonie  
 Na wdzięcznój Tetys spoczywał łonie.  
 Porzuca zatym lowcze turnieie  
 I ulubione Elidy knieie  
 Siostra Dyana, a w górne szlaki  
 Jskrawych zerek wiedzie orszaki;  
 Już iéy bladowe światełko z yzne  
 Srebrzy bezmierną morza płaszczyznę;  
 Już z spotniałego gorącym świata  
 Mokrych hałastra dymów wylata,  
 Cieszy się Flora, że uschłe dziatki  
 Zwilżone rosą ożywia kwiatki.

Czas Celimeno z Atysem sfornym  
 Póść się przywitać z chłodem wieczornym  
 Patrz; a no ten palm na rodnój bloni  
 Za waszym przyściem sam się nakłoni,  
 Aby was ukrył przy czystym zdrōiu,  
 Gdzie macie siedzieć w miłym pokoju.  
 Jdą, a pozad żak gołobiodry  
 Sypiąc z koszyka fiołek modry  
 Plochym domysłem łotrzyk się śmieie,  
 Ze ich ognistym ciosem zagrzeie.  
 Nie kasz się bożku, takie roboty  
 Uc' odzą odal surowej cnoty;

Ta zaś niewinnych pastuszków para,  
Ponieważ affekt gruntuie wiara,  
Jch charaktery nakreśla cnota;  
A że ich gruntem sama prostota,  
Skromność więc życia iest ich prawidłem  
A naturalność wabiącym sidłem.  
Toć te uczucia, bez kalnych mętów  
Są od twéy żagwi dalekie swętów.  
Czas ie pomnaża w stopniach żywości:  
Rozum zaś gasząc zapal miłości,  
Tak ią z przyiaźnią misternie godzi,  
Że się z nich szczerą uprzejmość rodzi.

Czyli więc słońce w górę się krąży,  
Czy na spoczynek noclegu dąży,  
Mila swoboda iest zawsze z nami,  
Ni się starzeiem umartwieniami,  
W tym to zakącie wolno myślemy,  
Wolno mówimy, wolno czyniemy;  
I trudne prace i pokóy luby  
Z naznaczoney się nie wyprze kluby,  
Albowiem rozum pan chucio-władcy  
Pochwala cnoty, a karczi wady.  
Nikt tu nie doznał iak bywa nudny  
Przyiaciel worka, lub wróg obludny,  
Nie mamy sworu o głupie prymy,  
Bo na wsi wszyscy są pobratymy.

Prawda, uczciwość, dobre zwyczaje  
Za najgroźniejsze warunki staie,  
U przystoyności iakieyś balwana  
Niewolniczego nie gniem kolana:  
Szczęście hetmani, pod iego znakiem  
Každy fortunnym chce bydź zoldakiem.  
Zbytńia surowość i głupie fochy  
Te równie z światem wylęgle kmochy,  
Co przelatując wzdluż i wszierz ziemię  
Troją śmiertelnie człowiecze plemię  
Na ieden nawet momencik czasu,  
Nie wyiednaią u nas popasu.

O ukochany ty ieden z wiela  
Dla zopolnego przybądź wesela;  
Rozbrać się na czas z miastem ogromnym  
Co tylko mile iest nieprzytomnym,  
I przyiedź na wieś: gdzie to czytaniem,  
To przechadzkami to zwierząt szczwaniem  
Czas oszukamy, a potym troski  
Podług zwyczaiu kochanęy wioski  
Uspiemy winem; ia za męy Hanny  
A ty za zdrowie swęy Maryanny,

---

## PODCHLEBSTWO.

ODA KRÓLA PRUSKIEGO

*(z Francuskiego.)*

Jakiż duch pomsty? iakież bostwo z góry  
Lub iaki zapal myśl moję porywa?  
Przystap tu Muzo! nawiąźmy bandury;  
Niech się po złotych wdziek strunach ozywa.  
A ty, Aleydo, użycz mi prawideł,  
Ktoremi niegdyś waząc mierne barki,  
Ziemieś z okropnych oczyścił straszyleł;  
I siedmio lbistey stracił Hidirze karki;  
Gdyż ia na srozsze nizeli ty wprzody,  
Mam z sluszną pomstą nastąpić porody. (1)  
Nie tak gniewnego szturm morza ogromny,  
Gdy tlukąc kruchą lódź o twarde haki,  
Smutne ofiary zguby tuż przytomney  
Roznosi maytkow na wilgotne szlaki;  
Nie tak powietrze przez morowe iady  
Drąc się z oddechem gdy trzewa przecieka,  
Okropną czyni stypę śmierci bladey;  
Nie iest tak mowię, straszne dla człowieka,  
Jako podchlebcy, ci płatni morderce,  
Co wielkie truią bohaterow serce,

---

(1) Dziwotwory, albo monstra.

Ah! tą to niegdyś brzemienny poczwara,  
 Gdy lewym złożył płód *Interess* bokiem,  
 Wziął w mamki *Sztukę* tę szalbierkę starą,  
 Która go cnoty odziała szlafrokiem,  
 I pod tym płaszczem farbowney przyludy  
 Z złotym węzłowiem i z tronami spięta  
 Sypie swe wonie w kadzidlarz obludny,  
 Któremi mami Króie i Xiążęta;  
 Ni z iéy pacholstwa podłość się wyklunie,  
 Gdyż swym ią grzeczność pokostem malunie.  
 Tak więc pod miętką wąż trawą ukryty,  
 Szrubując kręgi w szalbierkie przeguby,  
 Kryje przed Afrem łeb swoy iadowity,  
 Aby z nienacka przyspieszył mu zguby,  
 Sunie się zbóyca nie znacznemi z wroty,  
 Bspieczzen o się i napięte siatki;  
 Gęstwa mu staie za warowne płoty,  
 A za przynętę wonney łąki kwiatki.  
 Tak i te ognie (1) błyszcząc po manowcach  
 Rodzą błąd kłamem w wiarliwych wędrowcach!

---

(1) „*Ignes fatui*,” ognie niestałe, naywięcy się pokazują wieczorami po miejscach tłustych iako to cmentarzach, i rudach mineralnych, ich ogień nie ma istoty prawdziwego ognia, bo tylko świeci, ale nie pali. Z tych to ogniów pospolstwo w pada w przesąd, iakoby się zakopane pieniądze przesuszały.

Każdy podchlebca, wartogłow obrzydły  
W piękną wymowę wdzięczne kładąc słówka,  
Sztucznemi kłamstwo zwiaa motowidły  
By mu tym snadniey uszła samolowka.  
Pysk zaś szalbierstwem samym nadziewany  
Ukrywa płytką w ięzorze szablicę,  
Która bez gwałtu słodkie daie rany,  
Wszech rzeczy istność zwiaiając na nice,  
Właśnie iak owe baieczne Syreny,  
Co gubią maytkow pieskliwemi treny.

Przebog! co widzę? wszędzie postać nowa.  
Z wspaniałych cedrow licha trzcina zrosła,  
Z pysznego orla wylatuje sowa,  
Słoń się urodził z leniwego osła.  
Mewi podstraia Wirgilego lutni,  
Tersyt rumakiem Achilesa toczy,  
Zgła gdzie stąpisz, pelno balamutni.  
Króle otworzcie na podchlebstwo oczy!  
Ta to potwora przez zmyślane brydnie,  
Występki w cnoty zamienia bezwstydnie,  
Ah! wieleż razy iey podłość bez miary,  
Chyląc tyranom kark razem z bydlęty,  
Kurzyła pod nos przedayne ofiary,  
I dank oddała cnót, zbrodniom namięty?  
Nieieden kufer dla złotych ielitów,  
Nie iedna zdrada, szczęsny czyn lub podły

Takich za sobą miały cenobitow,  
Co im nabożne przysyłali modły!  
Ah Katylna, i Kartusz na tronie,  
Czyżby nie mieli podchlebniczey wonie?  
Skoro się wiiąc krew w żyłach koleią,  
Jdzie na węgiel spalona maligna,  
Skoro serdeczne sprężyny pomdleią,  
Oraz żywiące gdy duchy ostygną,  
Kiedy iuż dusza zmysłami nie włada,  
A swe szaleństwo wyprawia dziwaki,  
Niech stu podchlebców w stu ięzykach gada,  
Że to są zdrowia nie wątlego znaki;  
Nigdy ich ięzor nie będzie tak dzielny,  
Abym nie poznał, że iestem śmiertelny.  
Ani w swych sztuki podchlebcow szalbierskie  
Ukryć pokostach nasze mogą wady,  
O wszem częstokroć czyny bohaterskie  
Zbytkiem czernieią kłamliwey przysady;  
I czy kto pyszne daie mi przyznanie,  
Czy potwarz miece wrozjatrzoney dumie,  
Zawsze w rzetelnym zostać muszę stanie,  
W zdrowiu, w chorobie, głupstwie lub rozamie,  
Przeto, nie z pochwał, nie z cudzey nagany,  
Lecz człek o sobie z sobą przekonany.  
Jleż to Królów, na których zagony  
Ziemia się z zawias wyruszyła strachem, ]



Mimo swą wielkość w szyszaku Bellony  
Zmiękkli woń podłych podchlebcow zapachem?  
Ah! wszystkie iście ich sławy usiłki,  
Ktoréy pamiętnik chcą przesłać czasowi,  
Wielkiéy bywają przyczyną omyłki;  
Świat ich złorzeczy często imienowi:  
I Alexander kończy bohatera,  
Skoro sy oycem Jowisza przybiera.

Unieścież ciężkiéy letargiem powieki,  
Pół bogi świata, chlubnéy sławy ieńce,  
I wańcie w krygę swych błędow poprzeki,  
Co świetne brudną rdzą plugawią wieńce;  
Patrzcie się na te kłamliwe baiory,  
Po których własna na przegniléy krypie  
Wykręca miłość, w tym łódź idzie w wiory,  
A ona na dnie śmierć niechętną chlypie.  
Niech stałość na te niepatrzy zwierciadła,  
W których kłam stawia podchlebne widziadła.

O! niepoięty udziale istoty,  
Świętego brzemia nieśmiertelny płodzie.  
Kiedyż rzuciwszy iasne kołowroty  
Staniesz tu, prawdo, na niskiéy zagrodzie?  
Wszak w tobie światło czyste ognie nieci;  
Toć słuszna, aby od twoiéy pozogi  
Ludzki się rozum z tey oczyszczał śmieci,  
Co nań przez swoje pycha szyla wrogi,

W kształt jutrzni, który przed rożanym biczem  
 Ucieka z brudnym ćma czarna obliczem.  
 Ramiona Królow, zastępów sprężyny,  
 Szczęścia narodow, i upadku źródła,  
 O ministrowie! ieśli wasze czyny  
 Słuszność kieruie, nie intryga podła,  
 Jeśli surowość gromiącego czoła  
 Prawdę w brew mówiąc, pochlebstwem nie ludzi;  
 Warci zaprawdę iesteście kościoła,  
 Który dla wielkich wdzięczność stawia ludzi!  
 Wy zaś podchlebce gwintowego pyska,  
 Idźcie odemnie w dalekie siedliska.

---

 P A S T E R K I

(z *francuzkiego.*)

## P A S T E R K A I.

Gdy capia trzodka w łozach się gziła,  
 A Basia siadłszy w cieniu przy skale,  
 Wartkim wrzecionkiem włókno kręciła;  
 Miłosz iey swoje tak nucił żale;  
 Pasterko moia, moje kochanie,  
 Kiedyż usłyszysz Milka wzdychanie,  
 Jle kroć na mey gaydzie chrypliwy  
 Żal twoię srogość tchem ciężkim dmucha,  
 Wiater nie szumi nawet życzliwy,

Ty po staremu czemuś iest głucha?  
Pasterko moia, moje kochanie,  
Kiedyż usłyszysz Miłka wzdychanie.

Wtenczas gdy za wieś pastuszków koło  
Przy podmiesięcznym wyszło kagańcu,  
Jam ci dał rękę, tyś zwlokła czoło,  
I nie raczyła sunąć do tańcu.  
Pasterko moia, moje kochanie,  
Kiedyż usłyszysz Miłka wzdychanie.

Jeśli mój mucyk dryndaiąc chwostem,  
Łasus ku tobie szczyrzy ząbkami,  
Ty go maczugi przywitasz chłostem,  
Albo zjadłemi poszczwasz kundlami;  
Pasterko moia, moje kochanie,  
Kiedyż usłyszysz Miłka wzdychanie.

Kiedy ia smutny tu szlocham w lesie,  
Zefirek Miłka lituiąc męki,  
Spieszno odzowem me troski niesie,  
A te żalobne wydaią stęki:  
Pasterko moia, moje kochanie,  
Kiedyż usłyszysz Miłka wzdychanie.

I ten strumyczek z łez mych nabrzmiały,  
Co pierwéy stroił gzy z piaskiem złotem;  
Teraz cichuhno płynie zdumiały  
Tknięty nie lada moim kłopotem.

Pasterko moja, moje kochanie,  
Kiedyż usłyszysz Milka wzdychanie.

A toż nie weźmie słusznę nadgrody,  
Ze dziś moy pasąc skot u pasieki,  
Bieglem za wilkiem rzuciwszy trzody,  
Bym mu twe koźlę wyrwał z paszczeki?  
Pasterko moja, moje kochanie,  
Kiedyż usłyszysz Milka wzdychanie,

Więc ta przysługa w oczach twych mała,  
I toż ci serca kutego z stali  
Nie zmięczy, Basiu zapamiętała?  
Przebog! proszę cię niech nie schnę dalij.  
Pasterko moja, moje kochanie,  
Czas ci usłyszyc Milka wzdychanie.

Takiemi słowy pastuszek stały  
Swoięy miłości nucił przeszkody,  
Jżby i z twardęy wykute skały  
Serce, musiały przywieść do zgody.  
Prędzēy czy późniēy, w koniecznēy dani,  
Trzeba hold oddać Cypryyskiēy pani.

I Basia na ten glos zażalony  
Uczuła zaraz iakieś wzruszenie;  
Kupid w iēy sercu belcik zażgniony  
Kładąc, rozniecił słodkie płomienie.  
Prędzēy czy późniēy, w koniecznēy dani,  
Trzeba hold oddać Cypryyskiej pani.

Prawda, że chciała swoją kształtownie  
 Miłość osłonić przed jego okiem,  
 Ale westchnienia drąc się gwałtownie  
 Nagłym przez śnieżną pierś uszły skokiem.  
 Prędzėj czy późniėj w konieczný dani  
 Trzeba hold oddać Cypryiskiej pani.

Piękne pasterki, co w miarę kraszy  
 Większą pastuszkom trudność czynicie,  
 Wiedźcie, że przyjdą i na was czasy,  
 Kiedy miłości prawo spełnicie.

Prędzėj czy późniėj w konieczný dani,  
 Trzeba hold oddać Cypryiskiej pani,

Skoro pieśczoney synek macierze,  
 Płytką żgnie strzałką z krzywego łuka,  
 Próżno się ranny do kłamu bierze:  
 Żadna miłości nie kryje sztuka.

Prędzėj czy późniėj w konieczney dani  
 Trzeba hold oddać Cypryiskiej pani.

A wy pastuszki, wiedźcie, że skoro  
 Miłość wam trudni daru pieśczoney,  
 Potrzeba zawsze smutną pokorą  
 Swoje przekładać Nimfom zaloty.

Prędzėj czy późniėj w konieczný dani  
 Trzeba hold oddać Cypryiskiej pani.

#### P A S T E R K A II.

Siadłszy w lipowym raz Symich cieniu,  
 By od pożogi schronił się letniój;

Ledwie co żywy w tesznym zdumieniu

Żałośnie nucił na smutnéy fletni:

Cóż z moią Hanką zrówna w urodzie?

Któraż ma nad nią pięknieysze wdzięki?

Wenus z postawy, Wenus po chodzie:

Ah! iście dzieło Pafiyskiej ręki:

Niech kto chce umysł wdaiąc w rosterki

Miłość swą stroi czasu ulotem.

Ja się nie zmienię dla méy pasterki,

Bom serce uiał zadzierżgiem zlotém,

Cóż z moią Hanką zrówna w urodzie,

Któraż ma nad nią pięknieysze wdzięki?

Wenus z postawy, Wenus po chodzie ;

Ah! iście dzieło Pafiyskiéy ręki.

Pod iéy nie groźnym berłem szczęśliwy

Naymnieysze z prawem wraz czcząc skinienia;

Czy się z kózkami wlokę na niwy,

Czy wstecz powracam dla upocznienia:

Nucę: »Co z Hanką zrówna w urodzie,

Któraż ma nad nią pięknieysze wdzięki?

Wenus z postawy Wenus po chodzie,

Ah! iście dzieło Pafiyskiéy ręki!

Wy co w tym gaju, mile słowiki,

Przepieruiecie niezmordowanie,

Łączcie z mą fletnią, wdzięczne treliki

I wielozgodne czyńcie śpiewanie.

Cóż z moją Hanką zrówna w urodzie?  
 Któraż ma nad nią piękniejsze wdzięki?  
 Wenus z postawy, Wenus po chodzie.  
 Ah! iście dzieło Pafiyskiéy ręki!

Chociaż natura wasze pobrzeża,  
 Strużki! kwiecistym pęzlem odnawia;  
 Wzdy wam ta nie iest miła odzieża,  
 Bo wasz ściek co raz szpecąc pomawia:  
 Cóż z moją Hanką zrówna w urodzie,  
 Któraż ma nad nią piękniejsze wdzięki?  
 Wenus z postawy, Wenus po chodzie,  
 Ah! iście dzieło Pafiyskiéy ręki.

Darme są wasze śmieszki zalotne,  
 Choć no co z pieluch wywite róże!  
 Mówiły niegdyś Zefirki lotne,  
 Wonne po łąkach czyniąc podróże.  
 Cóż z naszą Hanką zrówna w urodzie,  
 Któraż ma nad nią piękniejsze wdzięki?  
 Wenus z postawy, Wenus po chodzie.  
 Ah! iście dzieło Pafiyskiéy ręki!

Niechże iéy imie brzmi w téy dąbrowie,  
 W nayodleglejsze miejsca i czasy;  
 Niechay się echo coraz odzowie,  
 A odzow w dalsze podaie lasy:  
 Cóż z moją Hanką zrówna w urodzie?  
 Któraż ma nad nią piękniejsze wdzięki?

Wenus z postawy, Wenus po chodzie.  
Ah! iście dzieło Pafyjskiéy ręki!

P A S T E R K A III.

Wten czas, gdy z miętkiéy dzionek pościeli  
Wstaie, gdy łąki stroią się w kwiecie;  
Błędny nad brzegiem Wiślnych topieli  
Zdało się chodzić moiéy Hanecie.

Pelno tu wszędzie ćmy różnopióréy.  
Słowik po gaju latając płacze,  
Gil się zaiąka, a wróbel bury  
Za lepszym kąskiem po drzewie skacze.

Z równą swobodą do Gnidu zbiegli,  
Dway Amorkowie także buiali;  
Lecz skoro moię dziewczkę postrzegli,  
Usiadłszy razem, do niéy wzdychali.

W tym też Haneczka na wonnéy błoni  
Ułże ciałkiem; ptastwo ucicha,  
Sen wzrok zasklepia, Zefirek dzwoni,  
Kupid z Amorkiem nad nią usycha!

I tym wzdychaniem głupie chłopięta  
Zbudziwszy panią, uciekli w krzaki;  
Ona się porwie, przetrze oczęta,  
Patrzy już Tytan wprzął swe człapaki.

Pochwyci rąbek, rąbek pierś zdradza,  
Zaplata warkocz, warkocz się chwieie;



Bierze podwikę, wiatr ią podsadza,  
Jdzie po łące, łąka się śmiecie.

Buia włos złoty gdzie go wiatr schwyci,  
Febus przed wstydem kryie się w chmurze;  
Lecz moja Hanka wszystkiemu świci,  
Hanka iest słońcem całej naturze.

Ona gdzie lubie powiedzie oczy,  
Ziemia szczęśliwsze wydaie płody;  
Na mieyscu glogu gwoździł wyskoczy,  
Słodkie z piolunów sączą się miody.

Już teraz o cię nie dbamy, Febie,  
Choway się iak chcesz z promieńmi swemi:  
Ty sobie harcuy po złotym niebie,  
Nam Hanka będzie świecić na ziemi.

---

## P I E Ś Ń

z HORACYUSZA XIĘGI IV., DO WENERY.

Intermissa Venus diu etc.

Jużeś to z śniedzi ocierając zbroie,  
I rdzą zbutwiale ostrząc szefeliny,  
Po długiéy zgodzie znów na nowe boie  
Rwiesz się do płytkiéy, Wenus, rohatyny?

Ah! daruy proszę, iuż to nie ten ze mnie,  
Jak byłem niegdys w zalotach Cynery;

Wtenczas się młodość świeciła przyjemnie,  
Wdzięczne po licu rozpalając cery.

Dzisiaj gdy o mnie pięćdziesiąt czas razy,  
Stare otrącił polatując skrzydło;  
Serce się w twarde przerodziło glazy,  
I z pierwszych ogniów żarzywa ostydło.

Więc ieśli pragniesz swęy dogodzić zrzędzie,  
Idź, tam chłopięta gdzie wzywaią młode;  
Trąc złotym leycem po karczkach labędzie,  
Niech na Maxyma zatoczą gospodę.

On ze krwi Fabich starożytnéy plynie,  
W piękność, wymowę i rozum bogaty;  
Pewnie twój sztandar daleko rozwinie,  
I dzieł pieszczonych założy warsztaty.

A ieśli nad swym przód weźmie współnikiem,  
Co mu bogactwy przekrada dziewicę,  
Z marmuruć posąg wystawi pewnikiem,  
I przy Albańskich ieżiorach kaplicę.

Tam drogich woni zapasne oddechy,  
Gdy się gorącem spocą w kadzidlarzu,  
Wdzięcznie oblecą twych kościolów strzechy  
I po długim się rozbiegną cmentarzu.

Tam ci odmówią rym sztuką wiązany,  
Przy siedmiolutniéy odgłosie fuiary,  
I w złotonute zabręczą organy,  
I złotoiękie pokłóćą cytary.

Tam na cześć twoję przykładem Salików,  
Podwakroć na dzień niezrosłe otroczi  
Mkną się do plesów i trafnych taników  
Wziąwszy za rączki równo-late skoczki.

Lecz mnie którego wiek w swe ujął nity  
Ani się chłopca, ani białki nie chce.  
Ani z lubistku wieniec przyzwoity  
Ani rumiany Bachus krużem zlechce.

Lecz ach! co mówię starzec opętany?  
Ach! czegoż w słonym wzrok mój ługu pocę?  
Czem gnuśną flegmą ięzyk sznurowany  
Tłucze się w gębie, nim co zabalkocze?

Ah! tyś to moiéy iest przyczyną biedy,  
Ty iesteś na mnie ciężki Ligurynie,  
Ni się iéy pozbyć mam nadzieję kiedy,  
Trudno krok cofnąć, gdy błąd nogę zwinie.

Czasem i we śnie mara mi się stawia,  
Jakbyś na moich przewalał się ręku;  
Czasem za tobą myśl Tyber przepławia,  
Lub się w gonitwach twego trzymam lęku.

---

## R A D Y

M Ł O D E Y D O R O T C E D A N E.

*(z francuzkiego.)*

Już rok dwunasty masz, Dorotko młoda,  
A twoja ieszcze próżnuie uroda.

Już płochym skrzydłem polatuiąc, z dała  
Miłość, tym żarem twą krasę zapala;  
Który przynęca, zażega i drażni.

Przypatrz się, ano ci mołoyce raźni  
Przestrzeniąc placów zawodowych szranki,  
Chcą widziéc młodéy gon wdzięków kochanki.

Ale ponieważ z wrodzonéy prostoty,  
Nie wiesz Kupida iakie są obroty,  
Posłuchay pilnie, iać pierwsze poięcia  
Sercoprzeyeogo okryślę chłopięcia.  
A nayprzód co się pięknych oczu tycze,  
Wiedz, że to główne są wady dziewicze,  
Nigdy więc nie miéy (iakes dotąd miała)  
Zwyczaiu, byś ie ku ziemi spuszczała.

Nie ktemu oczy wzięliśmy z natury  
By ie powieką srom tłoczył ponury.  
Stary jurysta chcąc napaść wzrok chciwy,  
Z losiéy kieszeni sięga perspektywy;

Patrzy zyz ślepy, ciebie wstyd oblata;  
Dorotko, czyż masz dopiero trzy lata?  
Skoro z osmego panna roku schodzi,  
Wstydnym żarzywem płonąć nie uchodzi.  
Tych ślepowidzów nigdy nie unikay,  
I owszem do nich coraz się przymykay,  
Umizgay buzią, gmerz koło bawetu,  
Lub zmarszczonego poprawiay mankietu;  
A tym sposobem, iakby nie umyśnie,  
Niech gładkiéy ręki śnieżne ciało błysnie.

Choćby z zazdrości dostał kto złotaczki,  
Lub zakrwawionéy nienawieścią plwaczki,  
(Wierz mi Dorotko) musi przyznać zgola,  
Że gdy się śmieiesz, dochodzisz anioła;  
Ale ten uśmiech pieluszkami trąci,  
A skromność wdzięki naturalne mąci,  
Pasz w nim chytróści, pasz wykwintów sztuki;  
Tak też się śmieią, Dorotko nieuki.  
Miléy nam patrzeć na śmiechy przysadne,  
Któreimi Nimfy śmiać się zwykły ładne,  
Nie iest to dosyć rozśmiać się po cichu,  
Ta by rzecz sama warta była śmichu;  
Lecz trzeba zaraz chychotać się z garła,  
Być też śmiertelnym grotem kolka sparła.

Powiedz mi ieszcze boś stworzenie szczere,  
 Zkąd masz, Dorotko, zawsze piękną cerę?  
 Ja ci się przyznam, że zachodzę w głowę,  
 Gdy widzę z rana lice purpurowe,  
 I myślę z strachem: w co póydam słoiczki,  
 Co kraso-rodne przywożą barwiczki!  
 Jakże? czyż mając naturalne wdzięki  
 Sztuczny w ich kształcie nie użyiesz ręki?  
 Ah! pfe Dorotko; mogłabyś w téy cerze  
 Bydź gdzie na balu, lub Włoskiéy operze?  
 Sluchayże: póki świat tak był zgłupiałym,  
 Ze czarne czarnym, a białe zwał białym,  
 Póki w uczczeniu miano obyczaie,  
 Mniéy uważaiąc na ponne zwyczaie,  
 Póty prostota, berłem władnac równym,  
 Rządzila panem i chłopkiem pracownym.  
 Sama potrzeba krom wszelkiego zbytku  
 Ukazywała rzeczy do użytku.  
 Nie trwano w tenczas o wschodnie kamienie,  
 Bo niemi zawsze gardzi przyrodzenie:  
 Nie starano się o cienkie bisiory,  
 Lub na warsztatach w różne tkane wzory,  
 Miękkie iedwabie; len, konopie z wełną  
 Były odzieżą dla ludzi zupełną.  
 W prostéy uplotce stanąwszy przy wodzie,  
 Przyglądały się dziewczki swéy urodzie,

Tkały barwinek, lub warkocz muskały,  
I tak skotarzom swym się podobały.  
Z tego niechluystwa świat już wiele tracił,  
I swą prostotę zbytiami przypłacił.  
Wieśniacką splotkę zmieniono w fryzurę  
Miasto Inów, świetną przywdziano purpurę;  
Gdzie pierw zieleniał kwiat rwany z ogrodu,  
Teraz łyską szmaragdy ze wschodu;  
Zgola iak słońce dalekie od ziemi;  
Tak my od dawnych ludzi odrodnemi.  
Trza więc, Dorotko, ulegać czasowi  
I przyiętemu podpaść zwyczajowi.  
Musisz mi dotąd choćbyś się rozsiadła  
Z gniewu, zaranek cały u zwierciadła  
Przesiedzieć; moda tak każe; dość na tem.  
Trudno z dziwacznyim iść w zapaski światem.  
Tak gdy nie zrobisz, będziesz poważana,  
To prawda, ale pod rzadkiem kochana.  
Już razy dziesięć, ieśli się nie mylę,  
Chcąc długie skrócić rozrywkami chwile,  
Byłem u ciebie i dziwem nie małem  
Zawszęc nad książką iaką zastawałem.  
Raz skoro na brzask zaięło się szary,  
Właśnie gdyś poszła na iutrznią do fary,  
Przybiegłem zagna do twoiéy komory,  
Ciekawy, iakie czytuiesz autory.

Porwę iednego: *Rym Naruszewicza*:  
 Chwyćę za drugi; dwa tomy *Myrwicza*  
 Krajopisarstwa; poznałem trzeciego  
 Zdała, kazania pono *Lachowskiego*:  
 I tylko pluiąc na tak podle gusta  
 Pomyślalem sy: O! Dorotko pusta,  
 Już ci też lepszych znać książek nie staie,  
 Ze się w te mądre utopiłaś baie.  
 Cóż tam w nich znajdziesz krom surowéy prawdy,  
 Z którą iak cygan na targ iadą zawdy,  
 Wynoszą cnoty, występ naganiaią,  
 Słowem rozumnie, lecz nie modnie baia.  
 Nie lepiejzeby czytać *Magiellonę*,  
 Lub *Hippolita* miłostki zmyślone  
 Z *Julią* swoią; albo *Banelukę*?  
 Teć to ukazą kochania się sztukę.  
 W romansach tedy zasmakuy, *Doroto*;  
 Romanse więcéy poważay nad złoto.  
 Tam nayprościeysze serce w niewinności  
 Dozna tleiących iskier namiętności.  
 Tam znajdziesz obraz łechęących roskoszy,  
 Bo cnota nigdy ich swobód nie płoszy;  
 Tam pod pokostem różno-barwych ziołek  
 Sztuka blekoty zamienia w fiołek,  
 Cnotę brudnemi zagwałdza węglami,  
 A grzech krasnemi piękrzy cynobrami.



Czczymbym odźwiękiem nadaremnie dzwonił,  
I próżne słowa po powietrzu ronił;  
Gdybym dowodził że w Europie cały  
Złote dla nauk zorza zaświtaly.

Przyświadczy lepiej tak wiele uczonych  
Pism, z pod drukarskiej prasy wyciśnionych,  
A za największe wystarczą dowody  
Jch światłem grzeczne powszechnie narody.  
Ponieważ tedy, Dorotko kochana,  
W tym wieku zrosła i iesteś schowana,  
Nim wyudziesz na świat i doznasz co umie,  
Kilkać sekretów powiem o rozumie.

Rozum więc, ieśli rzecz się z gruntu ruszy,  
Jest tą własnością myślący w nas duszy.  
Za której iasną możemy pochodnią  
Różnić od prawdy fałsz, od cnoty zbrodnią.  
Nie przeto iednak wszystkie zaraz rzeczy  
Dał nam Bóg poznać; zostawił swéy pieczy  
Nadprzyrodzone, każąc tylko wierzyć,  
Nie zaś się nad ich określeniem szerzyć,  
Śmiertelnym ludziom; z tąd pierwsze zawziętki  
Ma objawienie, a wiara początki.  
A że w przykładach nie tak są zawile  
Prawdy, podam ci ieden, dziecko miłe.  
Ten (co my życiem zowiem) bieg nie długi,  
Jest wierunkiem prawdziwym żeglugi,

Świat, jest to morze, my niby wendrowce  
Podaiem żagle na kręte manowce.  
Niewściąglę żądze można nazwać skalą,  
Na której tyłu rozbitów zostało.  
Rozum styr trzyma i kieruje w biegu,  
Aby zawinąć bezpiecznie do brzegu.  
Przecież ten sternik mogłżeby wyjść z morza,  
Gdyby mu w nocy nie świeciły zorza,  
A we dnie słońce? nie dziwaczymy marnie,  
Z góry koniecznie potrzebne latarnie!  
Lecz dokąd (rzekniesz) zmierzam mową szumną?  
O to chcę ciebie uczynić rozumną,  
Nie tak iednakże, iakom ci okryślił,  
Bom to, Dorotko, wszystko prawie zmyślił.  
Teraz gdy zechcesz bydź u świata grzeczną,  
Albo rozumną, trzeba bydź bezpieczną  
W swoich dyskursach, trzeba gubić wiarę,  
Jako zwodzącą i straszliwą marę,  
Świętych wyszydzać, piekło zalać wodą,  
Xięży nazywać fanatyczną trzodą,  
Duszę umorzyć i z ciałem zarazem  
Gdzie na cmentarzu ziemnym przysuć głazem.  
Gdyby zaś który z tych mędrców gruntownych  
Chciał cię przekonać z pism oyców duchownych,  
Zbyway ich mówiąc: u mnie grunt natura,  
Mam Patryarchę świadkiem Epikura.

W ścisłe z twą matką raz wszedłszy rozmowy<sup>v</sup>  
 Dowiedziałem się, że masz iednakowy  
 Zawsze charakter; tak też moja trusia  
 Ma humor twemu podobny Hanusia.  
 Ale upewniam na mydle wskóracie,  
 Jeżeli moich rad nie usłuchacie.  
 Chcąc się podobać, potrzeba koniecznie  
 Poczynać sobie zawsze niestatecznie;  
 Trzeba być trzpiotką, mieć myśl rozstrzeloną,  
 To nadto smutną, to wypogodzoną.  
 Raz z uprzykrzeniem słuchającym bzdurzyć,  
 Drugi raz czoło na wszystkich pochmurzyć,  
 Raz mrużąc oczka, ustawnie pochycać,  
 Drugi raz znowu bez przyczyny wzdychać.  
 Nic iednomyślność, Dorotko, nie płaci,  
 Kto się w nięć ćwiczy, na darmo czas traci.  
 Niech ci natura za wizerunk stanie,  
 Jęć cała piękność zawisła w odmianie.  
 Gdyby zaś wszystko w równy mierze stało,  
 Komuż na ziemi mieszkaćby się chciało?  
 Musielibyśmy lub dymy mglistemi,  
 Lub szczerych ogniów iskrami żartkiami,  
 Albo ustawnie zimnym dychać śrzonem:  
 Zgoła człek byłby balwanem uspciónem.  
 Niech się więc z statkiem te panie kumaią,  
 Co nad plewidłem cybuli siadaią,

Jch to iest działem rozumem się rządzić,  
A tobie zawsze dziwaczyć i błądzić.

I to nie dobrze, kochana niemeczko,  
Za nim się zbierzesz na jakie słóweczko,  
Drugaby tysiąc puściła na szrotę.  
Teraz milczenia nie mają za cnotę  
Naucz się przeto, że z piękney gębusi  
I płoche słowo za mądre uysć musi.  
Nareszcie, abym iednym słowem zamknął  
(Bom ledwie kilka rad, z tysiąca namknął)  
Skróy się, Dorotko, na model tych ptaszków,  
Którym powszechnie imię dajem gaszków.  
Usiądź na tronie ozdobnym lekkością,  
Nadmiy się prózną rozumu pięknością,  
Nie dbay o cnotę i uday się cała  
Na to, abyś się tylko podobała.

---

DO J. W. JMCI X. A. N. K. B. S.

Już dwakroć dziesięć powietrzne sfery

Siedząc w ognistey karecie,

Odwiedził Febus i swe ogiery

Z kurzawy otarł przy mecie;

Jako mnie, wielki mój Mecenasie,

Los przy czasowym stawil kompasie.

Było to Bóstwo ducha istoty  
W żaden kształt ciała nie wzięte,  
Promień go tylko otacza złoty,  
A przy nim strachy tuż święte,  
W które się zbroi, ilekroć razy  
Daie z wyroczni swoiéy rozkazy.

Trzykroć się żywsze coraz promienie  
Okolo niego nieciły,  
Trzykroć głębokie było milczenie,  
Trzykroć pioruny wybiły,  
Ogromnym do mnie niż rzekło głosem:  
Jam to iest, co wy zowiecie *Łosem*.

Naywyższa Istność, co wszystkie rzeczy  
Pod mierną biorąc cięciwę,  
Bez żadnych braków, ma w twórczéy pieczy  
To co iest dobre i krzywe,  
Z przyczyn zakrytych swym maiestatem  
Dała mi śrzednią władzę nad światem.

Moiéy ustawy skrytych wyroków  
Trudno wam badać stworzenia,  
Trudno się z ziemi piąć do obłoków,  
Gdzie wieczne są przeznaczenia;  
Same ie tylko czasy wyświecą,  
I to nie pierwéy, aż gdy ulecą.

Ani wam na to sarkać potrzeba;  
 Wasze się zdrowie w tym kładnie,  
 Gdyby albowiem odkryły nieba  
 Co kiedy komu przypadnie;  
 Jedni by rozpacz śmiercią krócili,  
 A inni życie rozwiozłe żyli.

Lepsza niepewność dla was w téj mierze,  
 Ta jest nieszczęsnym nadzieją,  
 Ta i szczęśliwych na krygę bierze,  
 Czyniąc, że w strachu się chwieją;  
 A tak dla tamtych niedolą słodzi,  
 Tych zaś od domu strachem odwodzi.

Bywają iednak pewne zdarzenia,  
 Gdy wieczne łomiąc ustawy,  
 Daię znać ludziom ich przeznaczenia,  
 I przyszłe życia zabawy.  
 Tak dziś i tobie, twóy powiem dekret:  
 Nie pytay czemu: Boski w tym sekret.

Pod człeka chyba nie byłbyś cechą  
 I iego prawem zrodzony;  
 Żebyć się wszystko śmiało uciechą  
 I wiek czyniło pieszczony;  
 Gdybyś chciał tego, byłbyś zdaleka  
 Od znaiomości natury człeka.

Przemkniy świat wszystek z całym obszarem  
Acz nie obeszły w ogromie,  
I zważ Opatrzność iakim umiarem  
Wasz w pewne kształty stan łemie;  
Tych na tron sadzi, tych mieści w krześle,  
Tych wiąże z rolą, tych ma w rzemieśle.

Tą więc różnicą wy pospolicie  
Zwykliście ważyć swobody.  
Od niey szczęśliwe lub biedne życie  
Swoie ma u was wywody:  
Ale kto głębię rozumem bada,  
Pozna, że wszędzie troska przesiada.

Wszędzie do miodu piołun się wliwa,  
I czyni słodycz mierzioną,  
Wszędzie w goryczy słodycz przebywa  
I czyni gorycz zwolnioną:  
Ta tylko różność, że tam jest złota,  
A ta w podlejszym kruszcu lichota.

Wiedz przeto o tym, że z moiej woli  
I ty wraz z ludźmi innemi.  
Musisz czas długi doznać niedoli  
Ścieszkami wiedzion błędnemi;  
A nim na lepsze mknie stanowisko,  
Będzie świat z ciebie mieć swe igrzysko.

Nie ma téy myśli, nie ma téy rady,  
Abyś z niey nie chciał korzystać!  
Wszędzie atoli znaydziesz zawady,  
I wszędzie musisz więc przystać,  
A w którekolwiek uderzysz progi,  
Znaydziesz ościste ciernie i głogi.

Zgryzoty, które nieszczęścia przędą,  
A rozpacz w czarny kłęb wieie,  
Świecką cię skryją pod rewerendą,  
Dawszy kołnierzyk na szyję,  
Ale że nie w tym masz umrzeć stanie,  
Znów po trzech latach będziesz w żupanie.

Z téy stanu zmiany, z której chcieć będziesz  
Uczynić sobie swobodę,  
W nowéy przepaści nieszczęść osiedziesz,  
I piękną stracisz pogodę;  
Będziesz się wachał różnemi duchy,  
Nie mając żadnéy z nikąd otuchy.

A iako orle porosłe w pierze,  
Gdy gniazdo rzuca rodzinne,  
Raz się w te strony ulecić bierze,  
Alic szybuie znów w inne.  
I póki drogi swéy nie urządzi,  
I sam i tam się długo nabłądzi.



Tak i ty sobie sam zostawiony  
Będziesz się nudził darcemnie,  
Będziesz się w różne obracał strony,  
Aż się upłaczesz foremnie.  
I tak dwa lata w téy będziesz matni,  
Ale to ma bydź już raz ostatni.

Filozofskiego tu piękne żniwo  
Ducha mieć będziesz i ktemu.  
Tu się nauczysz myśleć sędziwo,  
I wytrwać szczęściu krzywemu.  
Nigdy tak roskosz miło nie idzie,  
Jak po znoszonéy czas długi bidzie.

A że im człowiek mniéy ma od świata  
I szczęścia w darach płochego,  
Tym więc nad szczęście aż wylata,  
I w sobie siebie samego  
Szukając, szrodki chwytą prawdziwe,  
Które mu czynią życie szczęśliwe.

Tak i ty onych badając pilnie  
Znajdziesz w nauce Parnasu,  
Do niey się tedy udasz usilnie  
Naywięcéy trawiąc w tym czasie,  
I ztąd cię pozna rymopis sławny,  
Jakiego nigdy nie miał wiek dawny.

Jego podpadniesz; on, że jest w wielkich  
 Stopniach zaszczytu dla siebie,  
 Użyje oraz sposobów wszelkich,  
 Aby mógł wspomodz i ciebie,  
 Więc w przyzwoitszym iuż odtąd bycie  
 Znajdziesz spokojne i lepsze życie.

Pamiętaj iednak byś życie całe  
 Słodko dar iego pomieniał,  
 Abyś mu serce zachował stałe,  
 Ani się z szczęściem odmieniał;  
 A tym pokażesz, że znajdziesz ludzi,  
 Których niewdzięczność szczęsna nie ludzi.

To rzekło bóstwo, a ia me oczy  
 Pilnie w lepiwszy w zegarki,  
 Postrzegłem, że się ta chwila toczy,  
 W których ma nędza zbić karki.  
 Płasnąłem w ręce, serce mi drgnęło;  
 Wszystko iaśnieyszym licem blysnęło.

Mężu! co w sobie wszę mieszcząc chwały,  
 Naymniey o cudzych trwasz zbytki,  
 Co w tobie cnota, a ty w niéy cały,  
 Lube miewacie przybytki;  
 Znay, że to ciebie głos wytknął Boski,  
 Któryś mię z moiéy podźwignął troski.

D O

J. O. XIĄŻĘCIA JMCI ADAMA.  
C Z A R T O R Y S K I E G O

G E N E R A Ł A Z I E M P O D O L S K I C H

*Orderów Orła Białego, S. Jędrzeia i S. Stanisława Kawalera etc.*

P A N A S W E G O M I Ł O Ś C I W E G O  
*na dzień doroczny Imienin.*

O D A.

Zmienną rzeczy koleją, gdy po długiem wstręcie  
Coraz się ku nam bliżey wiek przysuwa złoty, (cie  
Gdy mądrość berlem władnąc, acz w srogiem odme-  
Przedziwnych daie światu wzór maxym i cnoty.  
Panie! tak sprawił wyrok w dyamencie ryty,  
Ze kray z ciebie ma sławę, światło i zaszczyty.

Drobnać ia wprawdzie iestem część tego ogromu,  
Gdzie świetnym bita stęplem zacność przednięj cechy,  
Wydaiąc piękny poczet wielkich mężów w domu,  
Jch sławę wznosi aże nad oyczyste strzechy;  
Prostym iest obywatel, lecz z tego powodu  
Smiało ci hold przynoszę imieniem narodu.

Precz ztąd zwrotnym podchlebstwo warowne ię-  
Co śliskie tuczac w czarney wątrobie obludy, (zorem

Tam kłamiesz, gdzie cię podły zysk kojarzy z dworem,  
 A własna miłość twemi rada szaleć cudy,  
 Nie ma tu fałsz przybytku, gdzie grunt prostey cha-  
 Dziwnym uiał przykładem pańskie maiestaty. (ty,  
 Precz ztąd wrogu przemierzły, iędzo kudło-gada,  
 Dumnéy buty i głupstwa złośliwy bękarcie,  
 Twoie to iest rzemiosło, o! zadrości blada,  
 Dobywać rdzy na wielkich dzieł ludzi zatarcie;  
 Prawdą idę, daremnie z czeluści ponuréy  
 Trziesięsz światłu przeciwna tve na łbie iaszczury.

Bo czyż przeto, że wyższym kto uniesiön szybem  
 Nad trakt gminu zwyczajny, łomiąc kresy mierne,  
 Nim zchwyci laur zwycięzki zawodniczym trybem,  
 Serc małych często cierpi zdania lekkowierne,  
 Ma przenieść płocze szepty i pokątne wrzawy  
 Nad wiecznéy w potomności upominek sławy?  
 Ah! także iuż macoszym los będzie i dzikiem  
 Na to w czym iest ludzkiego grunt szczęścia i miru,  
 By go cudzey chimery czyniąc niewolnikiem,  
 Nie własnych przeświadczenia i wnętrznego styru  
 Odebrał wszystkie śrzodki, przez które iedynie  
 W ustach późnych następców bohatyrem sływie.  
 Zaiste w tak hartowne osadziwszy kluby,  
 Rozumne mieszkainego przestworu osady,  
 Ze cnota oczewistéy nie uszłaby zguby,  
 A dank wzięły bezprawia, występki i zdrady;

Każdy uzna, kto tylko na przesąd nie chory,  
Próżen iest ciemnych błędów i ducha przekory.

Złość to iest bez wątpienia, lub skryty rynsztunek  
Własnych przywar i słabéy umysłu ciemnoty,  
Mienié, iakby rzetelny zacności szacunek,  
I zaleta prawdziwie nie przesadnéy cnoty,  
W ten czas była świetniejszą, gdy na iéy wielbienie  
Z stu kątów leci podziw, postrach i zdumienie.

Stękał iuż naród ludzki na te dziwolągi,  
Co w smutne cisnąc gruzy zgwałconą naturę,  
(Wstyd ludzkości) ozdobne zyskali posagi, (wurę,  
Przybrawszy w płaszczyk męztwa łostrowską bra-  
A co ich świat nazwiska miał zagrzebać w śniedzi,  
Sromotnie podłym kunsztem wystawił na miedzi;

Czas atoli co wszystkiem otwiera źrzenicę,  
A stare z obyczajów umiała narowy,  
Piękniejszą dzisiay sławy ukazał świątnicę:  
Ludzkość bowiem zasada i grunt téy budowy;  
Dzikie zaś gwałtów kroki i zwierzące mordy  
Uszły siać martwe plony na Tatarskie hordy.

Wartniejszy stokróć u mnie ten wiecznego losu,  
I nigdy nieprzetrwały w umysłach pamięci,  
Kto pilen łagodnego przyrodzenia głosu,  
W ścisły nit osadzaiąc rozhukane chęci,  
Zamiast brzydkich wartogłóstw Turczego dywanu  
Roztrząsa powinności człowieka krwi, stanu.

Nie może moiem zdaniem nikt się bawić godnij,  
 Jak tym, co mu wskazuje własne obowiązki,  
 Wyświeca różność cnoty, szalbierstwa i zbrodni  
 Wzajemne między ludźmi potrzeby i związki,  
 Co nakoniec dobrego kształci przyjaciela,  
 Ojca, brata, sąsiada, i obywatela.

O! gdyby kto chciał dzisiay te zwiedzać pieczary,  
 Gdzie wielkich niegdyś ludzi za żelaznym płotem  
 Bezcynne sen niepomny uwiązawszy mary, (dłotem,  
 Nie starł jeszcze nadgrobków, wdzięcznym rytych,  
 Poznałby po napisach i wyrazach dzielnych,  
 Że to im wstęp do kronik dało nieśmiertelnych.

Dało!... o! dobroczynnych istot święte zwłoki,  
 Acz duch wasz, uwielbione już osiadłszy włości,  
 Wyżej się nad śmiertelne unosząc obłoki,  
 Mniéy o te trwa zadatki wdzięcznéy potomności,  
 Wždy je przyjąć musicie, teć to charaktery,  
 Czynią, że się odradza świat nasz w bohaterzy.

Xiężę! ieślić ta skromność i wstyd piękney duszy,  
 Z którym się na pochwały stawisz nie obłudnie,  
 O głos prawdy wspaniałym gniewem nie poruszy,  
 Prawdy, mówię, co iaśniej świeci nad południe,  
 Jakież mnie ma podchlebca osądzić przechera,  
 Gdy w tobie czasów naszych uznam bohatera?

Duchby to chyba złości, albo duch uporu  
 Swéy komu w twarde serce usadził trucizny,

Żeby w **tobie** nie doyrzał cnot wysokich zbioru,  
 Któremi nieszczęśliwéy los słodząc oycyzny,  
 Przez zdolnych rad sprężyny i dzielne sposoby  
 Dźwignąć ją usiłujesz z śmiertelnéy choroby.

Daiesz o to i teraz naoczne przykłady,  
 W szacownym ośmiu mędrców umieszczony gronie,  
 Mędrców, co się gromadzą do zbawienney rady<sup>3</sup>  
 Przy troskliwym o światło swych poddanych tronie,  
 Ze cię dobro publiczne w wykształceniu młodzi,  
 Jako pierwszy narodu cel szczęścia obchodzi.

Przyświadczie téy mi prawdy, zacni Roxolance,  
 Wszak wasza młodź szczególniey budzi pańskie oko;  
 On was czułym staraniem, aż w zapadłe krańce,  
 Gdzie się rączy Niestr wartką uwiia zatoką,  
 Raczył dosiędz tym końcem, aby wasze plemię  
 Buyny w czasie plon dało na oyczystą ziemię.

Jakoż ani ci trzeba powątpiewać, Xiążę,  
 O ich wiernym szacunku i przychylnéy myśli;  
 Zacność cię twoia z niemi nierozdzielnie wiąże,  
 A wdzięczność te ogniwa złącza ieszcze ściślij;  
 O to i dziś przezemnie ślą ci na wiązanie (trwanie.  
 Sławę, miłość powszechną, wdzięczność i w niéy

P A S T E R K A  
C H L O E i L I K A S.

L I K A S.

Przystap tu, piękna Chloe, ani patrzay krzywo,  
Choć mi się włos już bieli starością sędziwą.  
Przystap tu, piękna Chloe! ieszczeć z mego czoła  
Wdzięcznie się czasem młodość uśmiechnie wesola.  
Nie ma nic wiek z miłością i my czasem starzy  
Lubiemy się przyzierać piękney wdziękom twarzy.

C H L O E.

Żartuiesz mój staruszk, tam rozum gdzie lata:  
Miłość zaś rzadko kiedy z rozumem się brata.

L I K A S.

Miłość, Chloe, jest ogień, lecz rozum nie woda;  
Milczy rozum gdzie gładka przemówi uroda.

C H L O E.

Ty tak mówisz, a Mirtyl poszepnął mi wezora,  
Ze starość do zalotów nie nad to jest skora.

L I K A S.

Nie był ci Mirtyl starym, a zatem i nie wie,  
Jakie miłość zażogi w starém nieci drzewie.

C H L O E.

Pień stary skrzypi tylko, a gdy go wiatr zmiecie,  
Ciekiem brzemiem młodziuchną latorostkę zgniecie.



L I K A S.

I rolę musi pierwéy socha ugnieść krzywa,  
Lecz za to żytko w gummie, a za nie grosz bywa.

C H L O E.

Orz zagon, iak chcesz plonny, rzadko ci urodzi,  
Na nowinach bez gnoiu tatareczka wschodzi.

L I K A S.

W iesieni owoc bywa, a na wiosnę kwiatek,  
Przy młodzikach zaloty, przy nas starych statek.

C H L O E.

Z kwiatka owoc się wiąże, z owocu nie snadnie  
Pierwotnego kwiateczek szkarlatu dopadnie.

L I K A S.

Kwiatek tylko wzrok lechce, owoc żądze koi;  
Przestań, Chloe, wydziwiać; słuchay rady moiéy.

C H L O E.

Łatwiéy rozum przekonać, niż serce gdy kocha;  
Młodam ieszcze, uydzie mi, lubom nieco płocha.

L I K A S.

Jeśli płochość nie wadzi, to statek tém bardziéy:  
Biada temu, kto starszych nad się radą gardzi.

C H L O E.

Łatwiéy radzić, niżeli dobre pełnić rady;  
Przestań Liko wydziwiać, przestań ze mną zwady.

L I K A S.

Pamiętayże dziewczyno, że twego uporu,  
Nie lada żal ci będzie, naydaley wieczoru.

C H L O E.

Żal mi będzie nie ciebie, lecz innego kogo;  
Póki wieczór nadejdzie, z poraneczkiem błogo.

L I K A S.

Żal ci pewnie Mirtyła? kwitaż więc z podarku,  
Którym ci ongi kupił w mieście na iarmarku.

C H L O E.

I tyś stary, i dar twój staręj będzie mody;  
Lepsze mi iarmarkowe kupi Mirtył młody.

L I K A S.

Ey strzeż ty się Mirtyła, takie balamuty,  
Niedorzeczne dziewczętom młodym szyją buty.

C H L O E.

Znosiłam ci już iedne, a dobrze mi było:  
Od Mirtyła i przykre będę znosić miło.

L I K A S.

Biorąc daią; to Walka zdradziło przysłowie;  
Przedał ciolka, a grosze wzięto na Grzybowie.

C H L O E.

I wąsy ogolono, boday ieszcze razem  
I płytkiem obie uszy ucięto żelazem.

L I K A S.

I z Mirtylem tak będzie, bo Mirtył niestatek:  
Często się rad przejeżdża z baranem do iatek.

C H L O E.

Mirtył przeda, i z groszem do domu powróci;  
Boday bolał, kto iego maiątkiem się smuci.

## L t k a s.

I ia tak mówię, Chloe, dość więc żartów tyła ;  
 Doświadczałem cię tylko, czy kochasz Mirtyła.  
 Chlorys to niecierpliwa, że ią żarty swemi  
 Często przed pasterkami zawstydzasz drugiemii,  
 Prosiła mnie, ażebym mógł wybadnąć czyli  
 Chloe ku Mirtyłowi serca nie przychyli.  
 Wydałaś się, bądź zdrowa, wnet milczyć nie umie,  
 Kto kocha, a kto kocha, nie iest przy rozumie.

## L U D Z K O Ś Ć.

## P A S T E R K A.

## S Y L O R E T, M I R T Y Ł.

## S Y L O R E T.

Otóż to ten iest iesion, co go w małej prątcie  
 Zaszczepił wdzięczny Dafnis wiekom ku pamiętce:  
 Patrz, iak się teraz rozrosł! iak przyjemne cienie  
 Gromadzi pod obloczne swych liści sklepienie!  
 O drzewo świętęy cechy, o godne zaiste,  
 Aby cię czas szanował na lata wieczyste;  
 Bądź pewne, że iak iesteś ludzkości zakładem,  
 Tak cię późna potomność mieć będzie przykładem.  
 Miał Dafnis liczną trzodę, mor ią zniszczył srogi;  
 Dafnis w nięj stracił wszystko, i został ubogi.

Doszła ta wieść Damona, Damon zaraz idzie,  
 I temi słowy starca, w jego cieszy bidzie:  
 Nie masz twój trzodki Dafni!... straciłeś owczarnie...  
 Tak wszystkie na tym świecie rzeczy giną marnie.  
 Czuje to moje serce, bom człowiek; a zatym  
 Chodź do mnie, bądź mi oycem, i będziesz bogatym.  
 Spoyrzał nań Dafnis; ale za długim milczeniem  
 Łzy mu się tylko z oczu dobyły strumieniem.  
 Trząsł się starzec z radości, lecz nieme wyrazy  
 Wdzięcznego serca iawne kryśliły obrazy.  
 I Damon także płakał...

## M I R T Y L.

## O droższe nad złoto

Łzy, które nad nieszczęsną mozem wylać cnotą!  
 Ah! wieleż i ia razy, luby Sylorecie!  
 Westchnąłem nad ubogim przy próżnej kalecie?  
 Lecz iak strumyk z deszczowych wód tylko nabrzmia-  
 Schnie bez źródła, i moje chęci tak niszczały. (ły  
 Gdybym ia tak, iak Damon, miał wszystkiego mnó-  
 Nikt nademnie nie byłby tkliwszy na ubóstwo. (stwo,

## S Y L O R E T.

Szczęśliwy ten prawdziwie, kto ma serce hoyne,  
 Szczęśliwy! bo przepędza dni życia spokojne.  
 Czy on we śnie spoczywa, czy sny letkie płoszy;  
 Jak się układł z radością, tak ocknie w roskoszy.  
 Poznał się na tém Damon, kiedy swego szczątku,  
 Dla ofiary ludzkości nie skąpił majątku.

Ale też na pamiątkę Dafnis w tym iesionie  
 Zabespoczył mu wieczną wdzięczność i po zgonie.  
 I to to, mój Mirtylu, to jest drzewo święte,  
 Ni przygody, ni czasu zawiścią nietknięte.  
 Patrz, iak się na nim wiosna w różne barwy mieni,  
 To wdzięcznym kwiatkiem miga, to listkiem zieleni!  
 Patrz co jest na nim ptasząt, które dusząc wszędy  
 Tu dopiero swe iastrzab powściągnął zapędy,  
 Gdyż tak chce los przychylny, aby srogie wrzawy  
 Prócz swobód żadney nigdy nie miały tu sprawy.  
 Tu nieraz wsparty bokiem na murawie stary  
 Rozpowiada Damona hoyne Alkon dary;  
 Tu matki w każde święto, zebrawszy gromadkę  
 Przyjaciół i sąsiadów, dziatki i czeladkę,  
 Mówią im ustawicznie: »przypatrzcie się dzieci,  
 »Jak ten iesion przyjemny oczom widok nieci?  
 »Jest to pamięć ludzkości, której wdzięczność winny,  
 »Oddała hołd czułości, za dar dobroczynny."

## M I R T Y L.

Wdzięczny widok zaiste! cóż gdy nasze stępy  
 Twardy bardzo grunt mają na tak piękne szczępy  
 Nie wiele ich zobaczem; na tak przykład rzadki  
 I ia też muszę kiedy swe sprowadzić dziatki,  
 Które niżli dorosną, dołożę starania,  
 Wrażać w ich serca litość, i ludzkości zdania.

---

## P A S T E R K A.

L O A S i D A F N E.

Gdy swoje gońce pomknąwszy słońce,  
Już na sam nieba wybiegło środek,  
Loas znużony, szukał zasłony  
Pod drzewem, gdzie był przyjemny chłodek.

W tém na swe dłonie oparłszy skronie,  
Gdy sobie we śnie przyjemnie marzy,  
Dafna z uboczy, nagle przyskoczy,  
Sypiąc mu zlekka kwiatki po twarzy.

Już się po części porwał do pięści,  
Wzruszony gniewem o snu przerwanie;  
Aż za nim z cicha, ktoś się uśmiecha,  
Spoyrzy, i widzi swoje kochanie.

Natychmiast śmieie, co ducha w ciele,  
Chciał do niéy z lubym skoczyć uściskiem,  
Ale nieskładnie w poskoku padnie,  
Związane mając nogi pętliskiem.

Targa, iak może, silne obroże,  
A coraz Dafnę oczkiem przebieży;  
Lecz darmo siły w nim się zwątlily,  
Dafna się śmieie, a Loas leży.

O dziewczę płoche! rzekł dysząc trochę,  
Zdradyś użyla ze mną nad miarę,  
Ale niech zginę, że za tę winę,  
Setnych całusków odbierzesz karę.

Na cóż tak mało? rzecze zuchwało,  
I z żartobliwym Dafna przekorem.  
Poleż chłopczyno, aż gniewy miną  
I z swym rozstanieś zwolna uporem.

Jać nie wyprzęgę, aż mi przysięgę  
Wykonasz zaraz z wiernym dotrwaniem,  
Że przez pół doby moięj osoby  
Nie tkniesz się żadnem pocałowaniem.

Dał Loas słowo, trząsnąwszy głową,  
Sztukę za zdradę mając napiętą;  
Dafna zaś myśli: im przysięgl ścislij  
Tym prędzey złamie przysięgę świętą.

Ale się srodze dało niebodze  
Uczuć dotrwanie stale pasterza!  
Zszedł czas przysięgi, on w słowie tęgi,  
Na dal swóy ieszcze termin zamierza.

Przykro ięj znosić, więc zacznie prosić  
Skloniwszy usta do iego wargi;  
A przez swe wdzięki i uścisk ręki,  
W nowe z kochankiem zachodzić targi.

Już to, Loasie, dawno po czasie  
(Rzekła do niego) twoięj pokuty:

A ia się ieszcze z tobą nie pieszczę,

Ja nie cierpliwa, ty iak przykuty. (chem

Z takim pośpiechem, rzekł Loas z śmie-  
Miałby czas minąć? czy to rzecz pewna?..

Tak nie inaczej Dafna z rozpaczy  
Odpowiedziała nieco przygniewna.

A on znów w swoje: bardzo się boję  
Abym przysięgi nie złamał daney,  
Ta się zaklina, że już godzina  
Minęła nad czas iemu wskazany.

I w tym mu z bliska, rękę uściska  
I zayrzy w oczy, i główkę schyli;  
To go porzuci, to się doń wróci,  
To się nadąsa, to się umili,

Cóż jest na świecie, coby kobiecie  
Nie miało uleż na oręż wdzięku?  
Każdą zawilość ułatwia miłość,  
I rozum na tym nie silny sęku.

Tak twardy stali nie mogąc dalij  
Loas przez wstręty zdołać zmyślone;  
Rzucił gniew pusty i z swemi usty  
Skleił pasterki ustka pieszczone.

---

## K U P I D O

### W I Ę Z I E N

Zbiegłszy od swęj Kupid matki,  
Pod Parnasem zbierał kwiatki,



Wijąc z nich wianek  
Dla swych kochanek,  
A ztąd co dzień Muz ogrody  
Większe miały w ziele szkody.  
Przedsięwzięto zatym zgodnie  
Slusznie taką skarać zbrodnię,  
Wywód uczynić,  
Kogo obwinić;  
Aby złodziey za kradzieżę  
Rok *in fundo* siedział więz.  
One sadzą, a ten w sadku  
Kradnie ziola do upadku:  
Więc gdy go zoczą  
Nagle przyskoczą  
Krzyząc w koło: ah! hultaiu:  
Tyś to tyle skradł nam maiu?  
Zbladł Kupidek; iuż po diable,  
Grot mu wzięto, łuk, i szablę:  
Stoi bez broni,  
Łzy smutne roni;  
Prosi z płaczem, te się śmieią,  
On pokorny, te srożęią.  
Rwą co żywo rozmaryny,  
I z nich tęgie kręcą liny,

Związują ręce  
 Na tył chłopięce:  
 Do Połosi wiodą wreszcie,  
 Aby u niéy był w areszcie.  
 Siedzi więzień okowany,  
 Maiąc wite z róż kaydany,  
 Łańcuch z bławatu,  
 Obróż z szkarłatu:  
 Lecz, co nadto bardziéy boli,  
 Ze u piéknéy iest w niewoli.  
 W tym wieść matkę doszła w Knidzie,  
 W iakiey synek osiął bidzie:  
 Z saméy pogłoski  
 Przybywa troski;  
 Więc nie bawnie zwie na radę  
 Charyt i wdzięków gromadę.  
 Gdzie za wspólném wszystkich zdaniem  
 Przedsięwzięto prosić za niém,  
 I gwóli temu  
 Dać Merkuremu  
 Rozkaz, aby, gdy czas służy,  
 Brał się zaraz do podróży.  
 Lecz im Pafu wprzód królowa.  
 Uczyniła rzecz w te słowa:

Śliczne dziewczęta,  
 Wdzięczne chłopięta,  
 Chychotki, Zarty, Charyty,  
 Mój senacie znamienity!

Wiecie o tym, że mi syna  
 Złapał orszak Apollina?

Chór ten ubogi,  
 Bez datku srogi;

Nic nie czyni bez pieniędzy,  
 Więc nam składki trzeba prędzey.

Zgoda na to: (krzyknie rada)  
 Prózny poseł nic nie nada,

Trzeba poboru

Dla tego choru,

U którego oprócz smyka  
 Nie ma w worku i fenika:

Tak nasz poseł przy zapasie  
 Wkrótce stanął na Parnasie,

Lecz go przez warty

Szyłwach obdarty

Nie przepuścił, aż mu z góry  
 Wścibił tyńfa w garść Merkury.

Jdzie dalej, też zwyczaj:

Co postąpi, tyńfa daie;

Wreszcie talery,  
Łagodząc (1) zbiery,  
Nim w pałacu stanął sieni,  
Wszystek wydał grosz z kieszeni.  
Zjedźże kata! rzecze z smutku,  
Grosz wydałem, a bez skutku,  
Tu jeszcze trzeba  
Przywitać Feba,  
Muzom oraz dać po trosze,  
A tu draby wzięły grosze.  
Cóż więc inne gdy urzędy  
Złotem swoje wazą względy,  
Przyydzie w potrzebie  
Przedać i siebie,  
Albo żywcem na ich zgrozy  
Bis wie za co pójść do kozy.  
Zgiń, przepadnij, taki kraiu!  
Gdzie zysk tylko w obyczaiu,  
Gdzie wszystka cnota  
W bałwanie złota,  
Gdzie i pana te łaydaki  
Przedaliby za szóstaki.  
Tak oddawszy Parnas bisom,  
Podał goniec skrzydła hysom,

---

(1) Zbirowie, żołnierze mieyscy w Rzymie.

I to w Cyterze

Oznaymił szczerze:

A Kupidek ieszcze póty

U Połosi, iest przykuty.

B A Y K A.

S Ł O W I K i C Z Y Ź Y K.

Słowik miłośnym tknięty urokiem,  
Nucił piosneczki nad czystym stokiem..

Echa mu się sprzeciwiały,  
Strumyk go słuchał zdumiały,  
Zefir nie igrał listkami,  
Kwiaty nie trzęsły główkami,  
Zabki zamilkły w ieżiorze,  
A ptaszęta wszystkie w borze  
Wierne chowały milczenie,  
Zgoła; spalo przyrodzenie.

Gdy tedy słowik tak sobie nuci,  
Czyżyk się w kącie z zazdrości smuci,  
Tak, że aż nabył zawrotu głowy,  
Więc z temi leci do niego słowy:

Bracie słowiku!

Wdzięczny muzyku,  
Dyszkańcie naszego gaiu,  
Plemie ślicznych ptasząt raiu!

Słuchałem cię tu na stronie ;  
Jakieś gorgi czynił w tonie  
Jaka żywość , wdzięk i siła  
Sliczne piosnki twe zdobyła.  
Lecz postrzegam , że twe trele  
Acz swych wdzięków maią wiele ,  
Nie długo trwają bo nad miesięcy  
Podobno kilka , nie będzie więcej ,  
Tak rzecze słowik ; ia śpiewam mało ,  
Y toć się , czyziu , nie podobało.  
Ty znowu długo lecz nie do rzeczy.  
Tak też i żabka w swym bagnie skrzeczy.  
Ja zaś choć krótko byleby mile ;  
Wiem że nie trwonię nadarem chwile.  
Kwitnących nauk przezacne składy ,  
Co swoim światłem kraÿ ożywiacie ,  
O literaci ! ieśli méy rady ,  
Którą wam myślę dać , usłuchacie ;  
Weźcie za model tego słowika.  
Niech wasze pisma nie będą długie ;  
Niechay z nich iedno serca dotyka ,  
Gdy się z rozumem zabawia drugie.  
Inaczéy świat nam roztropny powie :  
»Słowik czyżyka równa do żaby ;  
»Lecz ci są Ichmość lub półgłówkowie ;  
»Lub nie hamowne w ięzorkach baby.

---

## P A S T E R K A.

*Instynkt albo niewinna miłość.*

D A F N I S , H A L I N A , N I N A .

D A F N I S .

Moja miła Halino, wybacz że się boję....  
Czy ia tylko rzetelnie widzę postać twoję?

H A L I N A .

Nie mylisz się, Dafnisie, nie mylisz zaiste,  
Wszak téy prawdy masz oczy świadki rzeczywiste.

D A F N I S .

Nie iest to dosyć widzieć, oczy zdradzić mogą,  
Pozwól mi prawdy szukać bezpieczniejszą drogą.  
Jeżeliś ty Halina, raczéz niech cię z bliska  
Na łonie upieszczoném dłoń moja uściska.

H A L I N A .

Ah, co robisz Dafnisie! gdzież są na to względy,  
Że iednacie rozrywki nie uchodzą wszędę?

Insza to na wygonie usiadłszy pod krzakiem,  
Gdzie mi będziesz przyjemnym w ten sposób (pro-  
stakiem;

Insza na wsi, gdzie wszystko obróćą na nice,

D A F N I S .

W żartach, miła Halino, człek morzy tęsknicę,  
Niech iak kto chce nicuie, z fraszek będą fraszki.  
Nikomiu nasze wadzić nie mogą igraszki.

H A L I N A.

Prawdę mówisz, i to mnie osobliwiey dziwi!

D A F N I S.

Któż ma prawo zazdrościć, że będziem szczęśliwi?

H A L I N A.

Honor, honor to iakiś z nami tak dziwaczy.

D A F N I S.

Więc ten honor źle czyni; niechay mi wybaczy.

Lecz kto to iest ten honor? człek li to czy zwierze?

Jać go nie znam, lecz poznać ciekawość mię bierze.

H A L I N A,

I ia go także nie znam, lecz gdym mała była  
Oyciec mi o nim gadał i często, i siła:

A zawsze to powtarzał, że honor z dziewczęty  
Silnieyszym niż duch w ciele iest soiuszem spięty.

Jednakowoż ten honor rzecz będzie nie lada,

Bo i nasza Połonka często o nim gada;

Twierdząc, że gdy ią chłopcom wiek zalecał młody,

Trudniey go mogła ustrzedz niżeli swey trzody.

D A F N I S.

J moja także matka (wieczny pokóy duszy!)

Nayczęścięy tą mi gadką nabijała uszy.

»Dafnisie! (ięy to słowa) wiedz że honor z cnotą

»J trwalsze są i droższe nad znikome złoto.

Cóż ci po nim, Halino na twoie prostactwo

Nie przystoi bynajmniey tak wielkie bogactwo.



## H A L I N A.

To prawda, żem ia szczerą, za czasu nie wiele  
 Pewniebym rostrwonila między przyiaciele.  
 Obeydę się bez niego; przy moiéy prostocie,  
 Bylem była szczęśliwą, nie pewnie po zlocie.

## D A F N I S.

Tak, moje piękne dziecko, za bogactwem troski  
 Jakich nie zna w mierności spokoynej kmieć wioski  
 Tu panuje swoboda, tu wierne przyiaźni,  
 Których zmienna niestalość rzadko kiedy draźni,  
 Już się tedy zbliż do mnie, niech na twą ręczyne  
 Słodkie serca uczucie przez usta ochyń.  
 Pozwól się ucałować, raz ieno nie więcéy...  
 Bronisz się? ah nie wzbraniay, gdyż palam goręc éy.

## H A L I N A.

Ja też to w tobie widzę; twarz ci we krwi plywa,  
 Wzrok ostry, ręczki drżące, mowa zaiękliwa.  
 Nie zawsze taki bywasz, przebóg! ieśliś człeku,  
 Jakiego czaru w zsiadłym dziś nie polknał mleku.

## D A F N I S,

Anim go dziś kosztował, próżne to są rzeczy,  
 Upornie badać przyczyn słabości człowieczéy.  
 Jeden iest trakt do życia, tysiąc do zniszczenia:  
 Bo tak chciał opatrnego wyrok przyrodzenia.

## H A L I N A.

Więc to będą uroki, zapewnie cię która

Zlém okiem baba na czczo zayrzała ponura.  
 Ah! pokrzep się iak możesz, póyde do sąsiadki,  
 Ona takie węglami ulicza przypadki.

D A F N I S. (chwili.

Zgubisz mię swém odeyściem, cdeydziesz po  
 Kto wie, może się samo złe czasem przesili.  
 Bądź przy mnie, bowiem czuię, że z twych ocz  
 (apteki  
 Lżeysze są nad zwietrzałe bab zgrzybiałych leki.

H A L I N A.

Cóż ci przecie dolega, mój Dafnisie luby?

D A F N I S.

Ah! serce, serce w twarde ktoś mi ujął kluby.  
 Mózg mi się w głowie mięsza, tysiąc różnych chęci  
 To tam, to sam po drzącém cieie nieład kręci.  
 Prawdziwie zdzieciniałem, a iak dziecko male  
 Ściskałbym ustawicznie rączki twoie białe;  
 A gdy rączki uściskam, nieprzyjazne zwłoką  
 Serce me chciałoby się w twoie przenieść oko:  
 Z oczka w drugie, a z tamtąd Bóg wie gdzie nie  
 (lata.

Halino! źle koło mnie, ah! Halino, rata!

H A L I N A.

J cóż więc biedna pocznę! na takie choroby,  
 Których rodzaj znać trudno, iakież są sposoby?

Lecz iużeś i mnie pono zaraził, Dafnisie,  
 Ah czuie, ah! i moje serce ogniem tli się,  
 Przebóg! czyś ty miał ospę? w takim bowiem razie  
 Musiałabym nieszczęsna téy podpaść zarazie.

## D A F N I S.

Bóg cię strzeż, tać to wiedma na chwatkie osęki  
 Zarwała naszéy Chloi i życie i wdzięki.  
 Jać iéy w prawdzie nie miałem, ale wiem od matki,  
 Że inne taki owoc poprzedzają kwiatki.

## H A L I N A.

Kiedy tak, to nie zgadnę, przyzwoiciéy tobie,  
 Boś starszy i męczyzna, téy zabiedz chorobie.

## D A F N I S.

Ani pleć, ani lata ieno doświadczenie  
 Daie ludziom poznawać co iest przyrodzenie.  
 Mnie na tym ieszcze braknie, czuie słabość, ale  
 Jak się można ratować, nie poznaie wcale.

## H A L I N A.

Pókim ia trzody pasła w osobnym ostrowie,  
 Póty czerstwe i silne służyło mi zdrowie,  
 Dziś iakby ręką odjął, a to od téy chwili,  
 Jokośmy razem nasze tu hurty spędzili.  
 Nieszczęśliwys ty Dafni, potrzeba mi znowu  
 Do tamtego owieczki popędzić ostrowu.

## D A F N I S.

Pókim ia do Menalka skot gonił pasieki,  
 Nie znałem co choroba, nie znałem co leki.  
 Dziś gdy się na Tyrсовym widuiemy polu,  
 Codzień się licho sili, i przybywa bólu.  
 Jednakże nie pasieka, nie pole przyczyną;  
 Jenó zem cię tam nie znał, a dziś znam Halino.  
 Odtąd gdy mię po krótkim dniu wieczór zaskoczy,  
 Nie tak się do dom wracam z bydelkiem ochoczy.  
 Radbym dzień w noc przemienić, a noc na przemiany  
 Aby się przybierała zawsze w świt różany,  
 Póđz gdzie chcesz z twoią trzódą; ia za tobą w tropy  
 Choć nawiasem, Halino swe pożenę skopy:  
 Jnaczéy do dni kilku ofiarę twéy złości  
 Pod tym uyrzysz iesionem, Dafnisowe kości.

## H A L I N A.

Srożéy mnie nad truciznę temi razisz slowy;  
 Niech raczéy twóy grób moiéy będzie składem głowy.  
 Ja to żartem wyrzekła, a ty na złość właśnie  
 Prawdą mienisz dla żartu wymówione baśnie.  
 Dafnisie! ufay więcéy; Halina choć drażni,  
 Umie iednak szacować dar słodkiéy przyiaźni.  
 A ieśli ma rzec szczerze, o czym myśli skrycie  
 Bądź pewien, że dla ciebie tylko lubi życie.  
 Życie nudne zaiste, na które los rzadki  
 Dziwnéy zsyla choroby nie zwykle przypadki.

Zostańmyż odtąd razem, a tak siedząc ze mną,  
Ja ciebie, ty mnie radą zasilay wzajemną.

## D A F N I S.

Dziwisz mnie wspaniałością, umysł to nie niski,  
Wzruszać serce litością na cudze uciski.  
Nie wielu takich, w naszey znaydziem okolicy,  
Každy wilka przepędza od swoihey dzielnicy;  
A sąsiad niechay ginie: byleby im błogo.  
Lecącego gotowi w przepaść trącić nogą. (rzeczy  
Ty dla mnie więcéy czynisz, gdy nad wszystkie  
Droższym twa dobroć zdrowiem, moie zdrowie leczy.  
Nie iestem ia niewdzięczzen, a co za tym idzie,  
Pozwól niech sam bez ciebie w swéy zostanę bidzie.  
Niech raczéy tu usycham z żalu i tęsknoty,  
Dość dla mnie, że ty będziesz wiek prowadzić złoty.  
Pódź zdrowia poratować... lecz przebóg! niestety!  
Czuię sroższe na umysł i serce sztylety.  
Wstrzymay się ieszcze trochę, gdyż ten widok mily  
Ulepsza stanu lichosc, słabe krzepi sily.  
I umrzeć liéy przy tobie... ty płaczesz.. o Boże!  
Któż kiedy mieć ludzkości więcéy, iak ty, może?

## H A L I N A.

Wzajemnością ci płacę, nie bez tego, żeby  
J dla moihey w tym celu nie było potrzeby.  
Dafnisie, trudno taić, słabość którąm miała,  
Więcéy się dotąd chwyta umysłu niż ciała;

Cała ięć srogość na tym, że twe oddalenie  
 Poprzedza wewnętrzny smutek, żal, i utrapienie.  
 Gdy mi się zaś bez ciebie przyidzie kiedy zostać,  
 Rozumiem, że świat inną rzeczom daie postać.  
 Wszystko idzie na opak, wszystko iak w nieładzie.  
 Późnięć słoneczko wstaie, późnięć się uładzie,  
 Strumyczki cicho płyną, zefirek nie wieie,  
 Kwiatki w pączkach niszczeią, gay się nie rozśmieie.  
 A ia nędzna swą główkę podparłszy maczugą,  
 Gorzkich się dla ulżenia łez zalewam strugą;  
 J myślę, gdzież iest teraz mój Dafnis kochany,  
 Dafnis, coby te może mógł uleczyć rany.?

## D A F N I S.

Halino, to coś rzekła, nad pędzel i dłota  
 Dzielnięć troski moiego maluie żywota.  
 Toż się i zemną dzieie, na takież nieszczęścia;  
 J mnie chwila twoiego wskazuie odęścia.  
 Wszystko mi także w ten czas idzie iak z opoki;  
 Chwile się ciągną dniami, z miesiąców mam roki.  
 Zawsze czegoś brakuie, myśl smutkiem usycha,  
 A serce iak nałogiem ustawicznie wzdycha.

## H A L I N A.

Gdy o wschodzie iutrzenki, niebo szkarłat ciska,  
 Natychmiast moię trzodeę wyganiam w pastwiska.  
 Owce chodzą po łące, mnie nadzieia cieszy,  
 Aczēć się Dafnis rano z bydelkiem pośpieszy.

Lecz skoro ty nadeydziesz, skoro podasz rękę,  
 Niesłychaną mi iakiś wstyd zadaie mękę.  
 W oczy ci nie śmiem spojrzeć, choć nie czuję winy;  
 Dafnisie! powiedz proszę, z iakięy to przyczyny?

D A F N I S.

Prawdziwie, i ia nie wiem.

H A L I N A.

Przecież przy Damonie  
 Nigdy mi twarz tak wielkim wstydem nie zaplonie.  
 A o tym co rozumiesz, że gdy w gronie dziewczynek  
 Pospolitych używam płci naszęy rozrywek,  
 Mało czuję rozkoszy; niech się Dafnis zjawi,  
 Aż natychmiast i sama nie wiem co mię bawi?

D A F N I S.

Jeżeli cię dziewicze nie bawią biesiady,  
 Od wewnętrznej skłonności masz zasięgać rady.  
 Co do mnie, iam iest gotów od trzód do maczugi,  
 Życie i siebie na twe poświęcić usługi.  
 Odtąd każdego czasu, każdego momentu  
 Możesz mi poufale rozkazać bez wstrętu.  
 Wszak umiem dosyć piosnek, którem często w lecie,  
 Gdyś ieszcze mnieyszą była, wygrywał na flecie;  
 Umieć też i powiastki, których Alkon stary  
 Uczyl mnie, zapędziwszy trzodę na koszary:  
 Tych jeżeli zabraknie, dodawszy mu chmielu,  
 Tysiącami pięknieyszych nauczy nas wielu.

A tak piękna Halino, ani uyrzysz snadnie, (dnie.  
Jak nam w słodkich czas życia momentach przepa-

## H A L I N A.

Dafnisie! serce czułe, oraz umysł szczery  
Są dwa wieczne pocziwych ludzi charaktery.  
Szydził ci z tego Likas spiwszy się w karczmisku,  
J mówił; ten pocziwy, kto dla swego zysku  
Nie mając na nic względów, szuka tylko pory,  
Jakby mógł liczbę pustéy pomnożyć obory;  
Jakby drugich ucisnąć.... wszakże za te sprawy  
Jak żyje w obrzydzeniu, tak umrze bez sławy.  
Ale ty, iak mi wielką dziś czynisz ofiarę,  
Nie pomną tego chyba wieki tylko stare.  
Z tym wszystkim próżny zabieg, próżne tam mozoly,  
Gdzie umysł z przekonania nie będzie wesoly.  
Mówię to z doświadczenia i twoiéy dobroci.  
Bo lubo czas mi nieco przy tobie się króci, (uszy,  
Choć wszystkie piosnki wdzięcznym tonem lechcą  
Smutku iednak wywabić nie potrafią z duszy.  
Co większa, gdy się na noc dzień wieczorem schyli,  
Jakbyśmy i momentu z sobą nie bawili.  
Oh! gdybyś w takim kiedy znajdował się stanie,  
Rzekłbyś, że miłsze sto króć życia dokonanie.

## D A E N I S.

Prędko sądzisz, Heleno; a kto prędko sądzi,  
Niewinnie, lecz nie hacznie, pospolicie błądzi.



Uporniuchniaś iest, widzę, kobiecym narowem.  
 J ia bez trosk nie iestem, i nie iestem zdrowem.  
 Wszakżem ci już namienił, że nieznośne smutki  
 Są moich z tobą schadzek nierozdzielne skutki.  
 Darmo ie czczym ukoić pragnę przymileniem,  
 Lub serdecznym uściskiem, lub miętким weyrzeniem;  
 Wszystko to nic nie nada, serce darmo łaknie,  
 Myśl zawsze niespokoyna... zgoła, czegoś braknie!

H A L I N A.

Co teraz powiem, Dafni, niech ginie w kształt mary,  
 Lecz to będą zapewne baby iakieyś czary.

D A F N I S.

Mówią ludzie, że czary naslawszy na czleka,  
 Od świtu do wieczora czasem nie doczeka.

H A L I N A.

A cóż ia komu winna niech świadczą sąsiedzi,  
 Co według dawnéy gadki, wiedzą iak kto siedzi.

D A F N I S.

Przy kim Bóg, nikt na tego: to tak święte godło  
 Że rozumnie ufając nikogo nie zwiodło.  
 Straszniejszy diabeł w farbachi, niż w saméy istocie,  
 Kto go się lękać wstydzi, niech ma ufność w cnocie.  
 Tak i to rób, Halino, w roztropność bogata  
 Drwiy z baiek, co ie klekczą od powicia świata,  
 Gorsze nad wszystkie diabły, ludzkie namiętności.

N I N A.

(*podstuchawszy ich rozmów przychodzi.*)

Czy można!.. na ich lata!.. tyle niewinności.

H A L I N A.

*(złakłszy się.)*

Ah, Nino! czy się godzi z nienacka nas schodzić?

N I N A.

Nie przychodzę ia tutaj, ażeby wam szkodzić.  
Wysłuchałam was z kąta, i poznałam dobrze,  
Żeby ci z stroiów soki nie wadziły bohrze.

Znam teraz słabość waszą, iest to rodzaj taki,  
Który trapi wielmożne równie iak prostaki,  
Który bez względu na pleć, lata, urodzenie,  
Nierozumne zwykl nawet poruszać stworzenie.

H A L I N A.

Jakżeby te wielmożne nazwać można licho?

N I N A.

Dafnisie! tobie tylko o nim powiem cicho.  
Lecz żal mi i Haliny, ile że ię serce  
W większý tego chwyciło zarzywa iskierce.  
Jest to więc; moje dzieci, instynkt albo raczý  
Miłości tęgi zastrzał, co z wami dziwaczy.

H A L I N A.

Miłości? cóż iest miłość?

N I N A.

Dafnis się uśmiecha?

D A F N I S.

Bom takiego, iak żyję nie znał ieszcze licha.

N I N A.

Jest to duszy męczarnia, grot na rozum silny,

Źródło potrzeb, rozpusty, kęs ciała przychylny.  
Od niéy ma blask uroda, wzrok ostry; a wróście  
Osobliwszéy piękności dodaie niewieście....

D A F N I S,

Nie wątpię o tym, Nino! Halinine wdzięki  
Zawsze są w ten czas tkliwsze gdy mi poda ręki.

N I N A.

Kto na nią zacznie boleć, radby bez ustanku  
Przy lubym sobie wzdychać i siedzieć bałwanku.

H A L I N A.

Bezwątpienia, że ia téy podpadam niemocy,  
Bo mi Dafnis na myśli staie w dzień i w nocy.

N I N A.

W tym wieku, iak iesteście, żadney krzepkość tarczy  
Jéy silnym naleganiom zdołać nie wystarczy.  
Alem się rozgadała, czas spędziwszy trzody,  
Popędzić ie do zdroiu, i wlec się do budy.  
Jutro tu rano przyydzicie, a już bez ociągu  
Wszyscyuchno wam wygadam o tym dziwolągu.

H A L I N A.

Ah! zostań ieszcze, proszę; kto wie, czy pogoda,  
Jak dziś, tak iutro piękny dzień rozrywkom poda.

N I N A.

Wszelako iutro bądźcie, nauczę was tego,  
Jak się ludzie zwyczajnie tej słabości strzegą.  
Będiesz mi wdzięczen Dafni, lub nie? mniejsza o to.

Dość dla mnie, że nad waszą mam litość prostotą.

H A L I N A.

Ja ci wdzięczność przyrzekam, ale bardzo proszę,

Żebyś mi takich lekarstw dawała po trosze;

O przyjemne słabości! o Dafnisie luby!

Już się teraz bezpiecznie mogę nie bać zguby.

N I N A.

Ta choroba prócz tego, że nas tylko ludzi.

Żadnych nieszczęść przyczyną nie była dla ludzi

Wyniosłość, zawiść. duma, łakomstwo, rozpusty,

Te czynią świat częstokroć obdarty i pusty,

Tych niechay człek unika, a upewniam, że się

Do żadnego bezprawia nigdy nie uniesie.

---

### P O R T R E T.

Z Warszawy, Polskiego grodu,

Gdzie swe Wisła warty wzniosła,

Wendrował Kupid do Rhodu,

Sławnego z rzeźby rzemiosła.

Niosł on portret Sauromatki,

Nadobny to Telegdony;

Co go dla swéy miał dać matki,

Na marmurze usadzony.

Lecz w pół drogi, gdy pod Pafem

Odpoczywał na murawie;

Wenus jakimś zbiegłszy trafem,

Pocznie pytać o Warszawie.

A syn na to: matka miła!

Miasto w kształcie niezbyt cudne ;  
Lecz ma naszych kaplic siła ,  
Przed tym puste , a dziś ludne.

Ile niewiast tyle wdzięku ;  
Lecz nad wszystkie Telegdona ,  
Któręj portret trzymam w ręku ,  
Jest pięknością zaszczycona.

Spojrzy Wenus, cud natury ;  
Wnet ją srogi gniew opęta ;  
Porwie obraz, rzuci z góry ,  
Aż się zaraz stłukł do szczęta.

Parsknie z śmiechu syn skrzydlaty ,  
O tóż fochy, rzekł kobice.  
Wzdy ja mało ztąd mam straty ,  
Żeś ięj szklane zbila lice.

Trwalszy obraz, com go złotem,  
W czułym sercu Palemona,  
Sam swą ręką wyciął dłótem ;  
Złość go twoja nie pokona.

---

P I E Ś Ń.

Minęły chwile buynéj młodości ,  
Jak więc kwiat róży miia niewrotny ;

A iam nie oddał holdu miłości,  
Nie byłem ieszcze dotąd zalotny.

Miiaią latka mego młodzieństwa,  
Rozum się z pieluch otrząsł surowy:  
Ten na mnie gdera o stan bezżeństwa.....  
Panie! sluchać cię iestem gotowy.

Czasie! acz z tobą i wiek nasz leci,  
J co raz to nam urywasz latek,  
Ja ci mam wdzięczność za krzyżyk trzeci.  
Bom z nim dopiero odebrał statek.

Nuż serce moje! życia sprężyną,  
Zacznij być czule, gdyś iuż stateczne;  
Bez tego wszystkie miłostki giną,  
Lecz przy nim zawsze będziesz bezpieczne.

Serduszko moje! rucho przyjemne,  
Uderz do serca piękney Hanety;  
Aczcy ci w chęciach będzie wzajemne.  
Biegnąc do tkliwéy wraz z tobą mety.

Już mi więc poday, Amorku, pręty,  
A ty pochodnię swoię, Hymenie!  
Płomień ten w naszym sercu zaięty  
Ostatnie chyba zgasi westchnienie.

---

D O

J. W. JMCI XIĘDZA ADAMA STANISŁAWA

N A R U S Z E W I C Z A

BISKUPA KOADIUTORA SMOLENSKIEGO.

*w dzień Jego Konsekracyi.*

O D A V.

*(pulchro ligari foedere gestiunt Libris thiarae.)*  
Serbiev.

O tóż, zacny Biskupie, nie losu przypadkiem  
Co ludzi zwykł wynosić niestałemi dary,  
Lecz opatrzny mądrego łask Monarchy datkiem  
Odbiera w tobie cnota dank winney ofiary.

Czas więc na miejsce lauru, którymś uczone  
Bawiąc się na Parnasie, dotąd zdoł skronie;  
Wziąć mitrę, a przez stopnie dawno zasłużone  
Wniść w kościół i w szanownym siądz Biskupów  
Stało się! od pańskiego już idziesz ołtarza (gronie.  
Żegnając lud skupiony na twe wyniesienie;  
I słyszysz, iaką radość głos częsty powtarza,  
Powszechnego szacunku wierne zaświadczenie.

Witay przezacny mężu! o szczęsny narodzie!  
I ty w swym sprawiedliwy Monarcho wyborze,

Przykładnego dobrałeś Pasterza swęý trzodzie,  
 Boś mu się dał wyćwiczyć w cnotach na swym dworze  
 Zacząłeś piękne dzieło szafunkiem nadgrody  
 Temu, który już na nią zarobił sowicie;  
 Lecz się naród zupełnie nie ucieszy w przódy,  
 Aż go w wyższych dostojenstwach postawisz zaszczycie.

---

 D U M A

## U B O G I E G O L I T E R A T A

Gdy czytam płód méy pracy, com nią wieszcz ubogi  
 Drzymał w kącie nieznanym i ziemskie czeił bogi,  
 Upatrując iakiegoś zysku promyk lichy;  
 I płacz mnie rzewny bierze i niewczesne śmichy.

Bo iakąż, nie raz myślę, mam korzyść z téy sztuki  
 Którą gardzą surowi mędrce i nieuki?

A gdy czasem przez litość swe dadzą przyznanie,  
 Jch chwałę mam za obiad, affront za śniadanie.

O! srogie baiecznego Parnassu dziewczyska!  
 Bodaybym nigdy w wasze nie zayrzał siedliska,  
 Siedliska gdzie nic nie ma prócz ostu i trawy  
 Na upleć uczonego wieńca próżnéy sławy.

Szczęśliwszy stokroć nad nas rzecznik wyszczekany,  
 Co broniąc jednéy strony, obelżywe piany  
 Na przeciwną wyślinia; bo za swoje iady



Troistym zamkiem ciężkie waruie pokłady.

Szcześniewszy wierepięta, dworaczek obrotny,  
Choć kosterka, choć piiak, choć urwis istotny;  
Bo za iego wykrety, obludę, matactwa  
Świat kadukiem liczne mu szle coraz bogactwa.

Szcześniewszy arytmetyk, za sztuczne rachunki  
Pakuie ważne złoto w lokciowe ładunki;  
A choć pisze i skrobie, zatrze i przyglądzi,  
Przecież pana okradnie, a sobie zgromadzi.

Nie ma z tego nic u nas, złoto lub w Olkuszy,  
Lub iaki zdobi balwan podłomyślny duszy.  
Przecież Mido bogaty, z pod rysię opuchy  
Wszyscy widzą nikczemnych osłów długie sluchy.

Pod kim smukły Arabczyk, dla bodźca ostrogi  
Związawszy się, obali kilku w rynsztok z drogi:  
Podemną, hola ludzie! ledwie pstrosz włogawy  
Z nowego świata zaydzie do staręj Warszawy.

Lecz co ia lichy pismak? byloć wieszczów wiele  
Co sobie wywróżyli dudka na kościele:

A że innych nie wspomnę, pierwszy przed innemi  
Stań mi tu, sławny Tassie (1) Włoskięj skrzypku

Na cóż mu się przydało, iż świat uczony (ziemi.  
Na iego przeniósł lutnią Homerowe strony;

---

(1) Torquato Tasso z zacneęj bardzo familii Włoskięj pochodzący, napisał sławne poema: Jeruzalem uwolniona, od dzieciństwa aż do śmierci był od fortuny prześladowany.

Lub, że ktoś (2) w starganego nędzą życia zgonie  
Chciał laurem w Kapitolu siwe wieńczyć skronie?

Na co mu się przydało, że zimne popioły  
Z drogich rżnięte porfirów dźwigają mauzoły;  
Kiedy będąc za życia w ciężkiej poniewierce,  
Rozum nędzą hartował, a zgryzotą serce?

Nie miły taki frymark, lepszy kawał chleba,  
Póki mam czerstwe zęby i grosza co trzeba:  
Lepiej być o baranie, albo lisim grzbiecie,  
Niż po śmierci gronostay tylko na portrecie.

O tóż masz, Apollinie! patrz pod twemi znaki  
W iak odartym świecimy mundurze chudaki:  
A gdy się drzem za laurem, dobrze ieśli który  
Brudny na łeb szlafmicy zarwie lub misiury.

Weź zatym swoją lutnią, weź strony i smyki  
Nie chcę odtąd ni pochwał, ani znać krytyki;  
Jeśli tylko ten krytyk, co w inszych rozumie  
To nazywa być błędem, czego sam nie umie.

---

## P I E Ś Ń

### P A S T E R S K A.

Darmo mnie młoda lubi Zofia,  
Darmo się sama do mnie nabiia;

---

(2) Klemens VII. chciał go laurem w Kapitolium wieńczyć, ale Tasso w wilią tego obchodu umarł.

Darmo i Basia przez swe zamęcie  
Stawia mi wielkię nadziei szczęście.  
Nie dbam ia o te zysku zalety;  
Chęć moja dąży do innéy mety;  
To iest do ciebie śliczna Rozeto!  
Ty iesteś celem moiem, i metą.

Raz gdy wieczornéy kwoli zabawie  
Na chłodnéy sobie siadłem murawie,  
Przyszła Marysia, iéy postać cała  
W słodką mnie miłość uplątać chciała.  
Szturm to był ciężki, lecz bezskuteczny,  
Bo umysł tobie chowam stateczny,  
Bo ciebie tylko, mych chęci meto,  
Raz ukochawszy, kocham, Rozeto,

Niechay tu stanie w swéy przemożności  
Nayobszerniejszych dziedziczka włości;  
Niech ma za sobą tytuły dumne,  
Liczne bogactwa i służby tłumne:  
Jéy się uklonię; a serca przecie  
Zachowam stałość swoiéy Rozecie.  
Bo ciebie tylko, mych chęci meto,  
Raz ukochawszy, kocham, Rozeto.

D O

J. O. XIEŻNICZKI JEYMOŚCI  
TERESSY ANNY CZARTORYSKIEY.  
GENERALÓWNY ZIEM PODOLSKICH.

*Wdzięć ię Imienia*

O D A

..... *La réconnoissance : Voila le Dieu,  
que mon coeur veut pour maitre.*

Voltaire.

Równym od wieku świat idąc torem,  
Acz się odmienia w czasów kolei,  
Zawsze był, iednak płochości wzorem;  
Widzić go w statku nie ma nadziei.

Już to w naturze osiadło ludzi,  
Aby ich płonne wiodły zwyczaje;  
Podle podchlebstwo, co serce ludzi,  
Lub ślepy przesąd, co gubi kraie.

Smutny to wprawdzie los przyrodzenia,  
Nie można go się wstydzić bez czucia;  
Ani więc uczuć bez zawstydzienia:  
Cecha ludzkiego iest to zepsucia.

Jeśli więc iaką nad tym obrazem  
Naszey znaydziemy ulgę niedoli;

To chyba tylko, że błądzim razem,  
I że powszechny błąd nie tak boli.

Wszakże, iak na tym nic nie ma świecie,  
Coby na grube nie wpadło błędy;  
Tak i ku iego wyznam zalecie,  
Że często inne są w ludziach względy.

Ni ich przez długie trzeba domysły.  
Szukać; same się nawiną temu,  
Kto społeczności zważa stan ścisły,  
I co kto winien oddać drugiemu.

Tak, zacna Damo! nie iednym szykiem  
W sercach się wszystkich sprężyny wiążą;  
Jeden zwyczajem iest niewolnikiem,  
Drugi fortuną oślepnie czyją.

Lecz kto się wznosi nad drogi gminne,  
Gardzi tym środkiem postępowania;  
Ani w swych celach ma kroki inne,  
Nad te szacunku, lub przywiązania.

Te są pobudki, któremi śmiały  
Hold ci w rymownym niosę dziś składzie;  
Lecz ni w podchlebne przybrany chwały,  
Ani w wytwornéy dany przysadzie.

Wdzięczność mam celem, nią się miarkuję.  
Szczęśliwy stokroć w tym przedsięwzięciu

Gdy ią tak wydam, iak w sercu czuję,  
I iak iąm winien mądrymu Xięciu.

Szczerość to moja wyznać przed światem,  
(Niech się naprzykład wdzięczności dowi)  
Iż chlubę moję zakładam na tem,  
Żem wszystko twemu winien domowi.

A zatym iakie dać mogę dary  
W twoiego święta dzień znamienity?  
Przyimiy, Xiężniczko, głos méy cytary,  
I bukiet wdzięczną ręką uwity.

Nim cię związuję, drogi to wianek,  
W który nie liche zawiiam kwiatki,  
Znikomą różę, lub mdły rumianek;  
Lecz twych zalety Oycy i Matki.

Przypatrz się iemu; znajdziesz tam wszędzie  
Przy wspaniałości ludzkość przystępną,  
Baczną rostopność przy hoynym względzie,  
Skromną wesołość, lecz nie posepną.

W tych towarzystwie czyż nie rostopnie  
Wywróżyć mogę; żeć los łaskawy  
Z czasem da posieść rodziców stopnie,  
Cnoty, rozumu, szczęścia i sławy?

---

## O D A

DO J. O. X. ADAMA CZARTORYSKIEGO G. Z. P.

Komu gotuiąc większe przeznaczenia  
Los przed zasługą ieszcze dobroczynny,  
Wielkiego świetnych da blask urodzenia,  
I wczśnie wyżej pomknie nad tłok gminny:

Temu wnet każdy przez sam wzgląd wyroku,  
Którego światem prześrednictwo włada,  
Jż go w świetlejszym postawił widoku,  
Prawem czci winney hołd uprzemy składa.

Tak się niezbytey konieczności zdało,  
Moralnych świata rozrządzić bieg rzeczy;  
Iżby ie w ieden cel łącząc i ciało,  
W różne się stany stan przelał człowieczy.

Ani się na to uskarżać przystoi,  
Szanuemy od nas nie zawisle prawa;  
Wyższość dostoięstw obowiązki dwoi,  
Szczęśliwa mierność, bo ich nie doznawa.

Zazdrości! ty co przez zamiarów zbytek  
Ledwie nad górne gwiazd nie lecisz sfery,  
Stań tu, gdzie trudny sławy iest przybytek;  
I patrzay iak się rodzą bochatery.

Większey tu na to trzeba pewnie duszy,  
Większego serca i wspanialszych myśli

Niech nas daremna w tym duma nie puszy,  
Lecz ze krwią zacną to się łączy ściślij:

Tak więc król ptaków orzeł nieścigniony,  
Gdy słońca niemal śmiałym sięga lotem,  
Jż go nie ścigną, wrzeszczą w dole wrony;  
Tak latać orłów jest tylko przymiotem.

Xiąże! z imienia i z dzieł znakomity,  
Którego sława już wzięła bieg długi;  
Ty coś wysokie ze krwi wziął zaszczyty,  
A większych dopiął przez własne zasługi!

Wyswiadcz tey prawdzie; bo któż z tobą w równi  
Zna obowiązki wielkich osób lepiej?  
Kto im się kiedy uiszcza gruntownij?  
Ty czuiesz ciężar, nas tylko blask ślepi.

Wszakże ci trudno z tym się ukryć, Panie,  
Dla swego dobra co czynisz narodu;  
Jakie dlań znosisz kroki i staranie,  
Nikt na to szukać nie będzie dowodu.

Pełno twej sławy, iak jest kray szeroki,  
Słyniesz z wielkiego rozumu i cnoty,  
Walecznyś żołnierz, statysta głęboki:  
Rzadko się w iednym te łączą przymioty.

Przecież są w tobie; a na to zaiste  
Da mi przyznanie nie tylko kray swojski,



Lecz inne dzieł twych świadki oczywiste :  
Tak niegdyś został wielkim Jan Zamoyski.

Pięknyż to zawód, który ma na celu  
Życie po zgonie i wiek nie śmiertelny  
Wszyscy doń dążą, nie dochodzi wielu :  
Bo prac nie znosi, tylko umysł dzielny.

Tobie nie zbywa na nim, mądry Xiążę,  
Obarczon tylu interesów tłumem ;  
Każdego trudność twój dowcip rozwiąże,  
Wszystko przenikłym ułatwi rozumem.

Trafisz tam pewnie gdzie po długiéj pracy  
Strudzona dąży wziąć spoczynek cnota ;  
Gdzie niegdyś wielcy żyją dziś Polacy ;  
Otwarte sławy już masz, Xiążę, wrota,

Czeka tam na cię z zielonego bobku  
Uwity wieniec od córki Pamięci ;  
Wieniec prawdziwy zasług i zarobku,  
Które wiek późny wdzięcznością poświęci.

---

## F I L I S Z A Ł O S N A.

### P A S T E R K A.

Tam gdzie niestała mknie Wisła wodę  
A brzeg się chwieie buynemi zioly

Filis usiadłszy swą pasła trzodę  
Rozkoszne kozki, pracowne woły.

W tym ią porzuci i w gay pohoczny  
Niepostrzeżonym gdy krokiem dąży  
Myśl ią odpadła że wilk żarłoczny  
Na ię lubego baranka krąży.

Smutna pamiątka o swym Wontonie  
Którego szczęścia wyrok ponury  
W dalekiej od niey być nagląc stronie  
Gdzieś aż pod ziemne wpędził arktnry  
Serce okropnym grotem przeszyie  
Tak, że nie pomni Filis czy żyie!

W tym rozerwaniu miłośnym siła,  
Myśl zaprzątńioną mając kłopotem  
Słodkie po drzewach piętna tłoczyła  
Nie posłusznemi ręką i dłotem.

» Niechay tak miłość mego Wontona  
W statecznym sercu mnoży się wszędzie  
Jak te mego smutku znamiona  
Urosną, drzewo gdy wzrastać będzie.

Toż znów na piasku w misterne cyfry  
Jego i swoje związując imie  
Wzdychała, że ie gwałtowne wichry  
W ciemnym nieznacznie zatarły dymie.

Cóż za okropny domysł w tym razie?  
Z uczucia pełnym rzeczce westchnieniem  
Jeśli w niestałym wiatrom obrazie  
Mam mój przezierać los z przeznaczeniem,  
Że ta co teraz silnie nas klei  
W samey się miłość kończy nadziei!

Gdyby tak dla mnie los był okrutny  
Dane mi odeń stłukłabym flety  
Albo przecięła bieg wieku smutny  
Płytkiem żelazem tey to hulety!

J w tym na myśli smutkiem przeiętęy  
Wystawi obraz kochanka swego,  
Jego urodę, rozum, ponęty,  
J co bydź może sercu milego.

Na iey okropne zatym lamęta  
Rozkoszne dotąd w gaju wesoleń  
Utną swe piosnki smutne ptaszęta  
Dumaiąc nad tak ciężkim mozołem.

Chciałyby oraz iey srogie losy  
Wiernie okryślić w żalośney nucie;  
Ale wszystkimi na świecie głosy  
Nie naśladowne iey było czucie.

Nigdy ta biedna odtąd kochanka  
 Widząc swobodne innych zaloty  
 Co ie trzymają z nocy do ranka  
 Nie mogła użyć lubéy pieśczo-ty,  
 Żeby nie miała wspomnieć strapiona  
 Na swe kochanie, swego Wontona.

Ilekróć z tamtych krain w gościnę  
 Przyjdą Pasterze gdzie on zostawa  
 Filis się z niemi o tęż godzinę  
 Jako nayrychléy schodzi ciekawa,  
 Pyta i prosi, aby iéy szczerze  
 O swych Pasterkach powiedzieć chcieli  
 Czy są tak piękne by więc Pasterze  
 Dla nich na pierwsze wspomnieć nie mieli?

Wreszcie z tysiącznéy na sercu trwogi  
 Strachu z nadzieją, z żalem rozpaczy,  
 Które Filidzie czas truły błogi  
 Czyż się gwałtowna miłość nie znaczy?

O iakiéy nie są godne litości  
 Pasterki serca czulego bardzo  
 Co się tak silnie płaczą w miłości  
 Iż nią choć czasem trzeba nie gardzą!

Wieku niewdzięczny! któryż się stale  
 Teraz piękności oddaie iaki

By się od innych odstrychnął wcale?...  
Zginęły z czasem takie prostaki!

Dziś tylko pozor kieruie ludzi  
Tak i nasz Wouton, co go tak kocha  
Filis serdecznie, może ją ludzi  
Albo go miłość gdzie więzi płocha.

---

R Ó Ź A.

Ongi ia chodząc w mym ogródeczku  
Staię nad krzaczkiem róży  
Co ieszcze oczkiem mruży  
J w samym tylko wzrasta pręcyczku.

Jeszcze snać do niéy nie bywał w swaty  
Zefir chłopczyna lotny  
Ni Fawoni zalotny

Dał iéy w podarunku papużéy szaty.

Brakło iéy ieszcze i na téy woni

Którą z ust słodkich leie

Gdy się w południe śmieie

Lub gdy ją w wieczor muska Fawoni.

Wszakże koło mdłych róży szypulek

(Było ich tylko dwoie)

Postrzegłem liczne roie

Wczssnie się do niéy milących pszczołek.

Przyszło mi zatym pomyśleć chwile

Ten kwiat ieszcze z powicia

Ledwie dał znaki życia

A już ma pszczołek przy sobie tyle.

Cóż to więc będzie kiedy ją dalej

W liście ustroią czasy

A słońce na wdzięk krasy

Pięknym koralem usta zapali?

Jeśli za samą idąc nadzieją

Która częstokroć zwodzi

Tyle tu pszczołek chodzi,

Cóż kiedy śliczne pączki doyrzeją.

O! piękniejsza nad wszystkie róże

Acz im nieco podobna

Telegdono nadobna,

Co ci ja z tego kwiatka wywróżę?

O to, że jeśli swym przyrodzenie

Zwyczajnie poydzie torem,

Będiesz piękności wzorem

I pierwszym Pafu pani, stworzeniem.

Jeszcze to iesteś w pączku ukryta

Jak owe drobne ziele

Co mu trzeba czasu wiele

Nim się kto o nie na bukiet spyta.

Atoli już się możesz pochłubić  
    Że mimo drobne lata  
    Zdolna iesteś do świata,  
J że świat ciebie zaczyna lubić.

O! Teledgono mój krzaczku błogi  
    Już ciebie pszczołki znaią;  
    Już do ciebie lataią,  
Uznaiąc w tobie kwiateczek drogi.

Nie bądź ty iednak w wyborze płocha  
    Przypatrz się każdéy z bliska  
    Bo nie każdy co ściska,  
Prawdziwie lubi, prawdziwie kocha.

Inne to szczerze czynią dla miodu  
    J te już będą stale  
    Ale inne zuchwałé,  
Często z rozpusty saméy powodu.

Nad wszystkie iednak strzeż się naybardziéy  
    Motylków złotohiodrych  
    Pstrokatych, białych, modrych;  
Poznasz ich zaraz, bo są zbyt hardzi.

Będą cię oni nawiedzać nieco  
    Lecz za czasu nie długo  
Poznawszy różę drugą  
    Wszyscy od ciebie plocho ulecą.

O Telegdono mój krzaczku błogi  
 Już ciebie pszczołki znają  
 Już do ciebie latają  
 Pomniyże na to, żeś mój kwiat drogi!

---

## T Y R Y M A C H.

### P A S T E R K A.

Przysiadłszy w cieniu Tyrymach topoli  
 Grał srogość Chloi, i swoje kłopoty  
 Słowik zaś z góry los iego niedoli  
 Wtóremi coraz dobierał szczebioty.

Pomóż mi proszę mój drogi tłumaczu  
 Westchnąwszy rzecz Pastuszek żalśniy  
 Pomóż mi, pomóż serdecznego płaczu  
 Którym chcę koić frasunek miłośny!

Echo powtórz to niewdzięcznicy moićy  
 Com ięć oczyma nie raz pokazywał;  
 Czegożem kiedy nie czynił dla Chloi?  
 Czyliżem piosnek z nią razem nie śpiewał.

Albo ięć owcy nie strzegł ulubionéy.  
 Lub się z ięć pieskiem nie pieścił przyjemnie?...  
 Przecież okrutna codzien w inne strony.  
 Wypędza trzodę! ucieka odemnie?



Gdy tak pasterskie żal serce uciska  
Wzdychania w ciężkim swe wyiawiał głosie  
A Chloe pędząc bydło na pastwiska  
Taką mu dała odpowiedź po rosie.

Chodź Tyrymachu, chodź moje kochanie!  
Przestań zasmucać swym płaczem te knieie,  
Ciężko mnie boli twoie narzekanie  
Byłeś stateczny, mięć we mnie nadzieie.

Nie tak się łania od wyzłów przeięta  
Porywa prędko, iak on skoczył do nięć.  
Ta zaś na niego zwróciwszy oczęta  
Westchnie, zapłacze, i główkę nakłoni.

A potem nieco odetchnąwszy sobie  
Rzeczę: iuż dosyć płakać Tyrymachu  
Miłość cię dotąd w swej trzymała próbie  
Miłość cię odtąd chce pozbawić strachu.

Już się kochamy, dla tęć to użycia  
Rozkoszy co się kochankom udziela,  
J która wszystkie dni poświęca życia  
Zyte w lubego współce przyjaciela.

Na mięćsce sępných dotąd dni rozpaczą  
Nadziei błysną nam promyki żwawsze  
Niech puszczyk wyie, niech gawrony kraczą  
My się kochaymy, kochaymy się zawsze.

## ANAKREONTYK.

W roszkownym biegu siedząc strumyka  
Pasterka młoda  
Patrzała iak się chyżo pomyka  
Od źródła woda.

Tak prędko nasze zmykają lata  
Pomyśli sobie.

Więc trzeba wcześniej używać świata  
Póki czas w dobie.

Cóż bez miłości schnąć będę dłuży?  
Trzeba Pastuszka

Z tobą mi miłsze czas chwile wróży  
Dafni mój duszka!

Zdobisz ofiarą już przymuszonej  
Będziem skromności?

Wiek nasz do kresów swych nachylony,  
My bez miłości?

Czas na to wspomnieć że wiosna chyża  
Lat naszych miia  
Okrzepla starość tuż się przybliża  
Co nas zabia.

Trudno ci w ten czas wykrzesać będzie  
Czucia iskierki

Gdy ciężka we krwi flegma osiędzie  
Twoiéy Pasterki.

Jch ! czas i miłość biegną galopem  
Nigdy niewrotnym.

Ni iéy przywabisz żadnym syropem  
Byś był zalotnym.

Jako ten strumyk skoro raz swoje  
Porzuci łożé,

Pierwotne potym odwiedzić zdroie  
Nigdy nie może.

Tak naszych wdzięków biegną koleie  
Gdy ie czas zwarzy

Wiekim nad nadpsutéy nie ma nadzieie  
Umilić twarzy.

Nic na tym świecie nie iest bez celu  
I zatrudnienia;

Więc się nam kochać trza przy celu  
Z losów zrządzenia.

Jdzie za nocą ciemność, ponura  
A dzień za słońcem;

Nam za miłość, każe natura.  
Miłość serc końcem.





# SPIS RZECZY

w Tomie VI. Dzieł Zabłockiego.

karta

Amfitryo Tragedya . . . . .	111
Piękność, Rozum, Cnota, (z francuzkiego) . . . . .	119
Pieśń Bachiczna, (z francuzkiego) . . . . .	120
Nieśmiertelność Duszy, (z francuzkiego) . . . . .	122
List XIII. Króla Pruskiego do swojej siostry de Ba- reith o używaniu fortuny, (z francuzkiego) . . . . .	127
Oda Króla Pruskiego do Mopercyusza. Życie iest snem (z francuzkiego) . . . . .	135
Skoropism na wesele przyjacielskie, (z francuzkiego) . . . . .	141
List od przyjaciela na wsi, do przyjaciela w mieście mieszkaiącego, (z francuzkiego) . . . . .	144
Podchlebstwo: oda króla pruskiego, (z francuzkiego) . . . . .	157
Pasterka I. - - - - -	162
Pasterka II. . . . .	165
Pasterka III. . . . .	168
Pieśń z Horacyusza Xięgi IV. do Wenery. Intermissa Venus diu etc. . . . .	169
Rady młodey Dorotce dane, - - - - -	172
DO J. W. JMCI X. A. N. K. B. S. . . . .	180
DO J. O. Xiążęcia Jmci Adama Czartoryskiego Oda. . . . .	187
Pasterka Chloe i Likas . . . . .	192
Ludzkość pasterka . . . . .	195
Pasterka Loas i Dafne. . . . .	198
Kupido Więzień. . . . .	200
Bayka Słownik i Czyżyk . . . . .	205
Pasterka Instynkt albo niewinna miłość. . . . .	207
Portret . . . . .	220
Pieśń . . . . .	221
DO J. W. Jmci Xiędza Adama Stanisława Naruszewi- cza Oda . . . . .	223
Duma Ubogiego Literata . . . . .	224
Pieśń pasterka . . . . .	226
DO J. O. Xiężniczki Jeymości Teressy Anny Czarto- ryskiej Oda . . . . .	228
Filis Żalosa. Pasterka. . . . .	233
Róża . . . . .	237
Tyrymach Pasterka. . . . .	240
Anakreontyka. . . . .	242











Biblioteka UJK Kielce

**UJK**



0472158

135193  
KAWAŁOWA  
884